

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LI.

ROK XIII.

TOM III. — ZESZYT II.

Sierpień.



WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1888.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 2 Sierpnia 1888 r.



KASTY I KLASY.

Czyści i nieczyści, szlachetnie i nieszlachetnie urodzeni, pracujący i z cudzéj pracy żyjący spotykają się na całéj kuli ziemskiéj, zarówno w starym jak i w nowym świecie, tak dobrze w Chinach, Indyach, Egipcie, jak i w Mexyku lub Peru. Badania antropologów, historyków, podróżopisarzy doprowadziły nas do pewnika, że społeczność ludzka przechodziła lub obecnie przechodzi podobne fazy w swoim rozwoju, mianowicie, że żyła w stanie dzikości, barbarzyństwa i cywilizacyi. W okresie dzikości o kastach i klasach społecznych nie mogło być mowy; w tych odległych czasach błąkające się hordy nie mają stałego siedliska, ani stałego zajęcia: najważniejszém zadaniem człowieka jest utrzymanie się przy życiu, zdobycie pokarmu. Dopiéro w okresie barbarzyństwa dostrzegamy różniczkowanie się społeczeństwa na kasty, które etnografia uważa za charakterystyczne znamię tego peryodu. Że jednak dzieje człowieka na ziemi stanowią jedno pasmo zdarzeń i nie okazują nigdy i nigdzie nagłych i wielkich przeskoków tak, żeby jeden okres zupełnie się różnił od drugiego; ztąd téż zwyczaje, urządzenia, praktyki, wyobrażenia, zmodyfikowane nieco, przechodzą do następnego okresu. I tak: kasty z okresu barbarzyństwa, zmodyfikowane nieco, odnajdują się w okresie cywilizacyi w postaci klas i stanów. Społeczeństwo dzisiejsze krajów cywilizowanych wszędzie przedstawia nam organizacyą klasową i stanową, przypominającą dawne kasty, a jednak mimo tego w wielu punktach różną od organizacyi kastowéj.

Cóżkolwiekbądź, w pospolitéj mowie, zwłaszcza gdy chcemy wyrazić pewną niechęć do dzisiejszych wyosabniających się stanów

i klas społecznych, nazywamy je czasem kastami; nazwa to niewłaściwa, gdyż w Europie przynajmniéj i Ameryce kasty nie istnieją.

Nie omylimy się może, idąc za zdaniem tych, którzy nazwę kasta wyprowadzają od łacińskiego *castus*, czysty; a ta etymologia nasuwa nam oraz znaczenie wyrazu stosowanego do pewnych warstw ludzkich, uważających się za czystsze, lepsze, szlachetniejsze, wybrańsze w porównaniu z innemi warstwami. W barbarzyńskim okresie dziejów ludzkich mamy nietylko ludzi czystych i nieczystych, ale także zwierzęta i pokarmy w tenże sposób rozróżniane. Warstwy te zamykają się w sobie tak szczelnie, że ludzie innéj grupy nie mają do nich żadnego przystępu; owszem, zwyczaj zabrania małżeństwa i stosunków towarzyskich, a nawet wspólnych praktyk religijnych, jednostkom należącym do różnych kast społecznych. Kastą więc nazywamy taką warstwę ludzi, która żyje w odosobnieniu od innych warst, tylko jednym rodzajem pracy jest zajęta, ma swoje bóstwa, swoje praktyki religijne i zwyczaje towarzyskie. Czytelnik przypomina sobie zepewne taką organizacyą społeczną z dziejów Indyi, Egiptu, Persyi i t. d. Podobna ona jest do piramidy; szeroką jéj podstawę stanowi lud pracujący na wszystkich; daléj idą wojownicy, potém kapłani, a wierzchołek téj budowy wieńczy władca, wywodzący ród swój od bogów lub przynajmniéj z ich łaski rządy swoje sprawujący. Kogo losy postawiły na niższym szczeblu drabiny, ten pod grozą świętokradztwa nie może wejść na wyższy: co robił ojciec, to będzie robił syn, wnuk, prawnuk aż do ostatniego potomka, aż na wieki. Jeżeli uprawiał ziemię, albo rzemiosło, nosił oręż albo pasał świnie, z bogami gadał lub prawo ich tłómaczył; to i synowie jego toż samo czynić będą. A jeżeli się źle sprawował na ziemi, za karę będzie dusza jego wędrowała w szeregi kast niższych, a nawet zwierząt, dla zmycia grzechów ziemskiego żywota, podobnie jak to i u nas mówią, że dusza szlachcica przejdzie po śmierci ciała w żydowskiego konia, ażeby się pracować nauczyła.

— Co to za pyszna organizacya społeczna!—woła niejeden filister. Przecież choć aby raz w historyi mieli ludzie rozum i odgrodzili Chamskich potomków od Jafetowych; czystych, dobréj krwi i podniosłych sentymentów od podłéj czerni, którą dzisiejsza demokracya chciałaby postawić na równi z wybranymi. Na prawdę, kastowa organizacya społeczeństwa była fazą konieczną w rozwoju człowieka, jak tego dowodzi jéj powszechność i musiała na swój czas odpowiadać potrzebom ludzi. Obecnie patrzymy na nią jako na fakt w jednych stronach dawno już dokonany, w drugich jeszcze istniejący; wiemy, że była to forma bytu społecznego, nadająca się

wybornie do ufundowania wielkich despocyi wschodnich; że tamowała szybszy ruch naprzód, dusząc wszelką inicyatywę w jednostkach; że nareszcie musiała się pod wpływem narastających kapitałów i wiedzy przekształcić na inną, podobną, ale już i różną, to jest na organizacyą klasową.

W wiekach średnich podobnie jak w starożytności spotykamy hierarchicznie urządzone społeczeństwo. Pod względem politycznym rozwinął się system lenny, mający na wierzchołku suwerena, a pod nim coraz niższych lenników; pod względem społecznym najogólniejszy podział ludzi na trzy stany: żywiący, nauczający i broniący. Każdy z nich dzieli się znów na mniejsze grupy: rolników wolnych i niewolnych, rzemieślników w ścisłém znaczeniu i artystów podzielonych na cechy i bractwa; wojowników-szlachtę wyższych i niższych; nauczycieli prawie wyłącznie duchownych, podzielonych na duchowieństwo parafialne i zakonne. Niewolnictwo, nieuznawane teoretycznie, istnieje przecież w formie poddaństwa i przykucia do ziemi aż do naszych czasów. W Brazylii oswobodzono niewolników w 1888 r.

Każdy z tych stanów dąży do obwarowania się przywilejami i zwalenia na inne ciężarów publicznych, z wyjątkiem najliczniejszéj klasy włościańskiéj, która tak jak niewolnicy w starożytności, pracuje na wszystkich, a o przywileje ani umié, ani może się starać. I teraz stany społeczne podobnie jak kasty odgradzają się jedne od drugich; mieszczanie podzieleni na cechy nie łączą się z rolnikami; szlachta ani z mieszczanami, ani tymbardziéj z włościanami nie zawiera małżeństw i nie utrzymuje stosunków towarzyskich; ma się za czystą, a resztę wszystkich ludzi za nieczystych i nieszlachetnych. Ogólną cechą téj organizacyi stanowéj jest wyzysk słabszych przez mocniejszych, uprzywilejowanych, i ta okoliczność wyrabia w stanach społecznych poczucie solidarności swoich interesów, czyli jak dziś mówią, świadomość klasową (*Klassenbewusstsein*). Wyrabianie się téj świadomości klasowéj najwcześniéj się okazało wśród rycerstwa i duchowieństwa; późniéj nieco w mieszczaństwie pod grozą i uciskiem szlachecko-rycerskiego stanu; w stanie włościańskim dopiero w naszych czasach zaczyna kiełkować (żakerya i koliszczyzna inne nosiły cechy).

W wiekach średnich głoszą wprawdzie, że z jednego stanu można przejść do drugiego za zasługi, za czyny wojenne, ale tylko w teoryi; rzeczywiście zdarza się to rzadko: i prawne i towarzyskie przeszkody tamują mieszanie się klas i stanów; społeczeństwo pozostaje rozdzielone na niechętne sobie grupy. Późniéj, gdy przeszkody prawne po większéj części zniesiono, towarzyskie trwają do-

tychczas, tych bowiem żaden akt prawodawczy usunąć nie zdoła. Jedynie postęp wiedzy i uszlachetnienie obyczajów mogą złagodzić antagonizmy i przeciwieństwa klasowe; złorzeczenie nic tu nie poradzi. Na przykłady patrzymy u siebie; następują klęski materyalne, ruina zupełna całych rodów i warstw, a narowów stanowych wiekami zakorzenionych wyrwać niepodobna. Bywają ludzie mądrzejsi po szkodzie, ale u nas niezmiernie rzadko się to zdarza. Więc chociaż społeczeństwo nowożytne wyszło z okresu barbarzyństwa a organizacyi ściśle kastowéj w Europie i w Ameryce nie widzimy, jednakże dzisiejsze stany i klasy bardzo jeszcze pod wielu względami przypominają kasty. Teoretycznie dzisiaj człowiek jakiegokolwiek stanu czy klasy może się ubiegać o wszelkie urzędy i stopnie; ale faktycznie jakże trudno wyjść z tego zamurowanego koła stanowego! Urodzenie, wykształcenie, a nadewszystko stan majątkowy stanowią takie zapory, że długo jeszcze zapewne dzisiejsza organizacya społeczna trwać będzie.

A teraz przejdźmy do innego pytania, mianowicie, zkąd się wzięły dawne kasty a teraźniejsze stany i klasy społeczne? Że one nie powstały z głowy, lędźwi i nóg Bramy o tém zapewne już i w Indyach nie wątpią; że ich nie było w okresie dzikości, to i teoretycznie i z etnograficznych badań uzasadnić można. Otóż, co do pytania o początku kast, a późniejszych stanów i klas, jedno zdaje się być pewném, a mianowicie, że początek ich leżał, chociaż nie wyłącznie, w p o d b o j u jednych hord przez drugie. Ponieważ znów sam podbój musiał być wynikiem albo dzielności fizycznéj i przebiegłości, albo położenia geograficznego i pewnéj zasobności materyalnéj tak w ludziach jak i w środkach, albo co prawdopodobniejsza, wszystkich tych okoliczności i czynników: możnaby więc powiedzićć, że powstanie kast, stanów i klas było rezultatem zmienionych warunków ekonomicznych, tak samo jak i dziś podbój jednych narodów przez drugie, a klas przez klasy gruntuje się przeważnie na wyższości ekonomicznéj. Prochu i kul, karabinów i dział żaden Krupp darmo nie daje.

Ażeby dojść do téj przewagi ekonomicznéj musiała jedna horda już z początku czémś górować nad drugą, a gdy słabszą pokonała, zabrani niewolnicy stanowili pierwszy łup i pierwsze narzędzia produkcyi. Gdy szczęśliwsza horda krok ten zrobiła, reszta stosunków sama z siebie już się daléj rozwijała: nietylko pojmani, lecz cała ludność podbita zeszła na niższy szczebel; musiała trzodę paść, rolę lub rzemiosło uprawiać na korzyść zwyciężców, którzy już tylko orężem pracowali nad utrzymaniem zdobyczy, lub jéj pomnożeniem nowymi podbojami.

Podanéj tu genezy kast i stanów nie uważamy za dogmat; to wszakże mamy za pewne, iż dotychczasowe badania etnograficzne i zdarzenia historyczne wszystkich wieków, aż do dni naszych, upoważniają do takiego wniosku. Może dalsze badania nasuną inne przypuszczenie; może w przyszłości pokój, nie wojna, będzie twórcą stosunków społecznych i międzynarodowych: jak dotychczas, wojna w téj lub owéj formie, była ich rodzicielką. Jeżeli o czasach przedhistorycznych twierdzenie podobne może się zdawać mniéj prawdopodobne, to znów o historycznych, a zwłaszcza o naszych jest ono zupełnie pewne. Dzisiejsze przekształcenia polityczne i społeczne odbywają się za pomocą wojny i konkurencyi ekonomicznéj; spychają one jedne narody i warstwy społeczne na dół, a dźwigają drugie; wytwarzają stany, klasy i warstwy, wprawdzie nie tak zamknięte w sobie jak dawne kasty, ale tak samo dążące do wyosobnienia się za pomocą herbów, tytułów, rang od reszty ludności. Kto w tych wyścigach międzynarodowych i rodowych zostanie zdystansowany, przejdzie w szeregi paryasów i czandalów. Nie pomoże tu wołanie o pomstę do nieba, bo i bogowie, wedle starożytnego poety, sprzyjają dzielniejszym: albo się pasuj i płyń, albo idź na dno.

Jeżeli przypuszczenie nasze o początku kast i późniejszych stanów jest słuszne, mianowicie, że źródło ich leżało w przewadze materyalnéj i przemocy wojennéj jednych hord nad drugiemi; to po ustaniu podboju i p o k ó j nie mało się przyczynił do różniczkowania mniéj więcéj jednorodnéj masy ludzkiéj: w pokoju dłuższym lub krótszym powstały rzemiosła i sztuki dziedziczne w kastach, a następnie w rodach.

Wiadomo, że początek cechów odnoszą do wieków średnich a za najbliższy powód do ich zaprowadzenia podają klasowy interes mieszczan, szukających w tych instytucyach obrony przeciw feodalnym najezdnikom. Czyby dawne rzymskie *collegia opificum*, *artificum et tenuiorum* należało zaliczać do cechów, na to niemasz zgody; prawdopodobniéj, że ostatnie stanowiły między innemi, charakterystykę wieków średnich. A zatém cechy, bractwa, gildy, konfraternie, kontubernia tworzą tyleż rozmaitych klas w społeczeństwie średniowieczném, które coraz bardziéj się rozdrabia, rozproszkowywa. Zawody i powołania artystów, lekarzy, aptekarzy, kupców tworzą również zorganizowane grupy, rządzące się własnemi ustawami, podobnie jak piwowarzy, piekarze i rzeźnicy. Kupcy np. nie chcą, by ich nazywano cechem lecz zgromadzeniem (Węgrzecki, R o z p r a w a o p r o f e s y a c h i p r o f e s y o n i s t a c h, 1810). Powoli interesa majstrów i czeladzi stają czołem przeciw sobie; jedni i drudzy zaczynają się organizować w osobne grupy. Z pośród

majstrów dochodzą niektórzy wielkich fortun, wydzielają się z reszty mieszczan, biorą w ręce ster rządów miejskich: to patrycyusze i nowa klasa. Słowem, wieki średnie, pod względem społecznym uważane, okazują nam dziwny zmysł organizacyjny, może dlatego, że ludziom zostawiono więcéj inicyatywy niż w starożytności i w czasach nowszych, gdy się zaczęły tworzyć wielkie konglomeraty polityczne, strychujące wszelkie wyniosłości społeczne.

Nie piszemy tu ani historyi cechów, ani ich obrony; powstały one i żyły, póki były potrzebne; chodziło nam o zaznaczenie, że organizacya klasowa powstawała i utrzymywała się taką samą drogą jak kasty w starożytności, mianowicie, drogą wyzysku wojennego lub pokojowego, który nazywamy konkurencyą ekonomiczną. Taki stan rzeczy dotrwał aż do naszych prawie czasów. Ogłoszone we Francyi pod koniec zeszłego wieku tak zwane prawa człowieka, równają ludzi teoretycznie i wobec prawa; faktycznie, dawna nierówność klasowa istnieje; owszem, dopiero teraz, w naszym wieku nabiera uderzających rozmiarów. Znów się podnoszą głosy grzmiące przeciw klasom społecznym, przeciw wyzyskowi jednych przez drugie. Różnica w tém zaszła, że teoretycy równości zredukowali i klasy i ich nazwy stawiąc przeciw sobie kapitalistów i proletaryuszów, wyzyskujących i wyzyskiwanych. Takie uogólnienie nadzwyczaj różnorodnych żywiołów, składających dzisiejsze społeczeństwa, może być jedynie jako hasło i chorągiew bojowa rozumiane; nigdy zaś jako wyraz realnych stosunków.

W téj chwili jednak nie o wyrazy chodzi, lecz o rozstrzygnienie pytania, czy klasowa organizacya społeczeństwa, w jakiéj żyjemy, dałaby się zastąpić inną, bez tych różnic i antagonizmów, na jakie patrzymy.

Ci, którzy złorzeczą dzisiejszéj organizacyi społeczeństwa, jako opartéj na wyzyskujących się wzajem klasach ludności, mniemają, że możnaby ją zastąpić inną, lepszą, bo wolną od téj zażartéj walki o własną egzystencyą. Złorzeczenia ich mają najprzód za cel obudzenie wstrętu i nienawiści do tego, co jest, a następnie przygotowanie umysłów do projektowanego raju. Wiedzą oni, że złorzeczenia mogą wydać tylko ujemny rezultat, że zatém trzeba ludziom postawić przed oczy jakiś plan dodatni. Plan taki mają gotowy, a nazwa jego komunizm. Rozwijać go tutaj nie potrzebujemy, przypuszczając, że czytelnicy iletyle wiedzą, jakby wyglądała komunistyczna budowa społeczeństwa. Gdyby ją kiedy na wielką skalę wzniesiono, klasy dzisiejsze przestałyby istnieć, ale powstałyby inne, inaczéj nazywane, walczące ze sobą i zapewne wcale nie lepsze, ani moralniejsze od teraźniejszych. Przypuszczenie to opieramy na

naturze człowieka i jego potrzebach, zarówno materyalnych jak i duchowych.

Nie przypuszczamy, ażeby dzisiejsza organizacya społeczna, oparta na klasach spółzawodniczących ze sobą o przewagę, była albo niezmienną, albo najlepszą z tych, jakie filantrop mógłby w głowie swojéj ułożyć. I my pojmujemy dzieje ludzkie jako proces nieustający, jako ciągłe s t a w a n i e s i ę i przemianę jednych form produkcyi w drugie, i co z tego wynika, powstawanie nowych form życia społecznego. Oduczyliśmy się również od podziwiania cudnéj harmonii interesów ludzkich, i nazywania naszego świata najlepszym z możebnych światów. Rozumiemy, że „umówione kłamstwa“ dzisiejszéj ludzkości muszą oburzać każdy niespaczony umysł i niewygasłe uczucie: mimo to wszystko jednakże nie możemy sobie wyobrazić ani zniknienia klas społecznych, tak lub inaczéj nazywanych, ani ustania egoizmu i walki choćby w formie konkurencyi między jednostkami i narodami. To nie znaczy, że nikt sobie tego raju nie może wyobrazić; widzimy bowiem, że są umysły wyższe, bystrzejsze i lotniejsze, które nietylko teoretycznie,lecz i za pomocą doświadczeń praktycznych próbowały rozwiązania problematu, wprawdzie na małą skalę, ale zawsze bezskutecznie (Owen, Cabet, komunistyczne osady w północnéj Ameryce).

Reformatorowie społecznego porządku, albo jak oni nazywają bezrządu i chaosu, nie rachowali się nigdy z naturą człowieka i prawami przyrodzonemi, którym ona ulega. Tak dawniejszym, jak i spółczesnym zdawało się, że społeczeństwo ludzkie i organizacya jego są wyłącznie dziełem umowy społecznéj i prawodawstwa; że zatém, ażeby zmienić formy bytu, dość jest zadekretować równość, wolność i braterstwo, a już niebo na ziemi utworzą. Hipoteza kontraktu społecznego, modna jeszcze w przeszłym wieku, obecnie została porzucona; utrzymuje się jéj wynik, mianowicie, że prawodawcy mogą przerabiać i urabiać społeczeństwo wedle woli. Na poparcie tego dogmatu przytaczają jak prawodawcy przenosili tytuły własności po reformacyi XVI w., jak w XVIII w. francuskie sejmy konfiskowały majątki klasztorów i arystokratów, jak w XIX wieku uwłaszczanie chłopów potasowało rolę i stosunki warstwy ziemiańskiéj; a ztąd wyciągają wniosek, że prawodawcy będą mogli i w przyszłości skasować klasy społeczne przez skasowanie własności indywidualnéj, a zamienienie jéj na zbiorową. Trzeba tylko prawodawstwo uchwycić w swoje ręce, zyskać mandaty poselskie i większością głosów skasować własność, klasy, pieniądze, banki, kredyt, lichwę, słowem usunąć z oblicza ziemi nierówność, konku-

rencyą, wyzysk. Prawo wszystkiemu podoła, a czemu ono nie podoła, gwałt pomoże, jako *ultima ratio* rządców i rządzonych.

Rzeczywiście, historya uczy, że prawodawcy bardzo doniosłe zmiany w strukturze społecznéj bądź faktycznie istniejące sankcyonowali, bądź zaprowadzali nowe; ale i to niemniéj jest pewném, że prawo stanowione musi być w zgodzie z naturą ludzi i rzeczy, których przepisami wiąże, czyli, że chcąc mieć względną trwałość, powinno się rachować z fizycznemi i duchowemi, a więc przyrodzonemi prawami człowieka. Otóż człowiek, odkąd go zna historya, pomimo wszelakiego postępu, jakiego dotychczas dokonał, natury swojéj w zasadniczych rysach nie zmienił. Tak samo dziś, jak przed tysiącami lat ma potrzeby tkwiące w nim samym, które musi zaspakajać, chcąc byt rasy zachować; potrzeby te wielce się z postępem czasu i rozwoju pomnożyły, zróżniczkowały. Aby je zaspokoić, musiały téż wzrosnąć i środki i sposoby ich dostarczania; musiały koniecznym biegiem rzeczy powstawać klasy ludzi zajętych różnorodną pracą około wytworzenia owych środków bytu. Innemi słowy, kasty, klasy, profesye, zawody, powołania były i są zjawiskami koniecznemi, wynikającemi z nieodbitych potrzeb człowieka, z jego natury. Czy wszystkie te klasy były i są bezwarunkowo potrzebne; czy ze zmianą trybu produkcyi nie mogłyby być zredukowane; czy przypadkiem w dzisiejszéj organizacyi społecznéj nie masz klas nieprodukcyjnych, a więc pasorzytnych, i jakim sposobem możnaby się ich pozbyć: na te pytania nie potrzebujemy tu odpowiadać, gdy chodzi nam tylko o wykazanie, iż organizacya klasowa wynika z saméj natury potrzeb człowieka, i że powstawanie na nią jest bezzasadne. Może za tysiąc lat bedą ludzie inaczéj patrzyli na ten przedmiot, może ich nasze klasy będą raziły tak, jak nas rażą kasty: dzisiaj przyznajemy się do niemożności wyobrażenia sobie społeczeństwa bez różnic klasowych, o ile one są wynikiem natury człowieka i produkcyi ekonomicznéj. Przeciwnie znów klasy sztuczne, np. herbowa i nieherbowa, albo chińskie klasy biurokratyczne mogą się wydawać zbytecznemi w społeczeństwach do nich nienawykłych i budzić przeciw sobie pewną niechęć: ale Chińczycy mają swój rozum i po radę do Europejczyków nie przychodzą — więc ich klasy zostawmy w pokoju.

Nietylko z przyrodzonych i nabytych potrzeb człowieka wywodzimy konieczność stanów i klas społecznych; ale również z natury pracy i rozmaitych do niéj uzdolnień. W miarę wzrostu i rozwoju społeczeństwa sama praca zaczyna się rozdrabniać; co z początku robił jeden, produkując dla siebie i swoich, to potém wytwarza cały szereg profesyonistów, rzemieślników i to najczęściéj

nie dla siebie, lecz dla innych, na zamianę. Powstaje tedy nowa klasa, pośrednicząca w zamianie, to jest wszelkiego rodzaju kupcy i przekupnie. Chcąc zatém znieść klasę kupczącą, trzebaby znieść wszelką zamianę, nie tylko wewnętrzną lecz i międzynarodową. Dlategoż komuniści wyobrażają sobie przyszłe społeczeństwo bez własności indywidualnéj i zamiany.

Daléj, nastanie rządu wśród zrzeszonych lub podbitych gromad prowadzi do wytworzenia się klas odrębnych, z początku nieznanych. Szczęśliwy wódz zwycięskiéj hordy nie zdoła sam wszystkich obowiązków swoich wypełnić; brat lub krewniak jego dogląda spraw religijnych; potomkowie jego utworzą klasę z czasem dziedziczącą wyłącznie te sprawy. Prócz tego, około wodza staną naczelnicy hord podbitych i dadzą początek nowéj klasie, zwanéj późniéj książętami i arystokracyą. Dzieje się tak nietylko w okresie barbarzyństwa, ale i w czasach cywilizacyi. Cesarza niemieckiego podczas otwarcia parlamentu otacza kilkunastu książąt, jeszcze za naszych czasów niezawisłych, a teraz ledwie częściowo samoistnych.

Można przypuszczać, a nawet z pewnością twierdzić na mocy dowodów historycznych i prawnych, że powstające w społeczeństwie klasy, podobnie jak kasty, zechcą zdobyte stanowisko lub profesyą zyskowną uczynić wyłącznem swojém dziedzictwem; że się zechcą jedne od drugich wyodrębnić, a gdyby można w swoje ręce pochwycić wszystkie korzystniejsze funkcye życia zbiorowego, zwalając pracę produkcyjną na spółzawodniczące z niemi warstwy. Oto np. szlacheccy prawodawcy nie dozwolą klasie miejskiéj nabywać ziemi szlacheckiéj, a pozwolą sobie nabywać miejską, nie poddając się juryzdykcyi miejskiéj. Kiedyindziéj nie dopuszczą mieszczan do wyższych, a włościan nawet do niższych urzędów świeckich i kościelnych. Pod pozorem obniżenia ceny rzeczy uchwalą prawo o zbytku *(lex sumptuaria)*, zakazujące mieszczanom i plebejom nosić odzieży z pewnych materyi i klejnotów, ażeby się nawet ubraniem od innych klas wyodrębnić. Prawo z r. 1613, ponawiane wielokrotnie późniéj, brzmiało: „Widząc w tém być wielką szkodę Rzeczypospolitéj i chcąc stan szlachecki i w tym mieć równy *a plebeis*, postanawiamy, aby żaden mieszczanin, ani *plebeius*, *excepto magistratu*, nie śmiał zażywać szat jedwabnych i podszewek, także futer kosztownych, okrom lisich i inszych podlejszych: także aby w safianie żaden z tych nie chodził, *sub poena 14 marcarum ad cujusvis instigationem* i tych rzeczy delatorowi przysądzeniem.“

Przypominając o tych prawach, możemy uspokoić chorążych wieku krzemiennego, że nie podnosimy rekryminacyi przeciw ko-

mukolwiek; wiemy, żeśmy nie byli unikatami w historyi: szło nam o ilustracyą twierdzenia, iż klasy społeczne, pochwyciwszy władzę, dążą do wyodrębnienia się od innych klas przywilejami, do zaprowadzenia kastowości. Jeżeli zaś zdobywszy przewagę, potém dbają o skromność w ubiorze i rozwijanie wszystkich cnót kardynalnych w plebejach, to im tylko zaszczyt przynosi. Mamy w tém dowód nie jedyny téj prawdy niewątpliwéj, że którakolwiek z klas dojdzie najprzód do materyalnéj przewagi nad innemi, będzie się starała i rządowi i reszcie mieszkańców nadać organizacyą, któraby najlepiéj strzegła jéj interesów. Do tych interesów nagina się wówczas i prawo i moralność i obyczaj, które są, że tak powiem, idealném zwierciadłem stosunków społecznych każdéj epoki dziejowéj.

Tak więc kasty, stany, klasy społeczne spotykamy po wszystkie czasy i miejsca, z wyjątkiem epoki najdawniejszéj, zwanéj okresem dzikości. Początek ich był wieloraki: podbój, natura potrzeb ludzkich, rozmaite uzdolnienia człowieka do ich zaspakajania, podział pracy wzrastającéj ze wzrostem społeczeństwa. Z czasem przywiléj wytworzył nowe klasy, opierające chęć przodowania na urodzeniu, majątku, urzędzie, godności. Otóż, z przeszłości wnosimy zwykle o przyszłości, mianowicie, że i w przyszłości społeczeństwo nie przestanie wytwarzać nowych stanów i klas, które mogą się inaczéj, niż dotychczasowe nazywać; niemniéj jednak istniéć będą, oczywiście póty, póki się nie ziści zapowiadana przez komunistów niwelacya wyżyn i zasypywanie dołów. Można się nawet posunąć do tego przypuszczenia, że gdyby kiedyś nastąpiło to zniwelowanie różnic społecznych, jużby nazajutrz po tym dniu pamiętnym wyszły na jaw nowe antagonizmy, tkwiące zarodem w człowieczéj nierówności; na przekór bowiem wszelkim dekretom, nie równość i jednostajność, lecz różnorodność jest prawem świata zarówno fizycznego jak i ludzkiego.

Tę różnorodność, inaczéj różniczkowanie, nazywamy prawem powszechném i przyrodzoném, gdyż je spotykamy wszędzie, począwszy od materyi kosmicznéj, a skończywszy na jednostce ludzkiéj. To co z początku wydaje się jednorodném, okazuje w dalszym rozwoju różnorodność, która musiała zarodem tkwić w owém jednorodném i pod wpływem otoczenia, warunków, okoliczności rozwinęła się w nieskończoną ilość form ciągle zmiennych. Stosując to prawo do świata ludzkiego, widzimy rzeczywiście, iż ani żołądki, ani mózgi ludzkie nie są jednakowéj siły, że zatém świat ludzki, społeczny okaże nam te różnice pod rozmaitemi postaciami i formami, których konkretnym wyrazem będą stany, powołania, klasy.

Będą one z sobą walczyły może nie zawsze kłami i pazurami, ale walczyć muszą póki im jaki magik nie wszczepi baraniéj natury. Tylko walka, konkurencya, wyścigi, choćby na Mokotowskiém polu, bronią społeczeństwo od stagnacyi i zabagnienia.

Czyżby tego nie rozumieli teoretycy złorzeczący konkurencyi i wzajemnéj walce klas społecznych? Przeciwnie, oni ją rozumieją; ale ich oburza wyzysk jednéj klasy przez drugą, a głównie klasy roboczéj przez kapitalistów. Dlatego chcieliby takiéj organizacyi społecznéj, któraby zniosła klasy, a tém samém i walkę ich, i wyzysk; ażeby słowem, powstała społeczność bez różnic i przywilejów, pracująca w miarę i używająca w miarę. Jeden, wielki, złożony warsztat, a przy nim wszyscy zdrowi zmuszeni do pracy; jeden wielki ul, ale bez trutniów—oto ideał tych reformatorów. Ideał rzeczywiście snujący się oddawna po głowach ludzkich, lecz niepodobny do urzeczywistnienia z takimi ludźmi, jakich zna historya.

K.





W KAŹNI.

WSPOMNIENIE Z WIĘZIENIA AUSTRYACKIEGO.

„Pierwszy korytarz“ mieścił się na samym dole w poklasztornym gmachu ś-go Michała. Składał się z dwu odnóg prostopadłych do siebie: jedną kończyło duże okno, zajmujące całą szerokość ściany, druga była ciemna. Po lewéj stronie od wejścia czerniał szereg framug z ciężko okutemi drzwiami; z prawéj strony był głuchy mur, przerwany tylko wejściem do prostopadłéj odnogi.

Moja cela, „kaźnia“—jak tam mówiono—leżała na samym końcu korytarza, tuż przy oknie. Kwadratowa niemal, sklepiona w kształt spłaszczonego walca, brudną była, jak owych pięciu żydów—złodziei, których osoby i ruchomości usuwano w téj chwili, kiedy ja, świeżo wprowadzony do tego nieznanego świata, z rozpaczą zapuszczałem strwożone oko do wnętrza przyszłéj siedziby.

Siedziałem sam i nie wiedziałem, co robić z długiemi godzinami, nie wiedziałem jak skrócić zabijającą nudę dni i nocy, wlokących się z ślimaczą powolnością. Książek nie miałem, bo je władza uważała za zbyteczne dla umysłu, czy téż może za szkodliwe dla śledztwa. Z chleba niepodobna było nic lepić, bo się mazał na palcach, jak błoto po deszczu, a schnąc, pękał i rozpadał się. Część dnia chodziłem spiesznymi krokami z kąta w kąt—były to chwile poświęcone rozmyślaniom. Część dnia leżałem na grzbiecie na p r y c z y i zajmowałem się wyłącznie liczeniem pająków w kątach i plam na sklepieniu.

Ale najwięcéj czasu spędzałem na oknie i przy drzwiach. Okno w razie potrzeby mogło wygodnie zastąpić łóżko, bo mur dawnego klasztoru miał kilka łokci grubości. Wskutek tego otwór na okienko był jakby długą, czworokątną rurą, którą krata dzieliła na dwie nierówne części. Na wewnętrznéj stronie mogłem się zupełnie pra-

wie wyciągnąć, a po za kratą pozostawało jeszcze dobrze z półtora łokcia muru.

Widzieć wiele nie mogłem: raz dla tego, że siedząc w środku rury, zdala od brzegu, miałem ograniczone pole widzenia, a powtóre dalszy widnokrąg zasłaniały mi zupełnie chléwki p. nadzorcy więzień, tytułowanego *Verwaltrem.*

Pękate i koślawe te budynki, pełne różnorakiego zwierza, otoczone kałużami błota, nasuwały mi zawsze na myśl arkę Noego, kiedy po potopie osiadła na stałym gruncie. Błoto musiało być doskonałością w swoim gatunku, bo lśniącą swą barwą hebanowi dorównywało i nigdy nie schło.

Ze wszystkich mieszkańców chléwkowych największą miałem rozrywkę z indyków. Przechadzały się one poważnie przez dzień cały po kładkach, umożliwiających wśród błota drogę do chléwków i komunikacyą między nimi. Szczególniéj sprawiały mi ucieszną rozmaitość, gdy je na noc zaganiał parobek.

Przytulony mocno z jednéj strony do kraty, mogłem jeszcze po za chléwkami dojrzéć koniuszek błyszczącego bagnetu, poruszającego się w tę i w ową stronę z miarową jednostajnością.

Przez dziurki blaszanego okienka we drzwiach widziałem brzeg kraty okna korytarzowego, a po za nią skrawek odrapanego muru, na którym opierały się czarne gałązki dosychającego drzewka. Pod oknem stała ława, a daléj ciągnęła się już tylko ściana przeciwległa.

Takie były granice świata, w którym przepędzałem dni całe.

Stojąc we drzwiach z twarzą na blasze okienka, wpatrywałem się nieraz w figury, utworzone przez opadłe z muru wapno. W jednych dopatrywałem twarzy ludzkich, w innych całych osób w różnych pozach, najczęściéj śmiésznie powykręcanych; jeszcze inne przypominały mi mapy oddzielnych części świata i poszczególnych krajów. Jedna plama była zupełnie podobna do Australii.

Największe jednak źródło rozrywek stanowiły „I n t e n c y e", wiszące na ścianie korytarza, akurat na przeciwko drzwi mojéj kaźni. Była to duża karta, zadrukowana we dwie szpalty i oprawiona jak obraz w czarne ramy. U góry ponad drukiem widniał rysunek jakiś. Z okienka nie byłem wstanie rozróżnić, co to takiego; ale raz na dzień, kiedy posługacz sprzątał celkę i wodę przynosił, mogłem na chwilę wyjść na korytarz; mogłem także zatrzymać się przy I n t e n c y a c h, wracając ze spaceru, przez czas jak klucznik kłódkę u drzwi moich otwierał. W ten sposób zbliska przekonałem się, iż obrazek przedstawiał Matkę Boską w postawie stojącéj, z zamkniętémi oczyma, z opuszczonemi rękami. Z szeroko rostawionych pal-

ców tryskały smugi światła. Intencye zaś same był to spis zaofiarowań w takim rodzaju: „za dusze bez spowiedzi z tego świata zeszłe“, „za nawróconych grzeszników“ itd. U dołu ramek mieściły się dwie skrzynki. Na jednéj znajdował się napis: „*Ztąd wziąć*“, na drugiéj: „*Tu włożyć*“. W skrzynkach były gałki z liczbami kto gałkę wyciągnął, powinien był odmówić trzy „Zdrowaś Marya“ na intencyą, numerem wskazaną.

Więźniowie przychodzili do tych „Intencyj“ i wyjmowali gałki. Widok ludzi, przeważnie bardzo mało pociągających, o twarzach brudnych, o spojrzeniu bezczelném, nie sprawiał takiego wrażenia, jak widowisko teatralne, ale stanowił rozrywkę bardziéj zajmującą, aniżeli przyglądanie się indykom Verwaltra.

Probowałem nawet z początku przemawiać przezedrzwi do kolegów na korytarzu, ale ci w téj chwili znikali — mieli zakazane wdawać się w jakiekolwiek stosunki ze mną, gdyż „m i a ł e m s p ó l n i k ó w“.

W ciągu dnia przychodziło niewielu, ledwie od czasu do czasu przyciągnął pod „Intencye“ jaki maruder, ale wieczorem przez pół, co najmniéj, godziny tłoczyli się niemal—jedni odchodzili, drudzy przychodzili. Nie oddalałem się wtedy odedrzwi.

W gmachu więżiennym istnieje fabryka koszyków, wózków, kufrów itd. Prócz tego więzniowie używani są do wszelkiéj posługi w sądzie, jak również posyłani z dozorcami na miasto do czyszczenia ulic, wynajmowani do przeprowadzek i tym podobnych czynności.

O szóstéj dzień więzienny się kończy, aresztanci wracają z roboty do kaźni. Cele zamykają się na dwie kłódki, przez chwilę słychać tylko szczęk kluczów i skobli, potem wszelki ruch, wszelki gwar ustaje, zapada cisza, zupełna, uroczysta. Ucho czasami tylko pochwycić zdoła cichutki szelest kroków obutego w wojłokowe papucie nocnego dozorcy.

Z powracających od roboty więżniów rzadko który ominął Intencye. Przychodzili, brali gałki, podnosili głowy do góry, szukając w spisie znalezionego numeru, potém rzucali gałki napowrót i odchodzili. Nie umiejącym czytać pomagali usłużni towarzysze. Byli pomiędzy nimi tacy, starzy praktycy zapewne, którym wystarczało odczytanie numeru na gałce, widocznie wiedzieli już na pamięć, co jaka liczba znaczy i za jakie dusze 3 Zdrowaś Marya odmawiać należy. Chociaż co prawda nie widziałem nigdy, aby który z odwiedzających Intencye szeptał pacierz przepisany, lub żegnał się. Dostrzegłem tylko, że jedni odchodzili z wesołemi minami, inni źli jak gdyby zawiedzeni. Niektórzy klęli nawet. Szczególniéj rzucał mi się w oczy i utkwił w pamięci mały kuternoga, którego ruchy robiły

zupełnie wrażenie toczącéj się kuli. Niziutki, okrągły, z głową, przypominającą kształtem dynię a przybraną w czapkę, któréj by mu pozazdrościł nie jeden wiejski nauczyciel z biednéj szkółki—mógłby nią zastępować globus, była prawie kulista, z dwu stron nieco spłaszczona. Nawet u kołnierza, klap i pół spencerka miał rogi ścięte; szczególna, że i nazwisko nosił takie krótkie jakieś a zabawne, iż dźwiękiem przypominało coś okrągłego. Wyszło mi ono z pamięci. Ilem razy go widział, zawsze nie szedł lecz biegł, jakby istotnie było mu gdzie pilno, toczył się niby piłka. Dłuższa lewa noga, którą ciągnął nieco za sobą po ziemi, wcale mu nie hamowała szybkości poruszeń. Koledzy lubili żartować z kulasa, ale to go wcale z tropu nie zbijało, i ile razy zdarzyło mi się słyszéć walkę na języki pomiędzy nim a przeciwnikami, zawsze jego zostawało na wierzchu. Raz któryś krzyknął z drugiego końca, kiedy ten właśnie dobiegał do Intencyj, był więc blisko okna:

— A nie machaj tak nogą, bo szybę wybijesz i skórę ci połatają za szkodę.

— Podstaw ślipie złodzieju — odpalił w téj chwili kulas, niezwalniając wcale biegu—to obacysz czy nie wybiję, jeszcze ci dam szóstkę na maść.

Codziennie przybiegał pośpiesznie do Intencyj, chwytał gałkę, wodził palcem po szkle szukając numeru, potém rzucał gałkę i spluwał klnąć głośno:

— *Cie szlak* trafil

Te słowa wygłaszał, mknąc już z powrotem. Powtarzało się to z najdoskonalszą jednostajnością.

Późniéj dowiedziałem się, iż ciągnienie numerów nie było wcale dowodem przykładnéj pobożności i nikt pacierza odmawiać nie myślał. Intencyami temi posługiwali się do wróżenia. Gdy który np. trafił na 65 nr. i odczytał: „Ze prędkie dusz w czyszczu cierpiących odkupienie“, brał to za przepowiednią szybkiego wyjścia, otrzymania krótkiéj kary, lub ułaskawienia. Nie lubiono i lękano się spotkać numer 103 „Za grzeszników niepoprawnych, którym wieczne potępienie grozi“.

Pod wieczór jednego z tych dni, jednostajnych jak krople drobnego deszczu, męczących jak upał południowy, długich jak noc bezsenna, stałem jeszcze według zwyczaju w mojém obserwatoryum, chociaż w téj chwili nie było już bardzo na co patrzéć. Na zamkowéj wieży zegar powolnie wydzwonił 6-ą. Procesya do Intencyj urwała się, wracających zbyt późno od roboty więźniów klucznik zaganiał odrazu do kaźni. Niektóre cele, między niemi i moje były już zamknięte na dwie kłódki. Przysłuchiwałem się ostatnim dźwiękom

życia, które za chwil kilka miały już umilknąć aż do przyszłego ranka. Klucznik—nazywał się Rudy — narzucił płaszcz na ramiona i drepcze niecierpliwy na miejscu, chciałby coprędzéj oddać klucze i iść na kolacyą. A tu więźniowie ciągną wciąż powoli z roboty.

Dwu młodych drabów stoi naprzeciwko mego okienka i sylabizuje dla rozrywki różne wyrazy i wiersze „Intencyi." Znam ich— to posługacze. Jeden przynosi mi co rano czarną gomółkę, którą on nazywa piernikiem, inni mianują bartkiem, a zarząd więzienny przez upór przyzwyczajenia uważa najniesłuszniéj za bochenek chleba; drugi posługacz co kilka dni zamiata kaźnię. Na oknie korytarza siedzi szczupły, choć niezbyt niski mężczyzna, z maleńką główką, w okrągłéj również maleńkiéj czapeczce. Cała jego postać, każdy ruch sprawiają dziwne wrażenie, zdaje się, że ten człowiek zdołałby wszędzie przeniknąć. Wygląda jakby nieustannie ściągał ku środkowi ciała wszystkie członki swoje, dla tém łatwiejszego przesunięcia się przez maleńki otwór. Drobniutkie oczki świécą przenikliwie, latają jak odbicie ruchomego lusterka po ścianie; z ust nie schodzi mu uśmiéch, mający pozór raz umiejętnego przymusu, drugi raz przyzwyczajenia. Pod pachą trzyma skórzane zawiniątko. I tego znam—to golarz więzienny. Siedzi w jednéj kaźni z posługaczami, a ci korzystają z przywileju, iż są zamykani ostatni.

Niecierpliwy klucznik usiadł, stękając, na ławie pod oknem. Na korytarzu wciąż słychać kroki powracających.

— Nie mo*żu*sz ta złodzieju iść pr*yn*dzéj — popędza pan Rudy.

— A pudzi tu Łuniak — zawołał nagle do kogoś dla mnie niewidzialnego.

Na dostępnéj dla oka mego części korytarza pokazał się zaraz niski bezkształtny więzień, w nowym spencerku. Wydał mi się podobnym do krótkiego pniaka, osadzonego na dwu cieńszych kółkach.

— Dali ci nowy paletot — przemówił klucznik.

— Dali.

— Ja tam gadał wachmistrzowi*u*, co potrzebujesz.

— Bóg zapłać!

— Wystarczy ci do wyjścia — odezwał się golarz cienkim a ochrypłym głosem, charkając z żydowska.

Łuniak podniósł głowę i z podełba spojrzał na mówiącego.

— Nie wiadomo jeszcze, gdzie ty skończysz — odrzekł chrapliwie.

—.No, idziemo do kaźni—przerwał klucznik; powstał z wysiłkiem i powoli powlókł się za więźniem, pobrzękując kluczami.

— Nie wiele on już pociągnie — przemówił golarz i zwrócił oczy na posługaczów, sylabizujących wciąż pomimo zmroku.

— Spać! — zawołał nagle Rudy.

Więźniowie odeszli.

Za kilka dni przypadł szczęśliwy termin spacerowania „z korytarzem.“ Zwykle chodziłem sam, w drodze łaski tylko raz na parę tygodni pozwalano mi w ten sposób korzystać z towarzystwa sąsiadów. Wyszliśmy do ogrodu. Tak nazywano szeroką ścieżkę pomiędzy chlewkami a płotem warzywnego ogrodu p. Verwaltra. Ścieżka ta ubita była nogami ludzkiemi na klepisko, ale po każdym deszczu spacer po niéj nie różnił się niczém od pracy zduna, mieszącego nogami glinę w dzieży.

Tylko przy bardzo sprzyjających okolicznościach mogłem na zbiorowym spacerze znaleść inną uciechę jak widok twarzy, ruchów i postaci aresztanckich i bierne przysłuchiwanie się ich dowcipkom lub kłótniom. Mówić w owym czasie nie wolno mi było, zaledwie najpobłażliwsi dozorcy i jedynie w razie nieobecności pana Verwaltra tolerowali jakieś odezwanie się. Tego dnia na kamieniu pod murem siedział stary dozorca Sołtys, człek spokojny i nielubiący nikomu wyrządzać przykrości. Verwalter wyjeżdżał w téj chwili „na szańce“, aby dokonać obowiązkowéj ceremonii oględzin tamtejszego gmachu więziennego.

Wprowadzony zostałem do ogrodu ostatni. Więźniowie zajmowali całą ścieżkę. Jedni chodzili grupami, inni włóczyli się pod płotem pojedynczo, niektórzy trzepali kołdry, kilku, skuliwszy się i podgiąwszy nogi pod siebie, siedziało pod murem. Jakiś biédak wsadził ręce i nos za koszulę, brudną jak fartuch kowalski, i łapał z filozoficznym spokojem pchły. Niedaleko od wejścia stał oparty plecami o płot Łuniak. Okrągła twarz, żółta jakby z wosku, była pełną i wynędzniałą zarazem. Oczy, nos, usta wyglądały niby kreski, zrobione przez kogoś od niechcenia na niekształtnéj bryle glinianéj, aby jéj nadać podobieństwo do twarzy ludzkiéj. Czapeczkę więzienną miał nasuniętą aż do brwi.

Przeszedłszy kilka razy wzdłuż płotu, zatrzymałem się koło dozorcy.

— Zna pan tego więźnia, co stoi tam pod płotem? — wskazałem na Łuniaka.

— To Łuniak, prowadziłem go na sąd.

— Za co on siedzi?

— A proszę pana, miasto spalił.

— Nie może być!

— A jakże!

— Sam się przyznał?

— Gdzie tam, on nic nie mówił ani sędziemu, ani na rozprawie. Stał tak jak ten kamień—Sołtys uderzył ręką o czworograniasty słupek, na którym siedział.

— To może on nie spalił?

— Ale, proszę pana, żona własna po spowiedzi go oskarżyła.

— Żona?

— A tak.

Przy wejściu do ogrodu pokazał się pan Zaborski, dozorca, dźwigający naprzemian z Rudym klucze pierwszego korytarza. Twarz miał mocno czerwoną, trzymał fajkę w zębach, czapkę przekręcił na bakier z fantazyą. Widywałem go zbyt często, aby nie wiedziéć, co oznacza taka barwa twarzy i taka postawa. Zbliżył się do nas, przymrużył lewe oko i zapytał Sołtysa przyciszonym głosem:

— Stary pojechał? — chodziło mu o Verwaltra.

— Już — odpowiedzieliśmy razem z Sołtysem.

Klucznik spojrzał na mnie groźnie, o ile człowiek pijany może groźnie patrzéć. Byliśmy z sobą w bardzo dobréj komitywie, tylko jak Zaborski miał wódkę w głowie, to mu zaraz na język występowała surowość. Skrzywił się, głowę przechylił nieco na bok i nieco na dół, nogę jedną wysunął naprzód, potém zasyczał przez zęby:

— Pan nie możesz do nas mówić.

— Siadaj pan spokojnie. Tu nie pańskie rządy tylko pana Sołtysa, jak pan tu będziesz hałasował, to pana do ciemnéj dziury wsadzim.

Spojrzał na mnie osłupiałemi oczyma, nie mogąc połapać się i dobrze pojąć sensu słów moich.

— *Was sagen Sie*?—odezwał się po chwili.—To teraz więźniowie będom rządzić? — wygiął dolną wargę i zmarszczył brodę.

— A tak, tylko co był tu stary i mówił, zapytaj pan Sołtysa.

Sołtys się śmiał.

— No siadaj pan — wezwałem znowu Zaborskiego.

— To pan tu komendant?

— Ja *kriegs-minister* — posadziłem klucznika siłą, ten krzywił się, jakby mnie przedrzeźniał z oburzenia na tak świętokradzkie przywłaszczanie sobie szanownego tytułu; dla byłych żołnierzy, a z nich rekrutują się wyłącznie dozorcy, „kriegs-minister" pozostaje na całe życie jakąś wszechpotężną władzą, któréj wszystko w państwie podlega.

Usadowiwszy i uspokoiwszy jako tako Zaborskiego, zwróciłem się znowu do Sołtysa.

— I dużo ten Łuniak dostał?

— Łuniak — przerwał Zaborski — Lanckoronę spalił.

— Śmierć, tylko cesarz ułaskawił i dał mu całe życie — odpowiedział Sołtys.

— Dawno on siedzi? — pytałem dalej.

— Oho! Już cztery roki chyba? — Sołtys powiedział to tonem pytającym, zwracając się do Zaborskiego.

— W inkwizycie rok więcéj siedział — wycedził ten ostatni, odwróciwszy się od nas zupełnie.

— Ciągle pod pańską ręką? To mu było ciepło!

Pan Zaborski pokazał znowu swoje oblicze. Skrzywił się, spojrzał na mnie groźnie, potém uśmiechnął się nagle i trącając Sołtysa łokciem w bok, powiedział:

— Lubim tego pana, bo bardzo wesoły!

Pochlebiała mu zawsze opinia surowości.

— Pod którym numerem on siedzi? — zagadnąłem raz jeszcze.

— Pan tego nie może wiedzieć — zasyczał szybko skrzywiony Zaborski.

— Pod siódmym, czy co? — odpowiedział Sołtys znowu w sposób pytający.

Zaborski głową kiwnął.

— Z tym pańskim spólnikiem, co to w małéj czapeczce chodzi—dodał—z panem Rywańskim. — Sołtys — mówił dalej klucznik przyciszonym głosem — to dobry chłop, ja go znam dawno. Przy nim można wszystko mówić. Drugi jest k a p u ś. Zaraz wszystko staremu przepowie. Musim być ostrożni. Pan Rywański to mu chleb daje. Ja nie lubim tego — strasznie się skrzywił Zaborski. — Drugi ukradnie, to sam ma. A ten co ma, o—tu zrobił giest niedoopisania — wszystko z dymem puścił.

— Tak — dodał sentencyonalnie Sołtys — taki najgorszy.

Pogawędziwszy jeszcze nieco z dozorcami, rozpocząłem znowu przechadzkę. Łuniak stał wciąż oparty o płot. Zatrzymałem się przed nim.

— Wy siedzicie z panem Rywańskim, prawda? — spytałem.

Łuniak patrzył na mnie. Zbliska twarz jego była jeszcze dziwniejsza, jeszcze mniéj kształtna. Pomimo małych rozmiarów całości, pojedyńcze części leżały nieproporcyonalnie jakoś daleko od siebie. Skóra pomarszczona; w fałdach czarne bruzdy. Maleńkie oczki zapadły gdzieś głęboko, ale świeciły gorączkowym blaskiem, widać w nich było niby niepokój, jakby w téj chwili porwała go nagle myśl żywa i pchała do czynu gwałtownego. Z przodu włosy kryły się zupełnie pod czapką, a brwi miały kolor skóry, tak że gęstości ich poznać nie można było. Niektóre włoski wyrosły nad-

miernie i, wygięte w łuki, sterczały nad oczyma, budząc w patrzącym obawę, że się dostaną do oka i sprawią ból przykry.

— Co? — nagliłem o odpowiedź.

Milczał.

— No, czemuż nie odpowiecie, przecież po ludzku was pytam.

Milczał.

— Panie, panie, tu pana wołają—rozległ się głos Zaborskiego.

Obejrzałem się, Sołtys wzywał mnie ręką. Poszedłem do nich.

— Niech pan nie mówi nic do złodziei — upomniał prosząco stary dozorca.

— Nie można—dodał stanowczo i surowo Zaborski.

Po powrocie do kaźni i późniéj we wspomnieniu mojém o Łuniaku tkwiła przedewszystkiém drażniąca nerwy obawa, aby mu długi łukowaty włosek nie zalazł do oka.

Po niejakim czasie sędzia śledczy, a może władza więzienna uznała, że w sprawie tak ważnéj jak nasza, koniecznie wypada okazać niepraktykowaną czujność i wykonać przedsięwzięcie, któreby jednych natchnęło przestrachem i grozą, drugich w zdumienie i podziw wprawiło. Zarządzono więc powszechną rewizyą czyli w i e l k ą g r a n d ę, jak się niedosyć lojalni więźniowie wyrażali.

Celebrował wachmistrz Pańkowski, najzacniejszy poczciwiec, jakiemu kiedykolwiek poruczono poszukiwania śledcze. Tak pasował do téj roli, jak zasłużona szkapa chłopska do angielskich wyścigów z przeszkodami. Przystroił się w kurtę paradną, przyczepił do boku długi pałasz, a twarz powlókł uroczystą powagą. Przypuszczam, że nie wiele razy w życiu nadarzyła mu się sposobność przywdziewać taką wysoce świąteczną godność na dobroduszne oblicze: może raz, jak do wojska wstępował, a drugi raz, gdy wiódł przed ołtarz dzisiejszą panią Pańkowską, obecnie bardzo szanowną matronę.

Naprzód usłyszałem niezwykły, a jakiś tajemniczy ruch na korytarzu; można było poznać, że dużo ludzi przyszło, ale, co się nie zdarzało nigdy, rozmawiali szeptem. Potém zaczęły brzękać klucze i kłódki, ale także ciszéj niż zwykle. Nareszcie stłumiony szelest zbliżył się do moich drzwi. Skobel zgrzytnął, drzwi skrzypnęły, do kaźni wkroczył poważnie wygalowany wachmistrz, a za nim dozorca również ustrojony w nową kurtkę i również przy pałaszu tylko o wiele krótszym. Poczciwy Pańkowski nastroił marsa, powiódł dokoła surowe spojrzenie i... wyszedł pełnić daléj obowiązki głównego komendanta. Dozorca przetrząsał pościel i inne rzeczy, szukając wewnętrznéj korespondencyi, prowadzonéj na kartkach. Z miny poznać można było odrazu, że go wszelkie kartki na świecie, chociażby naładowane zbrodnią stanu,

jak letnie chmury elektrycznością, obchodzą tysiąckrotnie mniéj niż napotykane po drodze cygara: *kuby* cztero-centowe, a szczególniéj *wirżynia*. Wracał więc do nich nieustannie z wytrwałością głodnego kundla, odganianego od miski z jadłem. Taktyka była tak umiejętna i tak stanowcza, iż musiała koniecznie doprowadzić do celu i nadzwyczajna a wysoko pomyślana rewizya u mnie, zarówno jak w większości kaźni, skończyła się tylko nadzwyczajnym poczęstunkiem.

Zaledwie ceremonialnie wprowadzony dozorca zdążył usunąć się za drzwi, wszedł Rudy i oświadczył, że jestem przeniesiony do innéj celi, ale niedaleko, bo tylko pod numer 7-my, leżący na tym samym korytarzu w ciemnéj odnodze.

Dotąd siedziałem sam jeden, parę tylko razy dostawałem na czas krótki towarzysza. Długa samotność, zatruta przymusową bezczynnością, jest ciężkiém doświadczeniem losu, pomimo to współlokatorów moich żegnałem z takiém uczuciem, z jakiém nawiedzona ludność żegna przemijającą zarazę. Kaźnia, do któréj mnie obecnie przeniesiono, długa i wąska, o dwu oknach, czysta względnie, wyglądała jak nadziana na gruby drąg, którego końce tkwiły w przeciwległych ścianach. Opierano na nim deski, tworzące „pryczę“ do spania. W dzień deski te złożone były w jednym końcu pod ścianą na gromadę, na noc rozkładano je i tworzono pomost, zajmujący całą długość celki i połowę jéj szerokości. W drugim końcu piętrzył się pod sam sufit stos sienników. Na ścianach wisiały półki, na nich spoczywały „szalki“, poprzegradzane drewnianemi łyżkami. Blaszane „szalki“, kształtem przypominające kaszkiety kawaleryi austryackiéj, zastępują więźniom miski, talerze, szklanki. Były nawet w kaźni pewne ozdoby, stanowiły je arabeski z kolorowego papieru, powycinane z wielką fantazyą i nie z mniejszą fantazyą porozlepiane na ścianach. Nigdy nie mogłem sobie zdać sprawy z intencyi artysty. Na drzwiach nad okienkiem wisiał kalendarz ruchomy, sporządzony bardzo prosto przez więźniów.

Gdym po raz pierwszy przestąpił próg 7-go numeru, po kaźni spacerował jeden tylko człowiek—Łuniak. Inni lokatorowie w liczbie dziesięciu, jak się o tém dowiedziałem, wchodząc, ze znaczku zrobionego kredą na zewnętrznéj stronie drzwi, byli nieobecni, widocznie wyszli na robotę. Skazanych na całe życie nie wypuszczano razem z innymi. Wejście moje zrobiło na podpalaczu bardzo małe wrażenie. Na jedno mgnienie oka przystanął i spojrzał, potém zaraz rozpoczął nanowo spacerować wolniutkim krokiem, kołysząc się nieco w chodzie na obie strony. Złożyłem pod deskami mizerne moje ruchomości, które stanowiły węzełek, dający się w garści nie-

mal ścisnąć i wspiąłem się na okno, aby zbadać pozycyę nowéj siedziby i zresztą, aby coś z sobą zrobić.

Łuniak początkowo chodził całkiem spokojnie, musiałem jednak przerwać mu nałogowy sposób używania ruchu, gdyż po małéj chwilce zaczął nucić pod nosem jakąś niepochwytną melodyą i... łapać muchy, których kilka, pomimo dosyć wczesnéj i wcale niegorącéj wiosny, wałęsało się po ścianach kaźni. Zdawało się, że robi on to z wielkiém zajęciem. Machał ręką niezgrabnie, lecz szybko, potém ściśniętą pięść zbliżał nieco do oczu i powoli, ostrożnie ją roztwierał. Jeźli mucha została ujętą, to ją puszczał i łapał inną, lub drugi raz też samą.

Chociaż siedziałem od niego o kilka kroków, widziałem doskonale długie, jasne, łukowate włoski, grożące oczom. Drażniły mnie i poczułbym wielką ulgę, gdybym je mógł był mu obciąć.

Do każdego innego byłbym przemówił zaraz, do tego mruka nie mogłem, bom pamiętał jego niechęć do rozmowy ze mną w ogrodzie. Wkrótce obecność jego przestała mnie zajmować i przeszkadzać. Widziałem, że nie zwraca na mnie żadnéj uwagi.

W dni powszednie miałem z Łuniaka jedynego towarzysza od godziny 6-téj z rana do 6-téj wieczorem. Przez całe niedziele, święta i po 6-téj wieczorem codziennie kaźnia pełną była gwaru i śmiéchu. Więźniowie po całodziennéj robocie wracali wcale niezmęczeni, widocznie nie bardzo wytężali siły. Brali się zaraz do kart lub bawili w inne gry. Łuniak zaprzestawał wtedy spaceru, siadał z nogami na pryczy, plecami opierał się o stos sienników i patrzył gdzieś. Oczy biegały mu wtedy niespokojnie, tak, jak je po raz pierwszy widziałem w ogrodzie. Zdawało się, że jest czémś mocno zajęty, a tymczasem trwało to godziny, dni i trwało by zapewne tygodnie i miesiące, gdyby nie konieczne przerwy. Kara jego zaostrzona była postem dwa razy na tydzień, we środę i w piątek i w te dni nie dostawał nic do ust. Rocznicę swojéj zbrodni spędzać miał zawsze samotnie w ciemnicy.

Raz, kiedy Zaborski wpuścił Łuniaka po spacerze do kaźni, ten zamiast rozpocząć natychmiast, wedle niezmiennego zwyczaju swoją wędrówkę z kąta w kąt, stanął, spojrzał na mnie, przybrał postać czającego się człowieka, obrócił głowę na prawo, potém na lewo, następnie zdjął ręcznik z gwoździa i zasłonił okienko we drzwiach. Patrzyłem nań zdziwiony i nawet — wyznaję — czułem pewien rodzaj jakiéjś niewytłómaczonéj trwogi. Łuniak tymczasem zbliżał się do okna, na którém siedziałem, przelazł przez drąg pryczy, obejrzał się raz jeszcze na drzwi i wyciągnął w końcu do mnie rękę z maleńkim zwitkiem.

— Od pana Rywańskiego — szepnął.

Wziąłem zwitek i chociaż kartka od kolegi nie była niczém nadzwyczajném, tak jakoś zostałem zdziwiony, żem nawet skinieniem głowy nie podziękował za przysługę.

Główną treścią kartki było oddanie Łuniaka pod moją opiekę. „To dobry człowiek—pisał Rywański—uczciwy, nie zdradzi, nie ma nikogo na świecie, coby mu pomógł. Ja mu dawałem zawsze to i owo. Pomagaj mu i ty, będziemy mieli dobrego listonosza.“

Czytanie skrawka papieru, nagryzmolonego kawałkiem niezatemperowanego grafitu, zajęło mi ledwie kilka sekund czasu; nim skończyłem, Łuniak powrócił już do zwyczajnéj swéj wędrówki. Zbliżał się właśnie do ściany i zamierzał ręką na muchę.

Kolega upewniał mnie o jego uczciwości. Zabawnie to brzmiało w zastosowaniu do przestępcy. Ale wszystko na świecie jest względne, w kryminale to słowo ma téż swój sens właściwy.

Pomimo tego upewnienia, nie mogłem zdobyć się na ufność względem mego towarzysza. Było w nim coś, czego nie rozumiałem. Słysząc go po raz pierwszy, jak głosem chrapliwym, z groźbą prawie odpowiadał golarzowi, widząc jego zaciętość w milczeniu, przypuszczałem, że jest stanowczy, zapamiętały, skłonny do gwałtu, to mi tłómaczyło samą zbrodnię. Ale teraz, mając wciąż przed oczyma jego bezczynność i bezmyślność, musiałem zmienić zdanie. Za wszystko starczy mu łapanie much po ścianach! Zupełny niedołęga, nieumiejący sobie w niczém dać rady. Kartki nosiło wielu więźniów, żaden nie robił z tego takich wielkich rzeczy, żaden nie stroił by tyle ceregieli, będąc sam-na sam zamknięty w kaźni, témbardziéj, że na korytarzu dyżurował Zaborski, z którego nikt sobie nic nie robił. Podpalacz i tchórz! Najgorsza kombinacya potworności moralnych. Może wymaganie od podpalacza zamiłowania do jawności nie było bardzo racyonalném, ale tak mi się wtedy w rozdrażnieniu przeciwko irytującemu towarzyszowi niedoli wydawało.

Nie robiłem sobie nic z niego, bo wynędzniały w więzieniu był widocznie o wiele słabszy odemnie, ale zasnąć przy nim, jakeśmy byli we dwu tylko, nie miałbym odwagi. Nie pojmowałem go i bałem się dlatego.

Kiedy łączył już nas fakt przyniesienia kartki, sprobowałem nawiązać rozmowę.

— A gdzie pan Rywański siedzi?

Zamiast odpowiedzi wzruszył nieco ramionami.

— Nie wiecie?

Wzruszył ramionami raz drugi.

— Pan Rywański was bardzo lubił. Prawda?

— Dobry pan — odezwał się Łuniak nareszcie a jednocześnie udarował wolnością złapaną tylko co muchę.

— Żałujecie, że go ztąd zabrali?

Pokiwał głową jakby z żalem, ale giest taki mógł także wyrażać, że ostatecznie bardzo o to nie dba.

— Zaniesiecie mu jutro kartkę odemnie? Dobrze?

Znowu kiwnął głową.

Z takim rozmownym towarzyszem trudno było oddawać się dłuższéj gawędce, musiałem wrócić do dawnéj swej taktyki milczenia.

Ponieważ pisywałem do Rywańskiego więcéj dla zasady podtrzymywania korespondecyi niż z interesu, a także dla rozmaitości, bo z nudów trzeba było jednak czémkolwiek się zająć, więc téż w kartkach nie miałem zwykle arcyważnych i arcypilnych spraw do poruszenia. Nadmieniłem mu o dziwacznem postępowaniu Łuniaka i o niemożliwości zupełnéj dogadania się z nim.

Rywański odpowiedział mi, że z nim było toż samo z początku, ale z czasem pozyskał zaufanie i mógł jako-tako się rozmówić. „Jego historya jest szczególna—pisał—rozpytaj więźniów."

Byłbym to już dawniéj zrobił bez porady, gdybym miał możność pogadania z kimś swobodnie o téj sprawie. Ale cały dzień spędzałem z Łuniakiem, a chociaż wieczorem schodzili się inni, to i on był obecny.

Dopiéro jakoś w maju—było ciepło i zapewne na świecie uroczo, bo się Planty okryły rozkoszną wabiącą zielenią,—całodzienne sam-na-sam z Łuniakiem skończyło się, dostaliśmy towarzysza.

Więźniowie wrócili na noc z roboty w mniejszéj niż zwykle liczbie. Brakowało mularza Nowaka. Z rozmowy więźniów pomiędzy sobą wywnioskowałem, że miała miejsce jakaś awantura.

— A co się stało z Nowakiem? — zapytałem.

— E, proszę pana, to taki paskudziarz—zabrał głos Filipczyk, najpewniejszy siebie z całéj kampanii, złodziéj z profesyi, któréj wcale nisko nie cenił, miał owszem swoje etyczne wymagania zawodowe i nie był wolny od pewnego rodzaju ambicyi. — Poszedł na świat budować — ciągnął daléj — i ukradł parę papierków. Jakeś wpadł do kryminału, to patrz, żebyś wyszedł prędzéj, a nie ściągać tam parę papierków, co i schować nie ma gdzie! — Paskudziarz! — dodał jeszcze raz z pogardą.—Nie zdążył ich przygnać dozorca z roboty, a do starego już przyszli ze skargą. Oni na hof, a stary zaraz w rząd. „Kto ukradł papierki?" Nikt nic nie mówi. „Rewidować!" Rewidują, akurat u Nowaka znaleźli w kołnierzu trzy papierki. Stary go zaraz w pysk, raz drugi: „A ty psia-cie-mać, milion dyabłów zjadłeś...."

— Bił go? Verwalter?—przerwałem.

— Dwa razy tak go lunął w pysk, aż się na hofie rozległo.

— Przecie on nie ma prawa bić! — mówiłem z oburzeniem i zdziwiony.

Pomimo zmroku na ustach więźniów dostrzegłem uśmiech.

— Bije i jest.

Co prawda nie miałem racyi dziwić się bardzo, bom nie piérwszy raz dowiadywał się, jaki użytek robi pan Verwalter z rąk swoich. Ale czułem potrzebę uspokojenia sumienia własnego, a zarazem dosadnego zwrócenia uwagi więźniów, że postępowanie podobne mija się z prawem. W kilka dni po przyprowadzeniu mnie tutaj, obudzony zostałem w nocy wielkim hałasem. Wśród ciszy nocnéj rozlegał się jęk i krzyk, jaki wydawać może tylko człowiek bardzo gwałtownie cierpiący.

— Jezus Marya, niech mnie pan nie bije, panie Verwalter.

— Psia-ci-mać, milion dyabłów zjadłeś!—rozlegał się jednocześnie gniewny a doniosły głos pana Verwaltra.

Na drugi dzień dowiedziałem się od Zaborskiego, że to Verwalter, wróciwszy w nocy z wesołéj kolacyjki, usłyszał o jakiémś wykroczeniu i wymierzał doraźną sprawiedliwość.

— A gdzie teraz Nowak?—zapytałem.

— Siedzi w ciemnéj dziurze, wsadził go stary na 24 godzin. Nie kazał brać do roboty i na spacerkę niepuszczać.

— Biédny człowiek—zakończyłem.

— Ot, głupi!—poprawił Filipczyk.

Na drugą noc Nowak wrócił do nas. Przez całe następne 24 godziny miał humor, przypominający smakiem chrzan świeżo utarty, klął i spluwał. Spuchnięte policzki świadczyły o prawdzie słów Filipczyka. Powoli jednak udobruchał się i na trzeci dzień jużeśmy gawędzili swobodnie. Gdy Łuniak wychodził na spacer, zostawaliśmy sami z Nowakiem. Mularz miał bardzo obiecującą twarz, otwartą, inteligentną i przyjemną. W rozmowie był rozsądny i rezolutny.

Jak tylko całodzienna konwersacya nadała mi pewne prawa do uprzejmości jego i zaufania—co têm łatwiéj przyszło, że pochodził, jak się okazało, z Królestwa i widział we mnie rodzaj swojaka wśród ludzi, obcych nam obu,—zapytałem go zaraz o Łuniaka. Rozpocząłem od samego początku:

— Za co on siedzi?

— Lanckoronę całą spalił.

— Tak!.. To dziwna rzecz, nigdybym nie myślał. Kiedyż on taki spokojny, nawet niedojda!

— Niech pan temu nie wierzy, oho, nie znał go pan dawniéj...

— I co go do tego skłoniło?—przerwałem, zajęty przedewszystkiém biegiem własnych myśli.

— Tego dobrze nikt nie wié.

— Bo téż on może nie spalił?

— Aha! jak go tylko tu, do turmy, przyprowadzili, to on był jak wściekły, przystępu do niego nie było. Szalkę z kaszą we drzwi, chleb za drzwi. Zaborski był pijany. „Co ty—mówi—Łuniak, tu tak hałasujesz, wójtem na wsi byłeś?“ A Łuniak do niego przyskoczył: „Jak—gada—świnie zechcecie potruć, to im takiéj kaszy i takiego chleba dajcie“. Tylko zębami zgrzytał, pięściami o ścianę tłukł. My to tam, wié pan, między sobą żartujem; jeden drugiemu czasem powie tam złodzieju, albo zgnijesz w kryminale, na to mu odpowie się tak samo i koniec, wiadomo żarty. Łuniakowi—niech Bóg broni. Tu był taki ślepy rybak (pan go nie znał, już wyszedł może dwa roki będzie), to raz się z sobą pokłócili, ale tak tylko. To mu Łuniak mówi: „Ty strachu na wróble“, a rybak powiada: „Na wróble to nic, ale jak ciebie za Lanckoronę na małym hofie powieszą, to będziesz ludzi straszyć“. Kiedy Łuniak nie skoczy!.. Ślepie mu krwią zaszły. Jak zacznie krzyczéć: „Ty złodzieju, taki, owaki“. Piana mu z ust wyszła... Złapał nóż i do ślepego. Zaraz inni się zerwali, Baster, ten z drugiego korytarza, i wyrwali mu nóż. To przecie Baster, to miał tak o... wszędzie pokrajane ręce. Tylko że ambitny złodziéj i Łuniaka lubił, to nie poszedł na skargę. Znów raz zaczęli gadać, kto ile łokci—niby ile lat—dostanie. Pan wié, w inkwizycie to furt o tém gadają. Tak Baster mówi Łuniakowi: „Ty, Łuniak, to chyba całe życie dostaniesz, jak cię cesarz ułaskawi“. A Łuniak zaraz na nogi: „Nie doczekanie ich, żebym całe życie tu gnił; jak Lanckoronę spaliłem, tak kryminał spalę!“ My się strasznie dziwili. Czy to można wiedziéć, kto w kaźni siedzi, może być niejeden taki dobrodziéj, co się zamelduje do sędziego i powié: ten się przyznał, wszyscy słyszeli i świadków mają. To my nigdy się w kaźni nie przyznajem, jak na sądzie, każdy tam łże jak może i wykręca się, a przysięga, że o niczém nie wié. A on to jeszcze parę razy potém wygrażał: „Jak Lanckoronę spaliłem, tak kryminał spalę“. Czasem to do niego ktoś przychodził, wołali go, to siedział i pół godziny i więcéj. A zawsze jak wrócił, to miał kilka papierków. Innemu to zawsze tam kto przyniesie bądź chleba, bądź tam kiełbasy, czy bigosu, a jemu furt papiérki dawali. I zawsze był potém taki butny, jak by miał już jutro wychodzić.

A nie bał się nikogo. Dziadom, tam Zaborskiemu czy Rudemu, to dobrego słowa nigdy nie dał, z kaźni wyganiał. Zaborski to nic, tylko się śmieje, jak to on: „uspokoisz ty się—powiada—cze-

kaj!“ Ale Rudy, to nieraz bywało dobrze mruczał i groził: „Wsadzum cię do ciemnéj dziury, nie bój się“! Jak opowiadali, że Verwalter wybił kogo, to każdy się przyznał do strachu, on nie, tylko pięści zaciska. „Żeby on tylko mnie zaczepił, jabym tego p s i a - c i m a ć, m i l i o n d y a b ł ó w z j a d ł e ś, nauczył! Nieraz na spacerze, leci stary przez ogród, czy przez hof, my wszyscy czapki z głowy, a Łuniak nie, przekrzywi kaszkiet na ucho i jeszcze patrzy mu w oczy. Wie pan, u Verwaltra ręka jak na nasmarowanych zawiasach chodzi, a jego nigdy nie tknął.

Ale jak go przyprowadzili z rozprawy, my patrzym—źle! To biały jak ta ściana, to czerwony, to jak ta ziemia święta czarny. Pytamy dziada, co go na sąd prowadził. Dostał szubienicę! Przez cały czas rozprawy—powiada—nie odezwał się ani słówka. Prezes go pytał i przysięgli i prokurator, nawet swemu obrońcy nie odpowiedział nic.

— My wszyscy myśleli—ciągnął daléj mularz,—że on zwaryuje. Czasem to tak ryczał jak para wołów, czasem tak klął, że my się żegnali; w nocy się zrywał, włosy garściami szarpał, głową o ścianę tłukł. Z kaźni piekło zrobił, chwili spokojnéj nie było. Ani zagrać w co, ani porozmawiać, i jeszcze go omijać jak wrzód na ciele.

Dopóki ułaskawienie cesarskie nie przyszło, to on chodził jak w febrze: krzyknie kto na korytarzu, wołają kogo—on do kratki zaraz, głowę przyłoży i słucha. Dziad bywało drzwi otwiera—on już drży. Ale co raz to mniéj krzyczał, tylko w sobie tail.

— Długo ułaskawienie nie przychodziło?—spytałem.

— A to... ze dwa miesiące, czy co?

— To długo.

— Długo? Co to, proszę pana, za długo! Pod drugim siedzi za zabójstwo, to czwarty miesiąc już czeka. Ale my się bardzo chcieli dowiedzieć o Łuniaku, jak on spalił, dla czego? Dziad, co był na sądzie, coś tam mówił, ale sam dobrze nie wiedział i nie rozumiał. A Łuniaka choćby w żarna włożył, nic by się od niego nie dowiedział, tak jak i teraz. Baster to go ciągle pytał: „Powiédz, powiédz wszystko jak było, może się da jeszcze co zrobić. Aż raz mu Łuniak jak byli sami powiedział: „Ksiądz mnie namówił, ksiądz mnie zgubił“! Ale więcéj nic gadać nie chciał.

Dopiero jakoś przyszli tu ludzie z pod Lanckorony za bójkę, było ich może 12-u. Tak my do nich: „Za co Łuniak? spalił?—„Spalił“.—„A dla czego“. Oni tak, owak, niewiadomo. „On sam gada, że go ksiądz namówił“. Wtedy jeden powiada: „I ludzie tak gadają. Żonę ma szelmę, do księdza latała, a jego się bali, bo gwałtownik, to i uprzątnęli. Namówili, żeby spalił, a późniéj na spowiedzi ksiądz

kazał wydać“. A drugi gada: „Nieprawda, nieprawda! To dawny wikary zły był, że go z Lanckorony wysadzili i kazał Łuniakowi spalić nowego wikarego“.

Mularz przez chwilę milczał, podniosłszy oczy do góry.

— Nie pamiętam, jak to on gadał, czy to nowy czy stary wikary kazał żonie zakapować. Więcéj do dziś niewiadomo. My sobie późniéj miarkowali, że do niego to pewnie przychodził ten ksiądz, co go podmówił. Dawał papiérki i nie kazał nic gadać. Ten głupi usłuchał; teraz to pies kulawy o niego się nie dowie.

— No a jakże ci ludzie mówili—zapytałem znowu—porządny to był człowiek na świecie.

— Chwalili, gadają, nie pił, pracowity.

— Czy to jaki rzemieślnik z Lanckorony?

— Gdzie tam—żywo przerwał mularz z pewnego rodzaju dumą i oburzeniem nawet—to taki chłop, chamuś!

— Teraz to on już chyba ma niespełna rozumu?

— E, on już nie długo pociągnie.

Powrót więźniów ze spaceru przerwał rozmowę.

Z Łuniakiem wchodziłem coraz to w lepsze stosunki i widocznie zyskiwałem jego zaufanie. Nosił moje kartki i ku wielkiemu zgorszeniu pana Zaborskiego dostawał cząstkę mego pożywienia. Przekonałem się, że nie jest on, pomimo takiéj jakiéjś martwoty umysłowéj, pozbawiony sprytu pewnego. Dowiadywał się różnych rzeczy, mnie obchodzących: o kolegach, o tém kto był u sędziego, kogo gdzie posadzili itd. Udzielał mi tych informacyj w sposób nadzwyczajnie lakoniczny, jak gdyby przedewszystkiém dbał o jak najmniejsze sfatygowanie języka; zdawało się, że wprzód nim usta otworzył, pracował nad ułożeniem zdania możliwie najoszczędniejszego.

— Pan Kremer pod 55-y.

— Przenieśli go tam?

Stwierdził kiwnięciem głowy.

— To na czwartym korytarzu?

Znowu kiwnął głową.

Raz przyniósł mi pod spencerkiem cały arkusz papieru, używanego w fabryce więziennéj do wyklejania kufrów; lewa strona wyśmienicie nadawała się do pisania. Jak on go zdobył—nie wiem. W każdym razie był to czyn do wykonania trudny. Naprzód dostać, a potém schować podczas spaceru, musiał strzedz się zarówno dozorców jak i więźniów. Wpadł szybko, aby go Nowak nie widział; nie podał zdobyczy mnie, ale wsunął szybko do palta, wiszącego na ścianie.

— Papiér—szepnął.

Pomimo widocznego zbliżenia, na gawędkę wyciągnąć go nie mogłem.

— Cni się wam?—pytam.

Nowaka w tej chwili nie było, poszedł do komory po tytuń.

— Dawniéj cniło się, który to już rok!

Spojrzałem na niego, właśnie zamachnął się na muchę.

— Nie darują wam czego z kary?

— Darują... djabła kulawego... cztery deski.

— Was za spalenie?

— Za spalenie.

Może przez wyobraźnią wskutek opowiadania Nowaka, ale mi się wydało, że i pytanie i odpowiedź przykrość mu sprawiła. Chciałem jednak wybadać go szczegółowiéj. Pomimo jednogłośności twierdzeń, błąkało mi się jeszcze po głowie przypuszczenie: może nie spalił? Trudno mi bardzo było przystąpić. Trzeba widać pewności chirurga, że się pomoże nieszczęśliwemu, aby śmiało dotknąć zbolałéj rany. I zdecydować się nie mogłem stanowczo i, zdecydowawszy się na sekundę, rozpocząć nie miałem odwagi. Nareszcie sprobowałem ubocznéj drogi:

— A jak to się stało, że was złapali?

— At... złapali!

— Toście wy rzeczywiście podpalili?

Spojrzał na mnie, i o ile nieruchomość maski pozwalała, widziałem na twarzy jego zdziwienie.

— A całe życie za co dali!?..

Przyszedł Nowak; ale i bez téj przerwy wątpię, czybym daléj pytał. Więcéj do téj materyi już nie wróciłem.

Przekonałem się wkrótce, że nietylko jeden Zaborski był zgorszony pomocą, udzielaną przezemnie Łuniakowi. Nowakowi téż się to nie podobało. Powiedział mi o tém naprzód Filipczyk i radził, abym się strzegł. Potém powtórzył mi toż samo Zaborski. Wywołał mnie na korytarz i skrzywiony, obróciwszy się przez pół tylko do mnie, z nogą, z ręką i z fajką wysuniętą naprzód, jakby chciał uciekać od czyjegoś natręctwa, mówił pocichu, akcentując każde słowo:

— Nie daj się pan oszukać. Nowak to złodziéj jest. Jak on Rudemu powie to, co mnie mówi—będzie bieda. Do starego zakapuje—Zaborski przy wyrazie „stary" skrzywił się jeszcze bardziéj.—Ja do pana nie mogłem nic mówić. Co to jest—podniósł głos—proszę do kaźni!

Trzasnął drzwiami i zamykał kłódkę z takim szczękiem, jakby go najwyższa pasya targała. Nie zdziwiło mnie bynajmniéj takie zakończenie rozmowy: była to zwyczajna taktyka Zaborskiego. Alem pojąć nie mógł, co za niebezpieczeństwo grozić mnie może ze strony Nowaka. Jakiś obskurny złodziéj, którego nawet kolega z rzemiosła nazywa paszkudziarzem! Chwast czepiający się buta na „spacerce“ byłby mi równie strasznym. Mógł stać się niewygodnym, ale niebezpiecznym, albo groźnym!?... Pieniędzy nie miałem przy sobie, więc nawet okraść mnie nie był wstanie. Ze słów Filipczyka i zresztą z przymówek samego Nowaka wiedziałem, że to chodzi o chléb, masło i mléko dawane Łuniakowi. Ale zaradzić temu nie mogłem. Na dwu było mało tego, com miał,—na trzech nie starczyło by w żaden sposób. Zresztą najmniejszéj racyi nie było karmić takiego łotra. Łuniak nosił kartki, ten nie robił mi nic, a zmieniać listonosza nie miałem ani potrzeby, ani zamiaru. Gdyby nawet do Nowaka można było miéć zaufanie, to i tak większa ilość posłańców zwiększała niebezpieczeństwo.

Przychodziło mi na myśl, że Nowak może wiedziéć lub zgadywać coś o kartkach, alem tego nie mógł bardzo brać do serca. Sam on przecie opowiadał mi tonem potępienia o dobrodziejach, co się meldują do sędziego ze skargą—jakże mógł teraz dopuścić się czegoś podobnego. Przytém pisywałem zawsze na oknie, odwrócony plecami do kaźni, zasłaniając sobą cały otwór i wysunąwszy obie ręce po za kraty, tak że z kaźni nikt w żaden sposób dojrzéć nic nie mógł. Łuniakowi wsuwałem maleńkie zwitki nieznacznie w rękę albo wtedy jak nikogo więcéj w kaźni nie było, albo przynajmniéj jak nikt nie patrzył. Szelma rzezimieszek jakoś to jednak zwąchał.

Zamierzałem rozpytać Zaborskiego o co mu chodziło, alem nie zdążył. Miał do mnie przemówienie już dobrze po dwunastéj, a o 1-éj oddał klucze Rudemu i poszedł. Z Rudym już była inna gawęda. Nie przypuszczałem, ażeby ostrzeżenia tyczyły się tak bliskiéj przyszłości. Myślałem sobie, że trafię może na taką chwilę, kiedy Zaborski będzie trzeźwy i łatwiéj dojdę do końca. Rano nie zawsze bywał pijany. Rzeczywiście po trzeźwemu byłby mi powiedział, iż na moją prośbę on z kancelaryą byliby zaraz Nowaka przenieśli do innéj kaźni; ja o tém wtedy jeszcze nie wiedziałem.

Na drugi dzień rano o 10, jak zwykle, Rudy otwierał kłódki i wypuszczał więźniów na spacer. Kartka moja od półtory godziny była już u Łuniaka. Nareszcie przyszła koléj na nr. 7. Rudy uchylił nieco drzwi i wykrzyknął zwykłe:

— Spacer!

Widziałem, że Łuniak ociąga się nieco. Kiedy Nowak już wyszedł, podbiegł do mnie szybko i zwrócił kartkę.

— Nowak przezdradzi!—szepnął.

Wyszedł, ale nie uszło paru minut, w czasie których słyszałem jak więźniowie opuścili korytarz, wrócił Łuniak, a za nim wtoczył się ciężki Rudy.

— Rozbieraj się!—wyrzekł groźnie ten ostatni.

— Co to takiego?—spytałem.

— Oskarżyli, co óny kartkie nosi.

Zeskoczyłem z okna.

— Dajże pan pokój, panie Rudy, czyż pan będziesz zwracał uwagę na to, co szczeka taki pies Nowak! Zły jest, że mu nie daję mléka jak temu biédakowi.

— Biédakowi—powtórzył Rudy—taki biédak! A czy tu pan wié, że óny całe miasto spaluł, ludzi bez dachu zostawił. A pan go karmi jak kogujś dobrego. No, rozbieraj się!

Okazało się, że i tego gorszyła pomoc, okazana Łuniakowi.

— Ja pana proszę, daj pan temu pokój.

Częstowałem nieraz Rudego herbatą z arakiem i kubami po cztery centy, sądziłem więc, iż powinien był dać ucha mojéj prośbie.

— Ja muszu zrobić, co do mnie należy.

Pal cię sześć, pomyślałem, szukaj! i tak nic nie znajdziesz. Przypomniało mi się, że kartkę ja mam w kieszeni. Wróciłem więc na okno, bo tam mi w razie niebezpieczeństwa łatwiéj było zniszczyć. Nie czekając zresztą na niebezpieczeństwo, począłem ją targać.

Skończywszy rewizyą, Rudy kazał Łuniakowi ubrać się napowrót, a sam czekał.

— Możesz iść na spacerku — odezwał się doń teraz już łagodnie.

Łuniak wyszedł, Rudy został. Chęć wytłómaczenia się przedemną uważałem na bardzo naturalną z jego strony. Dopomogłem mu nawet.

— No widzisz pan, czy to warto było słuchać takiego złodzieja!—przemówiłem pierwszy.

— Pan jeszcze ni wi, co to są za kapusi. Myśli pan, óny zara do starego zakapui, to ja muszu.

— Przekonał się pan, że żadnych kartek nie ma. Widział pan kiedy jaką kartkę u mnie.

— Już my wimy! A niech pan takieguj złodzieja nie karmi. Czy to mu tu źle. Ma co jeść, gdzie spać. Ja za 3o papierków muszu mieszkanie nająć, karmić siebie, karmić żone.

Rudy wyszedł. Ostatnią przymówkę zrozumiałem, ale co znaczyło „m y w i m y“ nie mogłem się domyślić. Czy oni wiedzą, że ja nie pisuję kartek, czy téż że pisuję, chociaż rewizya tego nie wykryła?

O jedenastéj wrócił korytarz ze spaceru. Łuniak przyszedł, ale Nowaka nie było.

— Gdzie Nowak?

— Wzruszył ramionami.

— To on ciebie zakapował?

— Niech go szlak trafi!

W tém rozległ się na korytarzu grzmiący głos Verwaltra.

— Kluczny!

Po chwili, kiedy już Rudy widocznie się stawił, Verwalter powiedział do niego, ale tak, że się wśród murów rozległo·

— Przyprowadzić Łuniaka!

Mój towarzysz drgnął; po raz pierwszy widziałem na twarzy jego silniejsze wrażenie. Oczy schowały się gdzieś głębiéj i stamtąd żywiéj jeszcze płonąć i biegać poczęły. Wargi mu drżały, cały się trząsł. Widać było wielki przestrach.

Z korytarza dochodził szelest ciężkich a przyśpieszonych stąpań Rudego po kamiennéj posadzce, opodal słychać było powolniejsze kroki kilku innych ludzi. Szczęknęła kłódka, Rudy drzwi otworzył.

— Łuniak, pudzino!—zawołał przyciszonym nieco głosem.

W téj chwili przyszły mi na pamięć słowa Nowaka: „u Verwaltra ręka chodzi jak na wysmarowanych zawiasach!“

— Nie chodź Łuniak na korytarz, niech tu przyjdą!—zawołałem.

Zanim jednak zdążyłem przeleść przez drąg już Rudy wyprowadził Łuniaka.

Przyłożyłem twarz do kratki we drzwiach. Gwałtownemu Verwaltrowi nie starczyło widać cierpliwości, aby czekać na zawołanego, i przyszedł sam. W mroku korytarza widziałem tylko sylwetki. Niski, bezkształtny, ale widocznie mizerny Łuniak stał w obwisłéj kurtce więziennéj przed tęgim rozrosłym Verwaltrem. Pierwszy kulił się, drugi, stojąc nawet, rozpierał się jak gdyby. Po za nim czerniała gromadka z kilku dozorców złożona. Pan Verwalter przybył ze świtą.

— To ty, psia-ci-mać, milion dyabłów zjadłeś, kartki roznosisz!

— Ja nie, panie Verw...

— Zrewidować go — zwrócił się pan zarządca z rozkazem do dozorców.

— Ja go już zrewiduwałem panie Verwalter. nic nie ma— wmięszał się Rudy.

— Zrewidować!—przerwał mu powtórny rozkaz, zbyteczny, bo już dozorcy szarpali biédnego Łuniaka. Z zadziwiającą wprawą i z niepojętą szybkością, literalnie w mgnieniu oka, zdarli z niego ubranie, nie szczędząc zapewne szturchańców. Chwilę przetrząsali i macali wszystko, grzebali we włosach, oglądali palce u nóg.

— Nie ma nic?—spytał wciąż jednako groźnym i stanowczym tonem Vervalter.

— Nic.

Łuniak zaczął naciągać napowrót ubranie, ale nie mógł dokończyć. Verwalter zwrócił się teraz do niego.

Serce we mnie zamarło, nadeszła straszna chwila.

— Psia-ci-mać, milion dyabłów zjadeś, kartki nosisz! — krzyknął z całéj siły Verwalter, i jednocześnie straszna ręka podniosła się do góry.

Łuniak rozumiał, że pan Verwalter nadarmo fatygować się nie mógł, wiedział co go czeka. Zanim jeszcze groźny giest został zrobiony, on już cofnął się w tył i podniósł ręce, jakby chciał się niemi zasłonić.

Tyle już lat ubiegło, a ruch ten podpalacza mam w oku w téj chwili, jakbym nań patrzał; była w nim nieprzytomność z przestrachu bezgranicznego i bezwiedna a pokorna prośba bezbronnéj i bezsilnéj ofiary.

Wzniesiona ręka spadła ze strasznym trzaskiem, cofnięcie się Łuniaka tylko powiększyło jéj zamach. Głowa więźnia uderzyła z łoskotem o mur wąskiego korytarza. Znowu trzask i głowa odrzuconą została na ścianę przeciwną.

Krew uderzyła mi do twarzy! Taki gwałt, taka krzywda, takie bezprawie, takie brutalstwo przemocy! Zacząłem bić pięściami w blachę okienka.

— Jak pan śmiesz bić więźnia! — krzyknąłem. Chwytałem za drzwi pragnąc zapewne je otworzyć, ale nie drgnęły nawet w swoich okuciach.

— Proszę hałasów nie robić, co to jest! — zwrócił ku mnie surowy lecz spokojny już głos pan Verwalter.

— To bezprawie, to....

Pan Verwalter nie słuchał, opuszczał szybkimi krokami korytarz, krzyknął tylko jeszcze na Rudego:

— Wsadzisz go na czterdzieści ośm godzin do ciemnéj dziury, potém mi o nim przypomnisz.

— Dobrze.

Za chwilę Rudy otworzył drzwi, za nim stał blady, trzęsący się, zakrwawiony i widocznie nieprzytomny Łuniak.

— No bierz swoje... — zaczął klucznik.

Odepchnąłem go i wypadłem na korytarz nawpół ledwie przytomny.

Verwaltra już nie było.

Rudy ciężkim swoim krokiem biegł niemal za mną.

— Co pan robi, to nie możnu, kto widział, proszu do kaźni!— perswadował napół groźnie, napół prosząco.

— Prowadź pan mnie do kancelaryi — przerwałem mu.

— Teraz niemoznu, potemuj pana poprowadzim.

— No to ja sam pójdę — zwróciłem się ku drzwiom.

Rudy jęknął i powlókł się za mną.

Wpadłem do kancelaryi.

— Proszę posłać do pana prezesa, że ja potrzebuję się z nim widzieć natychmiast.

Z drugiego pokoju wyszedł Verwalter.

— Co pan ma za interes do prezesa?

— Panu nic do tego!

— Ja nie poślę teraz do prezesa.

— Pan musisz posłać, proszę w téj chwili... To ja list napiszę. Proszę mi dać papieru — zwróciłem się do urzędnika kancelaryi.

— Prezes—odezwał się drwiąco Verwalter—nie jest w każdéj chwili na pańskie zawołanie. Teraz pan pisać nie może, bo pański spólnik pisze.

Obejrzałem się—żadnego „spólnika“ nie było, sami urzędnicy.

— Nie ma nikogo.

— A ja panu mówię, że pisze — powiedział z naciskiem i wyniośle. — Proszę wracać do kaźni. Rudy!—wskazał oczyma klucznikowi wyjście, a sam wpadł do drugiego pokoju i drzwi zatrzasnął.

— Poczekaj łajdaku! — zawołałem w bezsilnym gniewie.

Urzędnicy, pochyleni nad papierami, usiłowali nie patrzéć na mnie, jakby się bali strasznego zajścia jakiego. Rudy ciągnął mnie za rękaw. Wróciłem do kaźni. Łuniak zakrwawiony, z okropnie spuchniętą twarzą, chodził już spokojnie po celce.

— Zabrałeś rzeczy? — spytał Rudy.

Łuniak nie odrzekł nic.

— Pudzi — zakomenderował klucznik.

— Nie chodź — zawołałem i chwyciłem Łuniaka za rękę. Ale ten widocznie probował mi się wydrzéć i usiłował iść za Rudym.

— Co pan robi — odezwał się zgorszony klucznik. — Wojska spruwadzą i będzie tak po wszystkiemu. Pójdzie pan do pana prezesa, jak zawołaju.

Łuniak wyrwał mi się i poszedł do ciemnicy.

Człowiek, co zna świat z opowiadań przedewszystkiém, co na życie przez okno zawsze patrzył, gdy się trąci o twardą, brutalną rzeczywistość, staje wobec niéj jak wobec przepaści, przerażony, obezwładniony głębią, ogromem, jakiego nie znał i nie przypuszczał. Ogarnia go wtedy zgroza, zdumienie, oburzenie, złość, a nareszcie rozpacz. Takich uczuć doznałem i ja, siedząc samotnie w kaźni. Nareszcie, myśląc o bezmiarze dzikości i okrucieństwa, rozpłakałem się. Łkałem jak dziecko, chociaż od kilku miesięcy byłem już pełnoletni.

Jak tylko usłyszałem, że na korytarzu jest już Zaborski, zawołałem go zaraz do kaźni. O cudo, pomimo iż południe dawno minęło, był jeszcze trzeźwy.

— Masz pan — wsunąłem mu w rękę garść kubów. — Codzień będziem herbatę z arakiem pić, ale mam do pana wielką prośbę.

— No?

— Wiész pan, co się stało z Łuniakiem?

— A no, mówiłem panu.

— Zanieś mu pan mój obiad.

Zaborski skinął głową na znak zgody.

— Teraz nikogo nie ma na korytarzu — dodał. — Tylko — pogroził palcem — niech pan nikomu ani słowa. Jakby Rudy wiedział, zakapowałby.

— Niech pan mu zaraz zaniesie i niech pan tu wróci.

— Mój panie Zaborski— prosiłem go daléj jak wrócił — niech mi pan koniecznie da znać, jak będą wołać do prezesa, bo Rudy, pan wié....

— Dobrze — odpowiedział, oglądając fajkę, takim tonem, jakby chciał wyrazić: pójdziesz, nie pójdziesz tam, na jedno wyjdzie.

Wieczorem dowiedziałem się od więźniów, że Verwalter przez cały dzień był strasznie zły. Bił jeszcze z dziesięciu za bagatelki, na które innym razem wcale by nie zwrócił uwagi. Widzieli w tém skutek mojéj opozycyi. Samo zajście z Łuniakiem nie mogło go tak rozgniéwać, zbyt często używał swojéj prawicy za narzędzie kary, aby to miało go humoru pozbawiać. Wedle ich zdania, 48 godzin ciemnicy było terminem niepraktykowanie długim, zwykle sadzał na 12-cie, na 24-ry godziny najwięcéj, i to także przypisywali krzykom moim przez okienko.

— Oho, stary zawzięty — mówili, kiwając głowami. — On nawet nie ma prawa sadzać na tak długo, ale co jemu, kto tam będzie wiedział, kto się za złodzieja upomni.

— A do prezesa iść nie można? — wykrzyknąłem.

— Do prezesa iść, a palnąć się dwa razy w pysk — to jedno — twierdził Filipczyk. — Pójdzie do niego więzień. „Tak i tak, panie prezesie.“ A on zaraz: „Byłeś tu już“? Jak więzień powie: „nie“, to on: „No to widzisz, pamiętaj, że tu źle i więcéj nie przychodź.“ A jak więzień powie, że był, to prezes mówi: „No to wiedziałeś, że źle, pocóżeś przyszedł.“ Nic się nie wskóra, a że stary zawsze tam jest, to potém w pysk wali.

Rozpytałem jeszcze raz więźniów o ciemnicę, chociaż wiedziałem przedtém, że to loch, leżący naprzeciwko naszéj kaźni po drugiéj stronie korytarza, gdzie grunt wznosi się o całe piętro wyżéj. Nie ma tam ani posłania, ani stołka, tylko drąg taki, jak u nas do pryczy, i konewka z wodą. Okienko całe można dłonią zakryć. Wiedziałem także, że zamkniętym tam nie dają żadnego pożywienia.

Po odsiedzeniu wyznaczonego terminu, Łuniak wprost z ciemnicy odstawiony został na s z a ń c e. Szańce były postrachem więźniów, rodzajem miejsca zesłania dla nich. Opowiadano okropne rzeczy o wilgoci, która pochodziła ztąd, iż cały budynek grzązł jak gdyby w ziemi. Prócz tego w trzech czy czterech jego izbach, nabitych ludźmi, dzień i noc robiono koszyki, a że robota ta wymaga nieustannego moczenia prętów, więc podłoga nie wysychała z wciąż odnawianych kałuż. Wyziewy z moczonych gałęzi nie były podobno ani przyjemne, ani zdrowe. Tam setka przeszło ludzi spędzała życie, po całych tygodniach, nie przekraczając progu.

— Najzdrowszy — mówili więźniowie i dozorcy — jak tam na dwa miesiące pójdzie, to go tu przywiozą do szpitala. Łuniakowi już tam będzie „kaput“ — dodawali.

Za kilka dni Zaborski ogłaszał uroczyście na korytarzu:

— Do prezesa!

Przyszedł do mnie i spytał:

— No, chce pan do prezesa? Niech się pan zbiera!

Byłem już gotów zupełnie. Poszliśmy zaraz, ale trzeba było czekać w jakimś ogromnym przedpokoju, zanim skończy się obrzęd słuchania innych więźniów. Miałem dobrą otuchę. Doświadczyłem już raz dowcipu pana prezesa, kiedy mi wywiódł, iż oskarżony jestem zbyt ciężko, aby mógł pozwolić na sprowadzenie do więzienia mojéj czystéj bielizny. Wiedziałem, że pod bacznem okiem jego dzieją się niesłychane nadużycia, że więźniowie mrą z głodu, bo jedzenie zupełnie nie jest w stanie podtrzymać sił, prędzéj otruć może. Zwracano mu na to uwagę, ale skargi pozostawały bez najmniejszego skutku. W najlepszym razie odpowiadał, że sam widuje codzień to jedzenie, probuje i jest bardzo smaczne. W saméj rzeczy on codzień probował to, co mu przynosili, a przynosili mu,

jakem raz widział, rzeczy bardzo smakowite, ale tak podobne do tego, co dawali więźniom, jak dystylowana woda do rynsztokowego błota. Pomimo to miałem dobrą otuchę. Postanowiłem zdobyć się na największą chociażby cierpliwość, ale jednocześnie stanowczo oświadczyć, iż popełnia tyle bezprawia, że raz może dać ucho poczuciu sprawiedliwości. Przygotowałem się zupełnie do przemówienia, od kilku dni układałem sobie wszystko w głowie.

Woźny otworzył drzwi. Wszedłem, za mną wsunął się Zaborski, ale pozostał przy progu. Pan prezes siedział głęboko w fotelu przy biurku z taką swobodą, jakby to się działo w jego sypialni lub gabinecie prywatnym. Otoczony był kłębami dymu z fajki, którą trzymał zupełnie tak, jak Zaborski; tylko cybuch był trzy razy dłuższy i cztery razy grubszy, a kończył się nie cienką rogową rurką, jak u klucznika, lecz grubym okrągłym bursztynem. Widziałem go już raz, był nieco rudawy, płeć czerwona, jakby natarta tylko-co czémś szorstkiem, twarz zresztą nie miała w sobie nic osobliwego, nic, na czém by oko i pamięć zatrzymać się mogły. Znać było tylko, że to biuralista i w dodatku ze staréj szkoły, zabytek z czasów meternichowskich.

Po za prezesem, oparty łokciem na kantorku, stał Verwalter i uśmiechał się ironicznie a tryumfująco, uśmiech ten pozbawił mnie wiele zimnéj krwi.

— Panie prezesie — zacząłem — kilka dni temu odegrała się pod drzwiami mojéj kaźni scena, która... oburzyła mnie—zamierzałem opowiedziéć to bardziéj malowniczo, ale teraz wydało mi się, że lepiéj będzie rzecz skrócić, opuszczając bardziéj jaskrawe obrazy i przeskakując przez silniejsze wyrażenia. Mam nadzieję, że pan nie zechce tolerować tego nadużycia.

— Co takiego?

— Pan Verwalter zbił i pokaleczył więźnia.

— Sam pan jest temu winien — wtrącił łagodnym i prawie uprzejmym głosem Verwalter—dawałeś pan kartki do noszenia dla wspólników.

— Panie prezesie, ja chciałbym z panem mówić....

— Czy pan nic więcéj nie ma do powiedzenia?

— Według przepisu prawa, pan Verwalter nie powinien tu być — dodałem jeszcze.

— Pan mi tu przepisów nie masz dyktować.... Proszę! — ręką drzwi wskazał.

Probowałem nie ustąpić.

— Więźniowie mrą z głodu — prezes rękę drugi raz wyciągał w kierunku drzwi i zatrzymał ją; z twarzy po za dymem widziałem,

że go te słowa obeszły i zirytowały zarazem—niech pan nie pozwoli przynajmniéj tak ich katować.

— Ja dla złodziei przysmaków z Ameryki sprowadzać nie będę—zawołał gniewnie.

— Więc niech ich pan nie da katować panu Verwaltrowi. Jestem przekonany, że gdybyś pan sam widział—chciałem przemówić mu do serca i do ambicyi, ale przerwał:

— Skąd pan do tego przychodzi, żeby się wtrącać w te rzeczy Pańska sprawa jest dosyć ważna...

Teraz ja mu przerwałem:

— Panu powinno być wszystko jedno skąd skarga za nadużycia pochodzi. Więźniowie powiadają, że przyjść do pana, to tož samo..

Prezes brwi zmarszczył.

— Sami więźniów psujecie, narażacie, kartki nie mogą być cierpiane!

— Przy tym więźniu kartki nie znaleziono. Pan Verwalter sam całą rzecz wymyślił.

— Co mi pan tu będziesz krzywdził urzędników. Sami jesteście burzyciele!.. Wyprowadzić go!

Woźny zbliżył się nieco do mnie i Zaborski zaruszał się pod progiem, Verwalter odskoczył od kantorka i mimiką tłómaczył rozporządzenie prezesa.

— Mniejsza z tém—przemówiłem jeszcze w formie pogróżki siląc się na spokój,—potrafię ja szukać sprawiedliwości daléj.

— Wyprowadzić!—brzmiał jak komenda wojskowa powtórny rozkaz prezesa.

Verwalter stał już przy mnie z ironicznie tryumfującym uśmiechem, spotęgowanym teraz do bezczelności.

Trzęsąc się ze złości i oburzenia, wyszedłem.

Pan Verwalter postanowił mnie ukarać i tegoż dnia przeniesiony zostałem do najgorszéj kaźni, gdzie mogło się pomieścić czterech, a siedziało piętnastu więźniów. Jedni spali na pryczy, drudzy pod pryczą. Ponieważ byli to „inkwizyci“, więc opuszczali celkę tylką w dzień powszedni na godzinę spacerową. Wyziewy, zaduch—okropne! Nie mogłem tak, jak pod 7-ym, siedzieć cały dzień na oknie, bo tu było tylko jedno, a towarzysze nie zgadzali się na nieustające zaćmienie. Kara ta jednak nie wtrąciła mnie bynajmniéj w rozpacz, miałem na pana Verwaltra sposób. Zawezwałem natychmiast służącego i kazałem mu oświadczyć pani, że w téj kaźni nie będę brać ani obiadów, ani mléka, ani masła, ani chleba, ani tytoniu. Wobec cen, jakie na nas p. Verwaltrowa nakładała, była to strata

przeszło trzydziestu guldenów miesięcznie. Rzecz prosta, brzmiał zbyt wymównie argument, aby nie miał sprowadzić natychmiastowego skutku. Na drugi dzień przeniesiony zostałem na drugi korytarz do kaźni pojedyńczéj. Wróciłem do upragnionéj samotności.

Ubiegło znowu kilka tygodni. Zawołałem golarza, aby mnie ostrzygł.

— Wié pan- odezwał się, zabrawszy się do wykonania poruczonéj mu operacyi — wié pan mnie przeznaczyli na Wiśnicz, byliby dziś wywieźli, bo dziś wywożą.

W Wiśniczu znajduje się główne więzienie karne dla Zachodniéj Galicyi. Przebywa tam ograniczona liczba cięźéj skazanych aresztantów. W miarę jak się miejsca opróżniają wywożą na Wiśnicz ze śledczych więzień partyami po kilku lub kilkunastu.

— No i co?—spytałem, chociaż los golarza nie był wcale bliski sercu mojemu.

— Zaraz ja wczoraj dziadów zebrał, oni poszli do Verwaltra prosić, nu, ja się z samym starym znam, on zaraz do prokuratora i fertig!

— Mówią, że na Wiśniczu lepiéj, większy porządek i karmią lepiéj!

— Lepiéj, dla takiego chama, chłopa, co nie umié sobie poradzić lepiéj, dla mnie tu lepiéj.

— Prawda, że wam tu dobrze, chodzicie sobie wolno, macie zarobek.

— Z tego, pan myśli, zarobek, co ja złodziejom brody golę, o! tak moje wrogi mieli taki zarobek! Tu można lepiéj zarobić—dodał tajemniczo.

— No, ale jedzenie?

— Pan myśli, ja raz chociaż to jedzenie tutejsze miał w usta. Skąd! Ja sobie zawsze od lokaja Verwaltrowéj kupuję. Dam szóstkę, to mam zupę jak się patrzy i chleb i mięso. A myśli pan jak dam Zaborskiemu wódki, albo Rudemu cygaro, to oni ze świata nie przyniosą czego ja chcę. Oj! oj!

— Skądże wy wódkę macie?

— No, mam.

— A dużo ludzi wiozą teraz na Wiśnicz — zapytałem po chwili.

— Osiem. Wié pan tego Łuniaka, tego co to za kartkę na szańce poszedł, to jego téż wiozą, już on tu jest.

— Jest! Mój golarzu!...—urwałem.

— Co takiego?

— Nic.

Przyszła mi myśl posłać co Łuniakowi, ale przypomniałem sobie, że dać golarzowi pieniądze do zaniesienia komuś, co na całe życie jedzie na Wiśnicz, to toż samo co mu więcéj za strzyżenie zapłacić.

— Prędko ich wywiozą?

— Za pół godziny, za trzy kwadranse.

— Czy dziś Zaborski dyżurny?

— Nie.

Na moim nowym korytarzu téż był dozorca, któremu nie ufałem. Wiedziałem, że jak wywożą na Wiśnicz, to Verwalter musi być w kancelaryi i nie da zawołać Łuniaka. Nie było rady.

— Proszę pana—odezwał się golarz, widocznie zgadując moje myśli—jemu tam dobrze będzie. Pójdzie do roboty. A jedzenie, myśli pan, takie jak tu: dwa razy ziemniaki, dwa razy knedle, jak tu w szpitalce. A jak w niedzielę dadzą mięso, to pan myśli, takie ze zdechłego jak tu!? O! Tylko on nie długo już pociągnie.

— Dla czego? Zdrów chłop!

— Czy to ja proszę pana pierwszy raz, czy pierwszy rok w kryminale siedzę. Jak tylko taki złodziéj zacznie mruczéć ciągle pod nosem, a muchy łapać, albo kraty rachuje, albo szarpie ze spencerka skubie, a jeszcze nic nie gada, no to już on nie długo pociągnie.

. . . .

Łuniaka nie widziałem, ani słyszałem nigdy więcéj o nim.

L. St.





HELENA MASSALSKA,

Księżna Karolowa de Ligne. Hr. Wincentowa Potocka.

(Histoire d'une Grande Dame au XVIII siècle).

(Dokończenie.)

We Lwowie czeka Helenę niespodzianka, która wpłynąć ma niebawem opatrznościowym sposobem na udzielenie jéj dziwacznym losom nowego zgoła kierunku. Śpieszącą z odwiedzinami do przyjaciółki, ks. Jabłonowskiéj, wita w przedpokoju głos dobrze znany, który mało co o omdlenie jéj nie przyprawia: książe de Ligne, ojciec porzuconego niegdyś Karola, stoi przed nią.

Książe de Ligne nie zmienił się, choć sam wielorakiemi i bolesnemi przygodami doświadczony. Wojna wyzuła go z rozkosznéj rezydencyi w „Bel-Oeil" i z całego prawie majątku, nie pozwoliwszy mu nadto wrócić do upodobanego rzemiosła żołnierskiego. Usunięto go od wszelkiéj komendy, mszcząc się podobno za uszczypliwe dowcipy, od których powstrzymać się nie mógł względem pierwszych niefortunnych przeciwników zwycięskiéj armii francuskiéj. Arcyksięcia Alberta mianowicie, pytającego: czy nie znajduje go zmienionym po chorobie, jaką przebył w następstwie porażki poniesionéj pod Jemmapes, powitał lekkomyśny książe, odpowiadając: „*Je vous trouve*, *Monseigneur*, *l'air encore un peu défait*".

Zmuszony do zadawalniania się szczupłym względnie dochodem z kilku pensyi, z których jedną zawdzięczał Katarzynie II, i skromném względnie także pomieszkaniem w pałacyku Wiedeńskim na wałach, (pomalowanym według gustu jego na różowo), nie stracił książe wesołego humoru, młodzieńczéj werwy i téj dla wszystkich i dla wszystkiego wyrozumiałéj dobroci, która stanowi jednę z najcharakterystyczniejszych i najsympatyczniejszych stron jego moralnéj fizyonomii. Jakiego przyjęcia mogła spodziewać się Hele-

na od tego, w najdroższych uczuciach dotkniętego niegdyś przez nią człowieka, jakich słów z jego ust oczekiwać, w obecnym zwłaszcza składzie okoliczności, domyślić się łatwo. Prędko jednak położył książe koniec jéj obawom. W długiéj i przyjacielskiéj rozmowie, jeśli wspomniał o przeszłości, to dla tego tylko, aby dać poznać młodéj kobiécie niewłaściwość obecnego jéj postąpienia. Toć jedynie namiętne i głębokie przywiązanie do teraźniejszego męża, które wyznawała dotąd, usprawiedliwić poniekąd było w stanie dawniejsze jéj postępki. Rozdział z tym mężem musiał by uczynić ją w oczach całego świata pospolitą kokietką, posłuszną przemijającym kaprysom. Dołączył książe jeden jeszcze argument, przeznaczony, bez jego może wiedzy, do sprawienia na umyśle Heleny najgłębszego wrażenia: Sydonia, jéj córka, wychowana została w uczuciach największego uszanowania dla matki i najzupełniejszéj nieświadomości Warszawskich jéj przygód; czy uczucia te nie musiałyby zostać wystawione na dotkliwą próbę wobec nowego skandalu, odświeżającego koniecznie pamięć przeszłości?

Wzruszona, ujęta i nie wiedząca już co myśléć i co począć, Helena odpowiedziała na te przedstawienia, rzucając się na szyję swemu świekrowi, oświadczając, iż gotowa pójść drogą, którą on jéj wskaże. „Widzę jednę drogę tylko, odparł książę: wrócić do męża, uzyskać odeń łagodnością pozwolenie na wyjazd do Paryża i uwolnić się tym sposobem od przykrego pobytu w Brodach oraz nieuniknionych śród samotnego życia tamtejszego wzajemnych podrażnień“.

W kilka dni po téj rozmowie wyprawiona ze Lwowa sztafeta pędziła do Brodów z listem, w którym Helena objawiała życzenie podjęcia ostatniéj próby porozumienia i chęć powrócenia do Brodów w tym celu; nie czekając zaś na odpowiedź i z jedną ks. Jabłonowską oraz księciem de Ligne czule się pożegnawszy, podążyła zawrócona z niebezpiecznych manowców małżonka do Złoczowa, gdzie spotkać ją miał z odpowiedzią wracający goniec. W rzeczywistości, rady księcia de Ligne dla tego tak łatwo trafiły do jéj przekonania, że odpowiadały tajemnym życzeniem jéj serca. Książe zalecił, aby zrobiła przez rozsądek to, do zrobienia czego nagliła ją miłość. Wywiedziona przytém z zapomnienia i w blasku najpowabniejszych przymiotów ciała i duszy postawiona przed jéj oczami postać siedmnastoletniéj Sydonii opanowała nagle jéj skołatane i uczucia tego, niby deski zbawienia, chwytające się serce. Wracając do boku niewiernego i poniewierającego ją towarzysza, wyobraziła ona sobie, iż ponosi ofiarę dla odzyskania tego jedynego teraz dziecka. Aczkolwiek bowiem oględnie, bo w przewidzeniu silnego

oporu ze strony żony swojéj, staréj księżny de Ligne, książe obiecał, że, byle pozostała przy mężu, zobaczy tę ukochaną niespodzianie córkę.

P. podkomorzy odpowiedział kilku tylko i dość suchemi słowy, wyrażając, że „najlepsze przyjęcie czeka ją w Brodach, dokąd zachowała prawo wrócenia kiedy jéj się podoba“. Ruszyła tedy Helena ze Złoczowa w dalszą drogę, nie bez układania postawy, jaką jéj przybrać względem męża wypadało, aby nie narazić swéj godności, i przebaczając, dać mu uczuć wartość tego przebaczenia. Płonne rachuby i przygotowania! Przyjęta na progu domu i szybko odprowadzona do swego apartamentu przez podkomorzego, „nie lubiącego czułych scen przed świadkami“:

— Czy gniewasz się, żem wróciła? zapytała nieśmiało.

— Gniewam się, żeś wyjechała, odpowiedział małżonek, biorąc ją w swoje objęcia.

Pozwoliła się zatrzymać chwil kilka w tym uścisku, kryjąc opartą o jego ramię i zarumienioną twarz, a potém z głębokiem westchnieniem: „Ach! jakże ciebie kocham, mój Wincenty!“ szepnęła, żegnając się raz jeden więcéj ze swoją godnością i wszystkiemi rachubami.

Niespodziewa się zapewne czytelnik, aby ta, jakkolwiek czuła, naprawa rozerwanych stosunków była zadatkiem wzorowego już nadal i od nowych zatargów zabezpieczonego pożycia małżeńskiego. Próba, którą przebyła w ten sposób Helena, nie pozostała jednak bezowocną. Zrozumiała ona po raz pierwszy potrzebę wypełnienia téj próżni, którą wytworzyła dokoła niéj teraźniejsza jéj dola czémśkolwiek innem po za jedną miłością dla męża, niewystarczającą jawnie, jakkolwiek namiętną; szukania czegoś po za jego osobą i jego pieszczotami. Wzięła się z zapałem do zarzuconego oddawna malarstwa, utrzymywana w szybko rozwiniętym zapale do pracy na tém polu, pochłaniającéj samotne godziny, przez nieszczędzącego jéj zachęt i pochwał małżonka. Nadewszystko zaś przywiązała się do nowego przedmiotu czułych i coraz to serdeczniejszych wspomnień, podsuniętego jéj przez księcia de Ligne w osobie Sydonii. Czyniąc zadość udzielonym jéj przez tego ostatniego we Lwowie nadziejom i obietnicom, Sydonia napisała do swéj matki list tkliwych wyrazów pełen, z radośném uniesieniem przyjęty i nie mniéj tkliwą powitamy odpowiedzią. Raz nawiązana korespondencya musiała stać się coraz to częstszą i poufalszą. Przyszłość téj jedynaczki, czekające ją małżeńskie przeznaczenie, najrozmaitsze odnoszące się do jéj osoby zaprzątnienia i rachuby jęły zabierać w macierzyńskiém sercu co raz to więcéj miejsca. Za spra-

wą zaś tłómaczącego się łatwo zbiegu okoliczności, p. podkomorzy przypomniał sobie w tym samym czasie straconego z oczu i pamięci własnego jedynaka, Franciszka (z drugiéj żony, Mycielskiéj), jedynego dziedzica imienia i fortuny—nawet téj fortuny—jak teraz z goryczą wspominać przychodziło Helenie—która powinna była dostać się kiedyś Sydonii!

I tak przyszło jednego dnia między pogodzonymi małżonkami do następującéj, niespodzianek pełnéj rozmowy. Wchodząc rano do pokoju żony z listem w ręku. „Otrzymałem w tej chwili, rzekł p. podkomorzy, propozycyą dość oryginalną, z któréj pragnę zdać ci sprawę. Pani Seweryna Potocka wyraża mi życzenie swoje, aby syn mój Franciszek pojął za żonę jednę z jéj córek. Dotąd nic dziwnego, ale dodaje ona, iżby pragnęła nie mniéj gorąco, aby jéj syn ożenił się z twoją córką, Sydonią. Na te słowa Helena zadrżała, zarumieniła się mocno i nie odpowiedziała nic. Nie uszło to wzruszenie uwadze p. podkomorzego. „Projekt ten, ciągnął daléj, wydaje ci się dziwacznym tak jak mnie; tym sposobem dzieci nasze stały by się rzeczywiście bratem i siostrą!“ Helena podniosła głowę i patrząc mężowi prosto w oczy: „Mam w głowie projekt dziwaczniejszy jeszcze“, rzekła.—„Jaki?“—„Ten, aby stały się one mężem i żoną“.

I nie bez przeszkód wprawdzie, nie bez silnego oporu ze strony hrabiny Anny, silniejszego jeszcze ze strony księżny de Ligne, projekt ten przychodzi do skutku. Książę de Ligne sam skłania się doń z łatwością, ze skwápliwością nawet. Helena zaś przywiązuje się do obmyślonéj przez się kombinacyi ze zwykłą sobie namiętnością, jak dalece gwałtowną, świadczy o tém jeden z listów, nie najmniéj charakterystyczny w całéj jéj korespondencyi. Postanowione zostało, iż siedmnastoletnia Sydonia i dziewiętnastoletni Franciszek spotkają się w Teplicach, dokąd p. podkomorzy sam podąży dla przedstawienia syna i zagajenia układów matrymonialnych przy pomocy hr. Anny, pozyskanéj ostatecznie dla projektowanego związku. Helena zaś pozostanie przez ten czas w Paryżu, dokąd polepszone obecnie interesa wyprawić ją pozwoliły. Aliści w Paryżu już otrzymany przez nią, a z Drezna wyprawiony przez podkomorzego list zawiadamia ją, że nie doczekawszy się przybycia zatrzymanéj w Polsce nieprzewidzianemi przeszkodami hr. Anny, postanowił p. podkomorzy odwiedzić tymczasem Brody.

„Jakiż cios zadałeś mi!—pisze natychmiast Helena.—Nie wiem już, czy istnieję jeszcze i gdzie jestem, nic mi nie przypomina tego wszystkiego, chyba bolesne uczucie, którego doznaję. Jedziesz tam, po tém wszystkiém, co mi przyrzekłeś i jedziesz dla czego? Dla tego, że źle wybrałeś tego, którego postawiłeś u steru swych intere-

sów, mimo tego wszystkiego, co ci powiedziałam. Pozwalasz się uwodzić chimerycznym obawom! Powtóre podróż twoja zniweczy z pewnością projektowany związek, spotkanie nastąpi w twojéj nieobecności, znajdą się osoby, które udając, że życzą sobie tego, wytworzą przeszkody. Zawsze robisz rzeczy, które najbardziéj szkodzą twym projektom i przywodzisz mnie do rozpaczy, ponieważ nigdy nie mogę rachować na żadną z twych obietnic. Co jest rzeczą pewną, to to, że uważam to małżeństwo za zerwane zupełnie; zdaje się, jak gdyby zły geniusz jakiś skłaniał cię do złych postanowień w tém wszystkiém, co może być źródłem twojego i mojego szczęścia!... Kończę, jestem zbyt zrozpaczona, aby mówić z tobą o czém inném. Posyłam ten list do Brodów, gdzie mniejszy jeszcze panuje nieporządek niż w mojéj głowie. Przyznaję ci, że nie posiadam się z oburzenia. Jakże nieszczęśliwą jest rzeczą, mając serce głębokiéj czułości pełne, żywić uczucie wyłączne i namiętne dla istoty słabéj i wszelakim wpływom podległéj; źródło to nieuniknionych cierpień i rozdzierających niepokojów! Jedném słowem powiedzianém będzie, że zrobiłeś wszystko dla nieszczęścia a nic dla szczęścia mojego.... Omdlałam dopiéro co i otwieram napowrót mój list, aby ci powiedziéć, że zdrowie moje nie będzie w stanie wytrzymać tego, co mnie spotyka; nie wyglądaj już listów odemnie, dopóki nie dowiem się, że spotkałeś się z temi, których powinieneś był oczekiwać, albo przynajmniéj zbliżyłeś się do nich. Jeżeli przeciwnie przedłużysz twoję nieobecność, nie usłyszysz już nigdy o mnie. Mniemam, iż opóźnienie przyjazdu podkomorzyny i reszta, wszystko było obrachowane, rezultat to intrygi, którą oszukano cię, a któréj sama jedna jestem ofiarą, znam cię bowiem zanadto dobrze, abym przypuszczała, że cierpiéć cokolwiek możesz z tego powodu! Co do mnie, nieszczęsny związek ten stał mi się nienawistnym, i gdyby moje przyzwolenie było jeszcze potrzebném, nie dałabym go, nie chcę wiązać się z tymi, którzy wydzierają mi życie!“

Domyśla się zapewne czytelnik, że pamięć o przebywającéj w okolicach Brodów Karwoskiéj nie jest obcą temu wylewowi gwałtownych uczuć. Ale i w tém zapewne nie mam potrzeby oświecać jego domyślności, że groźba nie pisania więcéj do tak srogiemi wyrzutami obarczonego małżonka nie zostaje spełnioną. Pisze jeszcze Helena razy siedm do Brodów; tylko żaden z tych listów nie dochodzi w Brodach do rąk p. podkomorzego. Bardzo przezornie rozporządził p. podkomorzy, aby wszystkie listy, z Paryża doń przychodzące, odsyłano do Teplic i tym sposobem za powrotem do téj miejscowości w oznaczonym z góry terminie, znalazł w ich liczbie

jeden późniejszy datą od dopiéro co przytoczonego, a kończący się temi słowy: „Do widzenia, mój Wincenty, kocham cię jeszcze, nie mogę już wątpić o tém.“

Zjawiła się téż w Teplicach hrabina Anna, coraz lepiéj usposobiona dla projektowanych zrękowin, a nie zmieniona w dawniejszém usposobieniu względem niewiernego małżonka. Jakim był charakter stosunków, które nawiązać się teraz musiały między rozerwaną parą, za sprawą przedślubnych układów i przygotowań, o tém bliższéj nie uzyskujemy pewności. Znajdujemy wszelako bilecik ręką hr. Anny pisany w tym czasie do brata, Michała Mycielskiego, a dość wymowny w swéj lakoniczności: „Znalazłam tu kilka dni szczęśliwych, których nie śmiałam już obiecywać sobie.“ Może wymowniejszém zaś jeszcze jest heroiczne postanowienie, do którego skłania się ona, odmawiając sobie szczęścia towarzyszenia do ołtarza wychowanemu przez się i czule kochanemu synowi. Jak łatwo pojąć, mimo skłonności wszelkiéj do kompromisów, cechującéj obyczaje owoczesne w arystokratycznych zwłaszcza sferach, obecność na ślubnym obrzędzie dwóch żon hr. Wincentego i ich spotkanie się z sobą nie mogło nie nasuwać niejakich trudności. Hr. Anna, pierwsza, oświadczyła, iż wypada uczynić wybór w tym względzie między nią a jéj szczęśliwą rywalką. Zakłopotany podkomorzy użył całéj swojéj dyplomacyi dla skoncypowania listu, mającego skłonić Helenę do pozostania w Paryżu, i dyplomacya jego odniosła niespodzianie pomyślny skutek. Mimo gorącego pragnienia zobaczenia nareszcie téj córki, któréj listami dotąd zadawalniać się musiała, i mimo upokorzenia, na którą skazywało ją przymusowe rozłączenie z nią w takiéj chwili, Helena drżała na myśl tego spotkania z hrabiną Anną, którego i ta ostatnia oszczędzić sobie chciała; przyjęła więc z łatwością odpowiadające jéj tajemnym uczuciom postanowienie, tém łatwiéj, że jednocześnie otrzymała od męża wiadomość, że on sam, po podpisaniu kontraktu ślubnego, odmówi sobie towarzyszenia ślubnemu obrzędowi i do Paryża ku niéj podąży. Aliści nagle, po dłuższéj rozmowie z panem podkomorzym, przy zakończeniu któréj „zostawiła przez chwil kilka rękę swoję w jego uścisku i wysunęła ją wreszcie z westchnieniem“, hrabina Anna siadła do biurka i napisała dwa listy: jeden do Heleny, wyrażający nadzieję, że stan zdrowia nie przeszkodzi jéj przybyć do Teplic na ślub córki, drugi do p. podkomorzego, kończący się temi szlachetnemi słowy:

„Nie mogłam znieść myśli zasmucenia księżniczki Sydonii i syna naszego w dniu, który ma być najszczęśliwszym w ich życiu; nie chcę opóźnić przez moję winę radości, któréj wygląda księżniczka

z poznania swojéj matki. Serce moje nacieszyło się od miesiąca widokiem ich miłości, powinno to wystarczyć mi; zostanę w domu w dzień ich ślubu, modlić się będę za nich, życzenia moje tylko towarzyszyć im będą.“

Nie przyjęła jednak Helena ofiary; ślub odbył się 8-go września 1807 r. w Mariaszówce bez niéj i bez jéj męża, choć śród licznego i wielce świetnego grona krewnych i przyjaciół obu rodzin. Prowadzili do ołtarza Sydonię książę Clary i hr. Wallenstein, Franciszka ks. Sasko-Wejmarski i hr. Naryszkin. Między otaczającemi Sydonią drużkami pierwsze miejsce zajmowała Krystyna de Ligne, przyznana (ale bez tytułu książęcego) córka naturalna księcia Karola, 1-go męża Heleny, nieodstępna jéj od lat dziecinnych towarzyszka. Młoda para podążyła najpierw do Wiednia, gdzie książę de Ligne znalazł pożądaną sposobność popisywania się swoją galanteryą i umiejętnością w urządzaniu festynów i zabaw wszelakiego rodzaju, między któremi teatr amatorski musiał znaleść miejsce. Obu nowożeńcom dostały się role w przedstawieniach „Kobiet uczonych“ i „Agary na pustyni“, w których tytułową rolę grała— pani de Staël. Strój Agary nie przypadł jakoś do twarzy natchnionéj Korynnie. Zaczém, między widzami pomieszczony i już z tego względu źle usposobiony, bo sam grać lubiący, choć niegodziwie grający, książe de Ligne nie zaniedbał popisania się także swoją uszczypliwą werwą. Obracając się do siedzącego obok hrabiego Uwarowa: „Jak się nazywa ta sztuka?“ — zapytał nagle, nie pamiętając niby tytułu. — „Agar na pustyni“, mości książę. — „Ach, nie, nie, przypominam sobie teraz, to „Usprawiedliwienie Abrahama.“

Co mu nie przeszkodziło do zawiązania wkrótce najprzyjaźniejszych stosunków z tą literacką koleżanką, choć opartych na kompromisie, wykluczającym stanowczo politykę z rozmów poświęcanych innym, nie mniéj zajmującym przedmiotom.

W końcu listopada dopiéro, przed bramą wspaniałego pałacu przy ulicy Caumartin, zamieszkanego przez Helenę i jéj męża, odezwał się turkot oddawna wyglądanego powozu—powozu wiozącego tę, do któréj wydzierało się teraz serce nieczułéj niegdyś matki, a któréj postać, odgadywana z rozpatrywanych całemi godzinami miniatur i portretów, nasuwała jéj jednak,—w nieuniknionéj ale bolesnéj łączności wspomnień, inny wizerunek, sponiewierany niegdyś, zapomniany długo. Stawał on ciągle teraz w moich oczach; głos jakiś mówił mi: Nie dałaś mu nawet jednéj łzy, a jednak był on ojcem twojego dziecka. Ta myśl przenikała mnie do głębi duszy, i bałam się mojéj córki.“

Zbiegła jednak ze schodów na jéj spotkanie, zapominając o etykiecie, chwyciła ją w objęcia, słowa wymówić nie mogąc, ani nawet rozpoznać jéj rysów oczami, z których łzy sypały się rzęsiste, zaniosła ją prawie do przeznaczonych dla niéj pokojów, posadziła na swych kolanach jak małe dziecko i pocałunkami ją pokrywając, powtarzać tylko była w stanie głosem przerywanym przez łkania: „Ach tak dawno... tak dawno!“ Potém, z pierwszego wzruszenia ochłonąwszy, oddaliła ją od siebie, ujmując za ręce, szybkiemi ruchami zdjęła z niéj okrycie futrzane, kapelusz, dobyła grzebień z włosów, rozpuściła długie jasne sploty, kazała jéj iść naprzód i cofać się, obracać się w prawo i w lewo....

Prawdomówność historyczna zmusza mnie do zaznaczenia, że podług przechowanych w rodzinie wspomnień, mimo pięknych włosów, kształtnéj kibici i prześlicznéj nogi a ręki (jak zapewnia książe de Ligne), mimo namiętnéj wreszcie miłości, którą rozgorzał dla niéj dziewiętnastoletni małżonek, Sydonia powabną nadto nie była, oszpecona zwłaszcza w sposób dotkliwy przez ospę. Ale tego nie widziała zapewne Helena. Nowa szczęśliwa doba w jéj niedawno tak udręczoném życiu rozpoczęła się dla niéj teraz.

POBYT W PARYŻU. — ŚMIERĆ.

(1807 — 1815).

Dworno przybyli państwo Potoccy do Paryża, podróżując osobno po części za przyczyną zbyt licznego i w przygodnych gospodach nie łatwo mieszczącego się orszaku. W jednym powozie jechał pan podkomorzy sam, w drugim doktór i dwaj plenipotenci, w trzecim czterech sekretarzy; zamykał karawanę szaraban z dwoma kamerdynerami i czterema lokajami i ogromny wóz kuframi naładowany. Dwór Heleny, aczkolwiek mniéj liczny, był jeszcze dość okazałym. Pałac przy ulicy Caumartin, umeblowany przez najpierwszych paryskich tapicerów i stolarzy, Jacob'a, Thomire'a, Glaize'a, zapełnił się sprzętami, których wartość oceniano na 1,000,000 fr. W wspaniałéj jadalni trzy razy na tydzień zasiadało dobrane grono biesiadników, a popisujący się na tych przyjęciach swoją sztuką współzawodnik Vatel'a, wybrany przez znanego specyalistę-smakosza, pana de la Naupaliere, zyskał sobie sławę jednego z najlepszych kucharzy w Paryżu. Kwiat rozproszonego przez emigracyą a zbierającego się teraz napowrót z rozmaitych kątów świata i reorganizującego się towarzystwa garnął się do tych gościnnych progów. Do najczęściéj widywanych i najmiléj witanych

gości należeli stary baron de Breteuil, dość czynny w emigracyjnych latach i wielki przyjaciel księcia de Ligne, książę de Levis, księżna de Mirepoix, stara wreszcie dziś ale niegdyś słynna z piękności a zawsze dowcipna i wystrojona margrabina de Coaslin, ta, któréj słynny finansista Bourette ofiarował milion franków w chwili uniesienia, i spotkał się z odmową, aż nazajutrz dopiéro rozmyśliła się margrabina, ale wtedy Bourette odpowiedział jéj: „To, o co prosiłem wczoraj, miało wysoką cenę; to co mi dziś pani ofiarujesz za drogo kosztuje"; ta, która podczas rewolucyi na widok nieobiecującego posłania, zgotowanego dla niéj w lichéj oberży, wołała: „Ach, to nie łóżko Ludwika XV-go!" Dawna towarzyszka Heleny z Abbaye-aux-Bois, pani de Coigny (panna de Conflans), reprezentowała w tém kółku tę część przedmieścia St. Germain, która dała się zjednać urokowi nowego zwycięskiego porządku rzeczy. Sama Helena okazuje się zrazu entuzyastyczną bonapartystką. Pierwsze chwile pobytu w doświadczonéj tylu katastrofami i po latach dwudziestu, tak zmienionéj stolicy przykrych jéj wprawdzie dostarczają wrażeń. Nowa monarchia nie zdążyła jeszcze zatrzéć wszystkich śladów rewolucyi. Na fasadach dobrze znajomych jéj niegdyś arystokratycznych siedzib napisy: „pałac", „hotel" zastąpione zostały przez „Dom *ci-devant* Bourbon", „Dom *ci-devant* Conti" i t. d. Połowa tych pałaców pozostaje zamknięta i pusta; część przeznaczona została przemysłowym użytkom, ze sklepami urządzonemi na dole, z szyldami kupieckiemi, zastępującemi dawne herby; przez otwarte drzwi wjazdowe widać trawę rosnącą na dziedzińcach, w których tłoczyły się niegdyś wspaniałe ekwipaże.... Pierwsze kroki swoje zwraca naturalnie Helena w stronę „Abbaye-aux-Bois." Niestety! Nikogo w zamkniętym i tutaj i pustym gmachu; zakonnice zostały rozproszone, przełożona umarła; stara przeorysza jedna mieszka opodal w lichéj izdebce przy ulicy de Sevres. A dawne jéj towarzyszki, tak świetnéj z pozoru przeznaczone przeszłości? Panna de Stainville wyszedłszy za mąż za księcia de Monaco, i wyemigrowawszy razem z nim i dziećmi, wróciła pod przybraném nazwiskiem, aby ocalić cośkolwiek z majątku swych córek. Zdradzona przez służącego, stanęła 7 thermidora przed trybunałem rewolucyjnym. Radzono jéj, aby oświadczyła, że jest przy nadziei, dla zyskania czasu. Ponieważ los od roku już z mężem ją rozdzielał, nie chciała okupić życia znieważającém kłamstwem. Wsiadając do fatalnego wózka, prosiła aby jéj podano nożyczki, aby zostawić nieco włosów swoich na pamiątkę dzieciom. Gdy jéj odmówiono, stłukła szybkim ruchem ręki szybę i posiekała kawałkiem szkła piękne warkocze; potém położyła trochę różu na blade od znużenia po-

liczki, „nie chcąc, aby ją blednącą widziano przed rusztowaniem.“ Dwoma dniami póżniéj zamach stanu 9-go thermidora byłby ją ocalił! Z ust drugiéj towarzyszki, księżny de Choiseul dowiedziała się Helena o losie dwóch opiekunek jéj lat dziecinnych księżny de Grammont i księżny du Chatelet. Zapytana przez trybunał rewolucyjny o to, czy nie posyłała pieniędzy emigrantom, „Moje życie nie warte kłamstwa“, odpowiedziała księżna de Grammont. Obie księżne, ścisłą połączone przyjaźnią, razem poszły na rusztowanie.

Jednak, mimo tych strasznych, powiązanych z nią wspomnień, wspaniałość Napoleońskiéj apoteozy olśniewa Helenę.

Do męża, 15 Sierpnia 1807 r.

„Wracam z Notre-Dame i spieszę z udzieleniem ci moich wrażeń; najprzód widziałam cesarza doskonale; galerya, na któréj znalazłam miejsce, znajduje się nad ołtarzem i prawie naprzeciwko tronu. Nie chcę ci mówić najprzód o jego osobie *(sic)*; przed jego przybyciem mogłam rozejrzéć się po kościele, podziwiać okazałość przygotowań i t. d.; ale skoro przybył on, oczy moje i myśl moja nie opuściły go już. Nie jest on wielkiego wzrostu, ale może być za sprawą wyobraźni uprzedzonéj przez pojęcie o jego potędze, znalazłam dużo godności w ruchach jego i postawie. Jest dość grubym, ale widać, że nie jest-to tłustość; są to członki nerwów pełne i skupione, które robią wrażenie raczéj siły niż otyłości. Przychodzę do głowy. O! co téj się tyczy, to nie można jéj odmówić wielkiego charakteru, wybitnego w każdym rodzaju. Przypomnij sobie wszystkie czyny jego życia, znajdziesz je odmalowane w téj głowie, twarz jego przechodzi od wyrazu najwięcéj chmurnego do słodyczy najwięcéj anielskiéj, uśmiech jego to niebo, które się wyjaśnia po burzy. Cóż ci powiedziéć? — głowa Apollina czy jakiéjkolwiek innéj piękności greckiéj nie pasowałaby tak do tego, czém on jest, do tego, co zrobił, jak jego własna; nie odmalowywała by tak dobrze jego charakteru i nie udzielała by tego wrażenia, którego on powinien i prawdopodobnie chce udzielać. Płeć jego nie jest czarną, jest ołowianą, wskazuje noce bezsenne, troski, których dostarcza olbrzymie państwo, i plany, których rozległość jemu samemu może tylko jest znana. Z pewnością płeć rumiana niweczyła by efekt jego fizyonomii i nie byłaby mu do twarzy. Jednèm słowem, radzę mu, aby się pokazywał, nie może stracić na tém.....“

Ale entuzyazm w ten sposób objawiający się, urok świetnych przyjęć dworskich, obecność przy jéj boku odzyskanéj córki, wszystko, co ją do Paryża przywiązywać teraz może, nie przeszkadza temu, że pewnego dnia, w październiku 1809 r. wita ona zdumioną

Sydonię niespodzianą zapowiedzią natychmiastowego wyjazdu do Polski. Co się stało? Stało się to, że ze słów usłyszanych od swych panien służebnych i z listów otrzymanych z Polski wyrozumiała ona, że bawiący obecnie w Radziwiłłowie małżonek nie bawi tam sam: Karwoska znajduje się u jego boku. Pędząc pocztą i nie dając sobie czasu do odpoczynku, nie zważając na zimno, słotę i wszelkie wygody, staje nagle Helena przed nieuprzedzonym i zmięszanym, choć na gorącym uczynku nie schwytanym winowajcą. Mimo podejrzliwych dociekań i indagacyi nie znajduje ona z razu nic, coby potwierdzało zazdrosne jéj domysły i obawy. Spędza miesiąc cały w Radziwiłłowie, w dobréj z mężem harmonii, i uspokojona już, odjeżdża do Brodów dla zabrania ztamtąd przeznaczonych do Paryża przedmiotów, gdy na 3-éj wiorście za Radziwiłłowem nieznajoma ręka wrzuca do jéj powozu bilecik z temi zawartemi w nim słowy: „Karwoska była w Radziwiłłowie w chwili twego przyjazdu, towarzyszyła nieodstępnie twemu mężowi podczas jego pobytu w Berdyczowie i teraz jeszcze zajmuje twoje miejsce“. Dać stangretowi rozkaz zawrócenia do Radziwiłłowa, wpaść do opuszczonego dopiero co domu nakształt bomby i przebiedz od dołu do góry wszystkie pokoje w pogoni za rywalką, jest rzeczą, która nie wymaga ze strony Heleny chwili namysłu. Gonitwa okazuje się i teraz bezskuteczną, zagniewany małżonek poprzestaje na irocznéem zachęcaniu jéj do dalszych poszukiwań dostarczających zajmującego widowiska domownikom; nie przekonana ale pokonana, Helena siada napowrót do powozu. A jednak bilecik bezimienny nie skłamał. Cudem tylko Karwoska, siedząca przy stole ze swoim kochankiem w chwili powrotu Heleny, potrafiła ujść z przed jéj oczu. Nowe informacye, w Brodach otrzymane, nie zostawiają biednéj małżonce żadnéj w tym względzie wątpliwości. Wtedy zdobywa się ona na pomysł heroiczny: sztafeta wyprawiona do Radziwiłłowa wiezie w liście pod adresem pana podkomorzego dwa cyrografy, do których podpisania zostaje on wezwany. Pierwszym z nich zaręczyć on ma słowem honoru, że Karwoska nie znajdowała się w Radziwiłłowie w chwili przyjazdu Heleny, że nie towarzyszyła mu do Berdyczowa i że nie ma jéj teraz jeszcze w Radziwiłłowie; drugim zobowiązać się ma na przyszłość do zerwania wszelkich stosunków z tą kobietą.

„Jeżeli nie możesz, podług twego sumienia, podpisać obu tych zaręczeń, rzućmy raz jeszcze zasłonę na przeszłość; podpisz przynajmniéj drugie, a wrócę do Paryża spokojna; jeżeli zaś nie dotrzymasz przysięgi, będę miała przynajmniéj pismo, które towarzyszyć mi będzie do grobu i z którém pozwę cię przed sąd Boży“...

Hrabia Wincenty rusza ramionami i podpisuje jeden i drugi papiér.

„...Byłam chora, bardzo chora“, pisze Helena odbierając pożądane dokumenta; „wracasz mi życie, wracasz mi szczęście. Dziękuje ci stokrotnie!... Teraz chociażby wszyscy ludzie razem podnieśli głos przeciwko tobie, nie słyszałabym ich... Odjeżdżam spokojna“.

I cesarski Paryż wita napowrót w swych murach tę, która należy do jego najpowabniejszych ozdób. Ale lata mijają szybko. Nadchodzi rok 1814. Gwiazda piękniejszego niż Apollo i z roku na rok nowemi laurami w Notre-Dame wieńczonego zwycięzcy blednieje i gaśnie. Sprzymierzeni zbliżają się pod Paryż, wiodąc za sobą prawowitego króla. Niech żyje Ludwik XVIII! Helena staje się z dnia na dzień zapamiętałą legitymistką. Wypowiada przyjaźń pani de Coigny, która nie chce wyrzec się nowéj swéj monarchicznéj wiary. Dzieli z innemi swemi przyjaciółkami niecierpliwość zobaczenia „bohatéra, któremu wszyscy winni życie“. Tym bohatérem jest Aleksander I. Rozdziéra swoję chustkę na szmaty, aby pomnożyć liczbę białych kokard rozdawanych pospólstwu. Zapewnia, że na widok wkraczającego w mury paryskie wojska rosyjskiego, które budziło niejakie obawy, jeden ogólny rozległ się okrzyk: „Jacy piękni! Jacy grzeczni!“ I sam Ludwik XVIII wydaje jéj się równie prawie pięknym jak niegdyś Napoleon, „zwłaszcza kiedy siedzi, bo chodząc kołysze się nadzwyczajnie na dotkniętych pedagrą rogach“. Spotyka ją zaszczyt ugaszczania przez 24 godzin jego kr. mości i całéj królewskiéj rodziny w zamku nabytym pod Paryżem, w St.-Ouen, i zaszczyt ten najżywszą radością ją przejmuje. Życie towarzyskie, które się teraz rozpoczyna w powróconéj prawym swym panom stolicy, powraca jéj saméj dawne rozkoszne chwile. Odnalazła ona swój Paryż z roku 1787-go, z wykwintnemi salonami, balami, i łowami, na których książe de Berry „raz po razie zbliża się do powozów, dla rozmawiania z damami! z kapeluszem w ręku, jak niegdyś Ludwik XIV“!

Co wszystko nie przeszkadza jéj znowu pisać w połowie października do bawiącego na Ukrainie męża:

„Załatwię wypłaty, które mi polecasz, rozporządzę wszystko i wyjadę ztąd za dni kilka. Jest to mojém nieodmiennėm postanowieniem. Gdybym nie była mogła ruszyć się przed grudniem, byłabym wyjechała także i lody najsroższéj zimy nie były by mnie powstrzymały... Pojadę za tobą aż do Kijowa, jeżeli będzie trzeba. Widzićć cię jest najpierwszą potrzebą mojego serca; aby potrzebie téj uczynić zadość, poświęciłam w młodości mojéj wszystko, przełamałam wszystkie przeszkody. Cierpićć dla połączenia się z tobą nie będzie rzeczą nową dla mnie: utrata zdrowia, życia, nie przeraża mnie; żyć z dala od ciebie, to jedynie może być dla mnie strasznėm!

Dla tego ruszyłabym w drogę nawet wśród najsroższego zimna, ażeby cię choć na minutę zobaczyć, chyba że zostanę w drodze, o co się najmniéj troszczę. Uśmiecham się z pogardą, kiedy mi mówisz zimno o mojém zdrowiu; nie chodzi o to ażeby żyć, chodzi o to ażeby nie cierpiéć. Nie znasz jeszcze namiętności, z takiego kruszcu jak moja; kiedy nie będę już należyć do tego świata, będziesz mógł określić jéj ciekawą historyą, jako przyczynek do historyi serca ludzkiego..... Dziwną jest rzeczą, że los mój powołuje mnie na Ukrainę... Jakżebym chciała zmówić ostatnią moję modlitwę w tym biednym kościołku w Kowalówce! Jakżebym chciała spocząć na wieki obok tych, którzy śpią w jego podziemiach. Jeżeli dusze po śmierci błądzą i mogą przenosić się z miejsca na miejsce, tam to połączą się z tymi, do których przywiązana byłam węzłami, których niestałość ludzka nie mogła zerwać i które przez śmierć tylko przeciętemi będą!"

Ofiara ze zdrowia i życia, którą czyni temi słowy Helena nie w słowach tylko istnieje. Podróż ta wystawia podobno jéj nadwątlone siły na zbyt twardą istotnie próbę. Zniewolona przez lekarzy do opuszczenia Brodów wiosną następnego roku, udaje się ona najpierw do Wiednia z towarzyszącą jéj córką, późniéj, po ostatecznym upadku Napoleona, do Paryża; przybywa tu 7 września, a 30 października żegna się ze światem, z dala od ukochanego męża, w objęciach jednéj, porzuconéj niegdyś, Sydonii. Doktorzy paryscy jednomyślnie przypisują ten zgon nagły i przedwczesny nużącym wycieczkom do Polski, przedsiebieranym w chwilach, gdy zdrowie jéj największego oszczędzania się wymagało.

A pan podkomorzy? Pan podkomorzy okazuje wielką rozpacz. Zaniedbując wszystkie inne zajęcia, zaprząta się układaniem listów drogiéj towarzyszki i pisze u spodu ostatniego z nich:

„O boleści! ten list jest ostatnim jéj listem; umarła a z nią razem szczęście moje!"

Jak dalece atoli długotrwałą jest ta boleść, o tém świadczą dwa dokumenta, których powtórzeniem zamyka panna Herpin swoje opowiadanie, zamieszczając je zresztą—i słusznie—bez żadnych komentarzy. Pierwszy dotyczy projektu, którego wykonaniu przeszkodziła jedynie śmierć pana podkomorzego:

Hrabina Anna do hrabiego Wincentego

Zbaraż, 8 stycznia 1825 r.

Panie hrabio!

„Proponujesz mi nowy związek, zgodzę się nań chętnie, nie mogąc zrobić lepiéj. Zresztą religijny obrzęd oczyści nas z grze-

chów naszych. Jeżeli pozwolisz, panie hrabio, prosić będę księcia arcy-biskupa galicyjskiego, ażeby napisał do ciebie i wziął na się dopełnienie ceremonii tego odnowionego ślubu. Co do mnie zapewniam, że kocham cię miłością tak czystą jak najlepsza przyjaźń i wola twoja będzie moją, przy obecności bożéj między nami i widoku wiecznego błogosławionego życia: nie rozłączymy się nigdy! nigdy więcéj! Zbliż się do Boga, uczyń mu ogólne wyznanie twoich błędów i przyjm moje czułe uściśnienia.

Twoja żona przeszła i przyszła
Anna Potocka.

Drugi dokument jest wyciągiem z rejestrowych ksiąg cmentarza Pére-Lachaise:

„Helena Potocka, z domu Massalska; drugi rząd, na prawo od grobu marszałka Ney'a (w górze), 44-a dywizya, pogrzebiona czasowo na pięć lat d. 2 listopada 1815 r., przeniesiona została 21 marca 1840 do wspólnéj fossy, w któréj porzuconą pozostała".





PIOTR JÓZEF PROUDHON.

MUTUALIŚCI, FEDERALIŚCI I T. D.

I.

Ogólna charakterystyka Proudhona. — Ubóstwo jego rodziców i ciężkie warunki kształcenia się. — Pierwsze prace literackie Proudhona. — Pobyt jego w Paryżu. — Memoryały o własności. — „O utworzeniu porządku w ludzkości.“ — Trzy stany umysłowego pojmowania.—Religia i filozofia.—Metoda układania seryi. — Odgłos saint-simonizmu. — Podział pracy. — Oddanie słuszności komunizmowi. — Prawa ekonomii politycznéj są prawami historyi.—Zbliżenie się Proudhona do socyalistów.—„System sprzeczności ekonomicznych.“ Proudhon na początku rewolucyi lutowéj.—Staje się dziennikarzem.—Zachowanie się jego w Zgromadzeniu Narodowém. — *Le Peuple.* — Bank ludowy. — Proudhon w szeregach demokracyi socyalnéj. — W więzieniu. — „Rewolucya społeczna skazana przez zamach stanu.“—Dzieła Proudhona od 1853 do 1858 r. — „O sprawiedliwości.“—Bóg i absolut.— „Majoraty literackie“. „Teorya podatku“. „O zasadzie federacyjnéj.“ — „Kwestya włoska i polska.“ — „Wojna i pokój.“ — Powrót do Francyi i śmierć Proudhona.

Kiedy Ludwik Blanc, zakrzyczany przez reakcyą, opuszczony przez swych kolegów radykałów, ustępował z trybuny parlamentarnéj, wchodził na nią Proudhon, przeciwnik jego pomysłów społecznych, znany dotąd głównie z tego, że wszystko i wszystkich krytykował. Nazwisko jego wkrótce napełniło wrzawą zgromadzenia publiczne, wywołało zgorszenie w obozie socyalistycznym i spotęgowało gniewy reakcyjne. Był to człowiek niezaprzeczenie utalentowany, z umysłem atoli więcéj krytycznym aniżeli twórczym. Wadą jego ogromną była niezmierna zarozumiałość, połączona z niedostateczném wykształceniem naukowém i lubowaniem się w paradoksach i błyskotliwych frazesach. Wygórowana miłość własna głuszyła w nim uczucie i czyniła go często niesprawiedliwym. Nieposkromiona żądza wyróżniania się pchała go nieraz przeciwko głosowi opinii powszechnéj i poróżniła go niemal ze wszystkimi demokratami w sprawach: włoskiéj, węgierskiéj, polskiéj i niewolnictwa amerykańskiego. Twórca anarchizmu był prawdziwie anarchiczny w swojéj krytyce i w swoich poglądach

pozytywnych: często bowiem te ostatnie przeczyły krytyce, lub odwrotnie. Czy był socyalistą? Wielu temu zaprzecza. Występował nieraz z taką zawziętością przeciwko spółczesnym sobie socyalistom, że prasa reakcyjna z zadowoleniem wtórowała jego słowom. *Gazette de France* (12-go kwietnia 1850 r.) przypisała Proudhonowi główną zasługę, że socyalizm pozostał w stanie utopii. A pomimo to wszystko, był on dzieckiem ruchu socyalistycznego, wprawdzie dzieckiem, które Francuzi nazywają *enfant terrible*.

Piotr Józef Proudhon urodził się 1809 r. w Besançon'ie, miejscu urodzenia Karola Fouriera. „Mój ojciec—powiada Proudhon—był robotnikiem bednarskim, moja matka—kucharką; pobrali się jak mogli najpóźniéj, co nie przeszkodziło im wszakże wydać pięcioro dzieci, z których byłem najstarszy, i którym, napracowawszy się dobrze, pozostawili w spuściźnie ubóstwo" (1). Do dwunastu lat żył na wsi: pasał krowy i pracował w polu. Kiedy zaczął chodzić do kolegium, ubóstwo rodziców dawało mu się czuć dotkliwie: nie mając za co kupić książek szkolnych, musiał u kolegów odpisywać sobie zadane lekcye; przychodził do klasy bez czapki i w sabotach, które przed drzwiami pozostawiał. W kolegium był w bliższych stosunkach z Bergmannem i Ackermannem, z którymi następnie korespondował; należał tam do stowarzyszenia tajnego filadelfów, które pielęgnowało tradycyą rewolucyjną. Kiedy ojciec jego stracił grunt, został on zecerem i korektorem w drukarni. Miał wówczas lat dziewiętnaście. Czując wielki pociąg do pracy umysłowéj, chłonął w siebie wszystko, co mu się nawijało pod ręce. Drukarnia, w któréj pracował, wydawała biblią i wiele dzieł teologicznych. Proudhon czytał je z upodobaniem. W téjże drukarni wychodziło dzieło Fourier'a: *Le nouveau monde industriel*, nad którego dziwactwami znęcał się Proudhon, robiąc korektę.

Pierwszą pracą drukowaną Proudhona był zarys gramatyki powszechnéj, który nie miał żadnéj wartości naukowéj, ale autorowi ułatwił otrzymanie stypendyum akademii besançońskiéj w kwocie 1,500 fr., wypłacanéj przez trzy lata. Wówczas już Proudhon, jakby zobowiązując sam siebie, obiecywał pracować niezmordowanie, za pomocą filozofii i wiedzy, z całą energią woli i wszystkich władz umysłu, nad polepszeniem fizycznėm, moralnėm i umysłowėm tych, których z upodobaniem nazywa swymi braćmi i towarzyszami. Drugą jego pracą był memoryał o ustanowieniu sabatu ze względu na moralność, hygienę, stosunki rodzinne i państwowe. Pracę tę akademia besançońska nagrodziła medalem bronzowym.

(1) Oeuvres complètes de P. J. Proudhon. Bruxelles 1868. T. I, str. 239.

W niéj przegląda już to krytyczne usposobienie, którém się nacechowały późniejsze utwory Proudhona.

W r. 1839 udał się Proudhon do Paryża, ażeby się tam daléj kształcić naukowo. Paryż gromadził wówczas—można powiedziéć bez przesady — kwiat inteligencyi europejskiéj, zmuszonéj opuścić własne ogniska domowe. Każda prawie narodowość miała tam swoich świetnych przedstawicieli: Mazzini, Montanelli, Ramon de la Sagra, Heine, Karol Grün, Marx, Mickiewicz, muzyk Chopin, Jan Czyński, Mierosławski i t. d. byli dobrze znani w kołach postępowych i demokratycznych. W téj to ważnéj epoce przybył Proudhon do Paryża, ale zmuszony ze swéj pensyi opłacać wierzycieli i oddzielać część pewną dla rodziny, pędził życie samotne, ustronne, pełne niedostatku. „Cóż z tego—pisał on w tym czasie do największego swego przyjaciela Bergmanna, profesora w Sztrasburgu — że mogę czytać, pisać, studyować: jestem pognębiony, przerażony, zbeszczeszczony. To spoglądam na Sekwanę, przechodząc przez mosty; to znowu przychodzi mi myśl czasami zostać złodziejem. Uczucie nędzy jest tak wielkie, że gdybym jutro doszedł do majątku, zmora prześladująca mnie nie porzucałaby przez dwa lata jeszcze.“ Pomimo jednak tych rozpaczliwych myśli, wierzył w swoję przyszłość, w swoje siły, w swoję wielkość, że tak powiem. Z zarozumiałością, która go zawsze cechowała, pisał do Bergmanna w lutym 1840, że stwarzał nową metodę badania zagadnień społecznych i psychologicznych, która wyrówna metodzie, jaką geometrowie stworzyli dla badania zagadnień matematycznych. „Nie mówię bynajmniéj za wiele—dodawał—kiedy zapowiadam, że nic podobnego nie zrobiono dotąd, ani co do formy, ani co do treści.“ Wówczas pracował nad kwestyą własności. „Muszę zabić—pisał w liście prywatnym — w pojedynku śmiertelnym nierówność i własność. Albo ja się zaślepiam, albo ona już się nie podniesie od ciosu, który jéj rychło zadany zostanie.“

Proudhon posiadał w swém ojczystém mieście drukarnię, która lichy mu przynosiła dochód, ale miał z niéj tę korzyść, że drukował w niéj (1840—1842) swoje memoryały o własności. Pierwszy memoryał pojawił się w r. 1840 i omal nie pozbawił pensyi autora, który niepotrzebnie zadrasnął w nim akademią besançońską. Sprawa jednak skończyła się szczęśliwie dla Proudhona. Smuciło to mocno autora, żądnego rozgłosu, że memoryał jego sprawił małe wrażenie, i uczuł wdzięczność dla Blanqui'ego, który zdając sprawę z jego książki w akademii nauk moralnych i politycznych w Paryżu, wyraził się o niéj dosyć pochlebnie. Drugi memoryał o własności, w którym rozwijał daléj swoje pomysły, poprzedził listem

do Blanqui'ego. To go nawet ocaliło od prześladowania sądowego, ponieważ Blanqui wziął go pod swoję opiekę. Metoda, którą się posługiwał Proudhon w swych memoryałach, a o któréj pisał z taką chełpliwością do Bergmanna, była metafizyczna. Tak się o niéj sam wyrażał. „Wziąłem za prawidło—pisze—dla moich sądów, że wszelka zasada doprowadzona do ostatecznych rezultatów, jeżeli wpadnie w sprzeczność z sobą, jest fałszywa i nie ma znaczenia; również instytucyą, którą powołuje do życia taka zasada, należy uważać jako sztuczną, jako utopią“ (1). Ależ idąc tą drogą, można wszystko zanegować: nie tylko wolność i równość, lecz nawet miłość! Autor zanegował więc własność i rząd, stawiąc zamiast tego ostatniego an-archią, i przyszedł do przekonania, które jednak wypowiedział ostrożnie, że opatrzność nie jest wszystkiém na świecie. Za jedyną prawną podstawę własności uznał pracę. Pierwszy swój memoryał przedstawił Proudhon akademii nauk moralnych i politycznych. Blanqui, który był sprawozdawcą tego memoryału, oddawszy pochwały autorowi, słusznie jednak zauważał, że własność należy oceniać nie z filozoficznego, lecz ze społecznego stanowiska. Wyraził przytém to zdanie, że w przekonaniu społecznéṁ własność zyskuje coraz większe uznanie. Przeciwko temu wystąpił Proudhon z nowym memoryałem i starał się wykazać, że tak własność jak i religia i władza dążą do upadku. Przeoczył on tu proces ewolucyjny i w odmianie formy widział zatratę saméj rzeczy. Zadraśnięty w swéj miłości własnéj przez jednego z falansterczyków, który z ironią powiedział o nim, że nigdy ani Kantem, ani Heglem, ani Newtonem nie będzie, uderzył on gwałtownie w trzecim memoryale na Considérant'a, rąbał zawzięcie furyeryzm i zaatakował z całéj mocy własność i właścicieli, tak, że prokuratorya w Besançonie oskarżyła go o napaść na własność, o wzbudzanie pogardy ku rządowi i o obrazę religii i obyczajów. Sąd jednak przysięgłych uważając, że sprawa ta należy właściwie do kompetencyi naukowéj, uwolnił oskarżonego od winy.

W miarę dłuższego pobytu w Paryżu, mnożyły się znajomości i stosunki Proudhona. Wiele w tym względzie zawdzięczał Józefowi Garnierowi, który poznał go z wydawcą dzieł ekonomicznych, Guillaumin'em, i z wielu pisarzami ekonomicznymi. Szczególne miał poważanie dla Blanqui'ego i dla Wołowskiego i chciał im poświęcić nowe swoje dzieło, które spodziewał się, że stworzy epokę. Dzieło to p. t. *De la création de l'ordre dans l'humanité ou principes*

(1) Les confessions d'un révolutionnaire pour servir à l'histoire de la révolution de février par P. J. Proudhon. Paris 1850, str. 131.

d'organisation politique, pojawiło się w r. 1843. Autor sam o niém mawiał w późniejszym czasie, że nie uzyskało ono uznania publicznego i że stało się to z powodów słusznych. Proudhonowi zawsze chodziło głównie o metodę najwłaściwszą badania w naukach politycznych i moralnych, ażeby za jéj pomocą postawić ekonomią polityczną i historyą na gruncie pewnym, naukowym. Gdyby napisał był swoje dzieło, zanim się pojawił kurs filozofii pozytywnéj Augusta Comte'a, niezawodnie miałoby ono bez porównania ważniejsze znaczenie, ponieważ wprowadziłoby na prawdziwą drogę szukania metody pozytywnéj. Po pojawieniu się jednak dzieła Comte'a, wygląda ono jako słabe i niedokładne odbicie się myśli tego filozofa. Nie chcę przez to powiedziéć, że Proudhon świadomie brał u Comte'a treść filozoficzną. Przeciwnie, z pewnością nie znał on, przed napisaniem swojéj książki kursu filozofii pozytywnéj, albo, co najwięcéj, przeczytał jaką powierzchowną i niedokładną o nim recenzyę. Sądzę tak na téj podstawie, że autor „Utworzenia porządku w ludzkości", poznawszy filozofią Comte'a, wyrażał wielkie dla niéj uznanie i prostował, albo przynajmniéj zastosowywał niektóre swoje dawniejsze twierdzenia do ogólnego poglądu comte'owskiego. Wreszcie, gdyby był znał dokładniéj dzieło twórcy pozytywizmu, z pewnością nie zbaczałby na manowce i szedłby prostszą drogą ku celowi (1).

Jak u Comte'a dziejowo przedstawiają się trzy stany umysłowego pojmowania: teologia, metafizyka i pozytywizm; tak u Proudhona temi trzema dziejowemi stanami są: religia, filozofia i wiedza. Pomieszawszy religią z teologią, a filozofią z metafizyką, autor „Utworzenia porządku w ludzkości" przyszedł do wniosku, że tak religia jak filozofia chylą się do upadku i ostatecznie zaniknąć muszą. Mówiąc o skończonéj misyi religii, syn nawskróś podówczas jeszcze katolickiego Franche-Comté, objawił w sobie tak wysoki stopień uczucia religijnego, że sam to spostrzegł późniéj i słusznie zauważył, że „czytając te ostatnie stronice, spostrzegamy, iż autor jest więcéj religijny, niż do tego przyznaje się, a przedewszystkiém więcéj, niż tego sobie życzy" (2). Przytém Proudhon uważał, że w owym jeszcze czasie religia była potrzebna dla ludu, kobiet i dzieci. „W chwili—powiada—kiedy umysł wyzwoli się, a wychowanie swobodne, wsparte pracą i nawyknieniem do rozmyślania

---

(1) W następném swojém dziele: *Système des contradictions économiques ou Philosophie de la misère* (Paris, 1846) Proudhon powołuje się już na dzieło Comte'a. Prologue, str. XII. — (2) De la création de l'ordre etc. Nouvelle édition. Paris 1873. Oeuvres complètes de P. J. Proudhon (Tom III, str. 36).

i zastanawiania się, nie okiełzna jeszcze duszy nowém wędzidłem, sumienie szybko zdziczałe może w przeciągu kilku dni upaść do ostatniego stopnia przewrotności" (1). Przedstawia się tu wszakże bardzo ważne pytanie: czy jest rzeczą moralną, a wreszcie możebną zalecać i nauczać taką religią, w którą sami nie wierzymy i która—podług naszego przekonania —jest błędna? Jak się zdaje, autor mniemał, że wiara, nadzieja i miłość są to cnoty teologiczne. Jeżeliby która z tych cnót miała być teologiczną, to chyba najpręndzéj wiara. Sam autor jest tego zdania, albowiem powtarza, że „religia jest czynem wiary" i że opiera się ona tylko na wierze. Tymczasem już Comte wykazał, że jest wiara naukowa, bez któréj niepodobna się obejść. Czyż astronom, który posuwa wiedzę naprzód, może sprawdzić wszystko, co wykonali jego poprzednicy i czy nie przyjmuje wiele rzeczy na wiarę? Czy biolog, badając czynności ustroju organicznego, nie opiera się z wiarą na wynikach wiedzy fizycznéj i chemicznéj? Czyż socyolog miałby czas i możność obserwować, doświadczać i sprawdzać wszystko, co zrobiono w innych dziedzinach wiedzy, a co jest niezbędne dla własnych jego badań? Czy biorąc materyał historyczny i etnograficzny nie powoduje się w znacznéj mierze wiarą? Mówimy to o uczonych. A cóż mamy powiedziéć o znacznéj części światłéj publiczności? A cóż wreszcie o całym ogóle narodu? Ktoby dzisiaj nie wiedział, że nie słońce obraca się dokoła ziemi, lecz przeciwnie ziemia dokoła słońca! Sprobujmy atoli, niech ten i ów, co skończył już dosyć dawno naukę szkolną i wyłącznie jest zajęty tylko swoim zawodem, wydemonstruje nam i udowodni, że rzeczywiście ziemia obraca się dokoła słońca. Niewątpliwie przekonamy się, że ta prawda naukowa dla większości, ogromnéj większości, jest pewnikiem tylko wiary. Proudhon stawia pewność w przeciwieństwie do wiary. Myli się. Wiara i pewność łączą się z sobą ściśle. Kto wierzy, ten jest pewny tego, w co wierzy; inaczéj, przestaje wierzyć.

W wydaniu 1849 r. Proudhon w odnośniku powiada, że filozofią, tak jak on ją rozumie, Comte nazywa metafizyką. Błądzi ona—podług niego—głównie tém, że stara się wynajdywać przyczyny wszystkiego, przy czém nie rozróżnia on przyczyn następnych od pierwszych, których poznanie filozofia pozytywna uważa także za

---

(1) Str. 304. Wreszcie Proudhon określa religią tak ponętnie, że niewiadomo, dla czego ma być usunięta. „Religia jest-to wieczna miłość, która porywa dusze po nad rzeczy zmysłowe i podtrzymuje w społeczeństwach niezmienną młodość." (Confessions d'un révolutionnaire, str. 5). „Cóż to jest ubóstwianie, *relligio*, Istoty Najwyższéj, jeżeli nie przedstawienie Sprawiedliwości, t. j. szacunku Ludzkości? Bóg jest to wszystko naraz: z jednéj strony jest to przyroda ludzka, podniesiona do nieskończoności i wyidealizowana" i t. d. De la Justice. IV. 352.

niemożebne. Autor najnieszczęśliwiéj powołuje się na medycynę, mniemając, że mniéj ważném jest poznanie przyczyn chorób (etiologia) od sposobu ich leczenia (terapii). Tymczasem bez poznania przyczyn choroby, leczenie jéj będzie zawsze odbywać się na ślepo, kiedy przeciwnie, poznawszy przyczyny choroby, stajemy już na drodze racyonalnéj używania świadomie środków leczniczych. Znany jest aksyomat lekarski: *sublata causa, tollitur effectus.* Znakomity postęp wiedzy fizycznéj, formułując prawo trwałości i przemienności siły czyli raczéj ruchu—podług trafnego i głębokiego spostrzeżenia Aleksandra Baina — daje klucz do wyjaśnienia prawa powszechnéj przyczynowości, którém to prawem tak długo i bezskutecznie zajmowali się metafizycy. Co do Proudhona, to on ze zwykłą sobie niekonsekwencyą w następnych działach książki mówi często o przyczynach i potrzebie ich badania.

Metafizyka, czyli właściwiéj logika—poprawkę tę robi sam Proudhon—zajmuje się wynalezieniem najwłaściwszéj metody badania, takiéj metody, któraby dawała zupełną pewność. Taką—zdaniem autora—jest metoda układania seryi (*théorie de la loi sérielle*). „Fourier—powiada autor—odkrył prawo seryjne. Geniusz wyłączny, niekarny, samotny, ale obdarzony głębokim zmysłem moralnym, nadzwyczajną czułością organiczną, zadziwiającym instynktem przewidywania, Fourier, bez analizy, mocą saméj intuicyi, wznosi się odrazu do najwyższego prawa świata" (1). Ponieważ jednak Fourier doszedł do tego prawa instynktownie, nie zaś drogą rozumową, przeto posługiwał się nią, układając dziwaczne i nieusprawiedliwione niczém kombinacye. Na czémże właściwie polega metoda seryjna? Na szeregowaniu pojęć, albo przedmiotów niemi wyrażonych. Botanika stała się nauką wówczas, kiedy ułożyła rośliny w pewne szeregi. Tak było i z innemi naukami. Szeregowanie wszakże powinno być wyrozumowane. Dla tego trzeba, aby był pewien punkt widzenia (*le point de vue*); jedność przedmiotu, co często bywa tém samém co punkt widzenia; wreszcie przyczyna (*la raison*) (2) czyli stosunek przedmiotów. Autor mówi o tém dość obszernie i dość niejasno. Dla utworzenia prostéj seryi, wytwarzają dwa wyrazy; dla utworzenia systemu—trzy. Daje się z tego ułożyć pewnego rodzaju waga (? Red.). Taką wagą dyalektyczną, od czasów Kanta, jest znana formuła:

Teza
Antyteza } Synteza, albo Teza — Antyteza
Synteza.

(1) Str. 120.—(2) Tłómaczę *la raison*—przyczyna, gdyż wyraz ten jest prawie synonimem wyrazu *la cause*. E. Littré dla objaśnienia *raison* stawia: cause, sujet, motif; a dla objaśnienia *cause* stawia: raison, sujet, motif.

Formuła ta stała się ulubioném narzędziem Proudhona, zwłaszcza w jego dziele: *Système des Contradictions économiques*. Stanowiąc istotnie potężne narzędzie logiczne, nie chroni jednak ona od błędów, wynikających z pewnych uprzedzeń. I tak Proudhon przeciw własności stawia jako antytezę wspólność. Dla czego? Antitezą własności (klasa posiadająca) jest brak własności (proletaryat), nie zaś wspólna własność, którą raczéj należy uważać za syntezę. Aprioryczność sądów Proudhona jest wielka. „Klasyfikacya ta, dana *à priori* przez przyrodę rzeczy i dedukcyą umysłu, jest matematyczna“ (1), powiada Proudhon i mniema, że to już wystarcza do przekonania czytelnika. Twierdzenie uchodzi za dowód. Mówiąc o seryach podobieństwa czyli analogiach, powiada, że zwolennicy równości błędnie stawiali rodzinę i państwo w jednym szeregu: rodzina jest żywiołem, który tworzy naród; jednością zaś seryjną, która daje początek państwu, jest warsztat. Lewis H. Morgan odróżnia także zasadniczo społeczeństwo rodowe (*societas*) od społeczeństwa politycznego czyli państwa (*civitas*). U niego jednak, jedno i drugie społeczeństwo stoją w jednym i tym samym szeregu ewolucyjnym. Ażeby z narodu mogło powstać państwo, musiała sformować się z plemion greckich gmina miejska—powiedzmy—gmina miejscowa. Gmina zaś wytworzyła się z rodu, „i im bliżéj do swego początku, tém bardziéj odznacza się charakterem rodowym tj. spólnością rodzinną. Grote w swojéj historyi Grecyi uwidocznił przejście fili rodowéj w filę polityczną, rodu w gminę—demos“ (2). Pierwsza organizacya pracy nawet nosi charakter rodzinny. Wyraz e k o n o m i a pochodzi od greckiego: οἶκος—dom, który wyrosł na podstawie rodzinnéj. Pierwsza ekonomika, ekonomika Ksenofonta, rozpoczyna się od uwag nad dobrym zarządem domu. Warsztat więc i rodzina—jako odrębne pierwiastki nie dają się przeciwstawić. Chociaż Proudhon zapewnia, że w rozumowaniu jego panuje taka ścisłość jak w czystéj matematyce (3), wszakże właśnie téj ścisłości nie widzimy. Powiada on, że serye sztuczne, jako środek pomocniczy mogą być pożyteczne, lecz jeżeli zechcemy zastąpić niemi serye naturalne, wówczas zamiast pożytku przyniosą szkodę. „I tak podział sztuczny Francyi na 86 departamentów okazał się pożytecznym dla złamania feudalnéj i municypalnéj Galii i dla utworzenia silnéj cen-

(1) Principe fédératif. Nouvelle édition. Paris. 1868, str. 14. — (2) Komuniści. Lwów, 1876, str. 150. Wreszcie sam Proudhon w późniejszém swojém dziele: „Idée générale de la révolution au XIX siècle“ (Paris, 1851) str. 117:... „Bonald mógł słusznie powiedzieć, że rodzina jest zarodkiem państwa.“ — (3) Principe fédératif. str. 18. „We wszystkiém, com powiedział, nie ma żadnego słowa, któreby nie posiadało zupełnéj ścisłości; nie inaczéj się rozumuje w matematyce czystéj.“

tralizacyi: dzieło to wysokiéj narodowości nie zostało ukończone, a tymczasem rozmaite znamiona zdają się wskazywać, że powinniśmy już przygotować się do naturalniejszego podziału kraju, odpowiednio do różnic klimatycznych, rasowych, industryalnych itp., prowadzących do nadania każdéj części państwa właściwego charakteru i właściwéj fizyonomii“ (1). Dla czego podział sztuczny Francyi na departamenty, ma być uważany za środek pomocniczy, nie wiadomo. Skoro centralizacya mogła być pożyteczną dla Francyi, dla czego miała ona być bezwarunkowo szkodliwą dla Włoch? „Wasze Włochy scentralizowane—wołał Proudhon we dwadzieścia lat późniéj—wzbudzają litość i nabawiają nas kłopotu; są dla nas antypatyczne, reakcyjne, i nie chcemy ich za nic. Wolimy widziéć je przez sto lat jeszcze austryackiemi, burbońskiemi, papieskiemi, muratowskiemi, nie wiedziéć jakiemi: zachowają przynajmniéj swe kadry“ (2). Pomimo téj rażącéj niekonsekwencyi, Proudhonowi zdawało się, że federalizm jego datuje się od 1840 r. (3).

W tém, co mówi Proudhon o ekonomii politycznéj i historyi, spotykamy się często z myślami Saint-Simona. Czy to była reminiscencya tylko mimowolna, czy też skutek podobieństwa stanowiska teoretycznego? Saint-Simon był w gruncie industryalistą, który doprowadził system industryalny do socyalizmu. Proudhon, nie mający tego geniuszu co Saint-Simon, ani téj rozległéj nauki, ani téj logiczności myśli, widząc przed sobą dwa systemy: industryalny i socyalistyczny, porównywał je, oceniał i, nie mogąc zdecydować się ani na jeden ani na drugi, zajął stanowisko chwiejne, chyląc się jednak raz po raz, z powodu swych sympatyi, więcéj ku socyalizmowi. Pomimo pozornéj stanowczości i absolutności jego twierdzeń, daje się to widziéć we wszystkich jego dziełach, a przedewszystkiém w *Le système des contradictions économiques.*

Najważniejszą zasadą w ekonomii politycznéj zdaniem Proudhona—jest p o d z i a ł p r a c y. Zasada ta, którą zawdzięczamy Adamowi Smithowi, „przyczyniła się, od pięćdziesięciu lat, bardziéj do postępu nauki społecznéj, aniżeli przez dwadzieścia stuleci: Polityka Arystotelesa, Ekonomika Ksenofonta, Rzeczpospolita i Prawa Platona, kodeks Iustyniana ze wszystkiemi komentarzami prawników, Utopia Morusa, romans Fenelona, Duch praw Monteskiusza i Umowa społeczna Rousseau'a; wszystko, co lepszego zawierają doktryny Saint-Simona, Fouriera i komunistów, wypływa z tego prawa“ (4). Oczywiście jest to przesada, chociaż niezaprzeczenie Smith

(1) De la création de l'orde str. 130. — (2) Nouvelles observations sur l'unité italienne (Paris, 1865), str. 68. — (3) Princ. fédér. str. 79. — (4) De la création etc. str. 243.

wyświadczył nauce wielką korzyść, wykazując doniosłe znaczenie podziału pracy. Po Smith'cie drugi ekonomista, markiz Germain-Garnier—zdaniem Proudhona—sformułował drugie ważne prawo: prawo siły kolektywnéj, obejmując niém wielkie korzyści pracy stowarzyszonéj. Garnier jednak—jak się zdaje—nie widział wielkiego związku, jaki istnieje pomiędzy pierwszém a drugiém prawem. Prawo Garniera jest tylko drugą stroną prawa Smitha: „podział pracy i siła kolektywna czyli spólność działania, są to dwie uzupełniające się strony jednego prawa“ (1). Podział pracy jestto ustanowienie seryi, jest to sama serya. Dzielić pracę znaczy łączyć pracujących. „Dzielić pracę jest to potępić małą industryą“ (2). To samo należałoby powiedzieć i o pracy rolniczéj. Tymczasem autor czyni skok niespodziany, chociaż skąd inąd można go było przewidzieć: autor stawia następujący—jak sam się wyraża—aforyzm:

Podział pracy, wielka eksploatacya
Mała własność, wielka uprawa.

Doktryna o seryach nie oświeciła więc autora w tym wypadku. Nie dopatrzył on, że pomiędzy dwoma drugiemi wyrazami (wielka eksploatacya i wielka uprawa) panuje zupełna tożsamość, gdy dwa pierwsze wyrazy są różne. Chcąc, ażeby wyrażenie było właściwe, należałoby powiedzieć, albo uwzględniając pierwszy stosunek:

Podział pracy przemysłowéj, wielka eksploatacya
Podział pracy rolniczéj, wielka uprawa,

albo mając na względzie drugi stosunek:

Mały warsztat, wielka eksploatacya
Mała własność, wielka uprawa,

co widoczną byłoby niedorzecznością.

Pomimo to, w tém dziele Proudhon w swojéj chwiejności pochylił się na stronę komunistów. Oto, jego własne wyrazy. „Komuniści—powiada—nie mają słuszności w moich oczach, z tego tylko powodu, że noszą nazwę, pod którą wszyscy z uporem upatrują myśli i projekty odstręczające: *Tantum quod Christiani*. I tak, komuniści głoszą się zwolennikami rodziny, małżeństwa, wolności osobistéj i bez wątpienia także specyalności i odpowiedzialności robotników. Otóż, ustawiczny argument ich przeciwników—powinienbym może powiedzieć—oszczerców, sprowadza się do tego zaprzeczenia: „Nie, wy nie wierzycie w to wszystko, ponieważ jesteście komunistami“. Komuniści, chcąc oznaczyć przedmiot swych pragnień, używają bez rozróżniania wyrazów: spólność, stowarzyszenie, organizacya; jako środka do zrealizowania tego żądają: reformy wyborczéj i rządzenia narodu przez naród, co stawia ich całkowicie pomiędzy demokrata-

(1) Str. 245. — (2) Str. 269.

mi najpostępowszymi i umieszcza na saméj wysokości postępu. Zresztą dogmatyzują oni mało; swoje widzenie rzeczy przedstawiają skromnie. Metodą ich pracy są hipotezy" (1). „Ażeby wszystko powiedzieć, komuniści zdają się niekiedy zapominać, że człowiek nie żyje samém tylko życiem publiczném, lecz że mu trzeba jeszcze życia prywatnego. Zresztą, oni nie odwołują się do żadnéj pojedyńczéj powagi; przeciwnie, powołują się na wszystkie tradycye, na wszystkich socyalistów przeszłych i teraźniejszych, co jest wyśmienitą oznaką; nakoniec, otwarcie stawią siebie poza obrębem dziedziny religijnéj" (2).

To, co napisał Proudhon o historyi, nie wiele warte. Jedna myśl tylko zasługuje na większą uwagę, chociaż i ta wypowiedziana jest przesadnie, a mianowicie, że ze względu na organizacyą, prawa ekonomii politycznéj są prawami historyi. Myśli jednak téj, która powstała w nim po przeczytaniu „Historyi ekonomii politycznéj w Europie" Blanqui'ego, ani dowiódł, ani nawet ujął w jakie pewniejsze wskazówki. Że Proudhon nie rozumiał historyi, dowodzi już jego błędne spostrzeżenie, sprzeczne przytém z jego teoryą, domagającą się, by reformy nie szły z góry, ale powstawały same przez się, spostrzeżenie że porządek polityczny poprzedza odpowiedni porządek ekonomiczny (*industriel*—podług wyrażenia się autora). Wreszcie, czy można na seryo traktować poglądy historyczne człowieka, który je zmieniał nieustannie? Raz utrzymywał, że myśl podziału władz jest z gruntu fałszywa i niepraktyczna (3); drugi raz, że jest to największa z myśli, że dzięki jéj społeczeństwo przybiera ostatecznie formę organiczną (4); w jedném i tém samém dziele raz nazywał narodowość mrzonką, z którą nauka nic nie ma do czynienia, drugi raz powiadał, że jest to niesłusznie uważać ją za rzecz urojoną, i że niezaprzeczenie jest ona powołana do odegrania ważnéj roli w przyszłych konstytucyach. Dość przeczytać, co Proudhon napisał o historyi polskiéj, ażeby przekonać się, iż nie był zdolny wznieść się na poważne stanowisko nawet publicysty historycznego, a jedynie mógł być pamfleciarzem, dogadzającym chwilowo swéj namiętności i swemu usposobieniu. Pomimo sofistycznych wykrętów Proudhon był skory do uznawania faktu dokonanego i hołdowania sile. Dowodem tego jego zapatrywanie się na stanowisko kobiéty i brutalna jego dyskusya w téj sprawie ze swemi przeciwniczkami. Emancypacya kobiety—podług Proudhona—to wszystko jedno, co jéj prostytucya (5).

---

(1) Str. 294. — (2) Str. 295. — (3) Les Confessions d'un révolutionnaire, str. 186. (4) Princip. Fédér. str. 22. — (5) De la Justice etc. IV. Str. 133

W r. 1844 Proudhon, niezadowolony z pisarzy ekonomicznych stempla niejako urzędowego, zaczął się zbliżać do socyalistów, których znaczenie i wpływ przytém stawały się coraz większe. W tym roku poznał się z Karolem Marxem, który wtajemniczał go w filozofią heglowską; następnie czynił to, w długich rozmowach zimowych, Karol Grün, który—jak powiada Marx—miał przed nim to pierwszeństwo, że i sam jéj zgoła nie rozumiał (1). Proudhon w liście do Ackermanna, datowanym z Paryża 4-go października 1844, mówi o formowaniu się stronnictwa socyalistycznego. Przewiduje, że „socyalizm, podniosłszy się do wysokości naukowéj—socyalizm który nie jest czém innćm jak ekonomią polityczną—opanuje społeczeństwem i pchnie je z niepowstrzymaną siłą ku dalszym losom." Właśnie mniemał, że sam on przyczyni się najwięcéj do postawienia socyalizmu na podstawie naukowéj, do uświadomienia go, albowiem „socyalizm nie ma jeszcze świadomości siebie: dzisiaj nazywa się on komunizmem."

Zdawało mu się, że zadanie uświadomienia socyalizmu spełni jego nowe dzieło, które w dwóch tomach pojawiło się w Paryżu w r. 1846 p. t. *Système des contradictions économiques ou philosophie de la misère*. Autor pisał w późniejszym czasie, że krytyka nieprzyjazna tego dzieła zniechęciła go do dalszych badań tego rodzaju w kierunku politycznym. W tych jednak słowach więcéj goryczy, niż prawdy. Istotnie, krytykowano nowe dzieło Proudhona surowo, zwłaszcza krytyka Karola Marxa była druzgocząca, ale dzięki także temu dziełu, autor jego zdobył wielką wziętość, która utorowała drogę jego późniejszemu wpływowi. W dziele tém metodę Hegla, któréj dobrze nie rozumiał, zastosował Proudhon więcéj w formalny sposób. Wyszukiwał wszędzie sprzeczności na podstawie tego, czy pewne objawy zgadzały się, lub nie zgadzały z jego pragnieniem równości. Rozbujawszy się w sprzecznościach, o wszystkiém zwątpił, we wszystkiém znalazł sprzeczność. Litość, szczęście, cnota, ojczyzna, religia i miłość wydały mu się maskami. Mając popęd do badań teologicznych, zajmował się niemal tyleż hypotezą Boga—jak się wyrażał—ile ekonomią polityczną i socyalizmem. Lubował się w zwrotach i wyrażeniach, które drażniły opinią publiczną. Ośmiészał wiarę socyalistów w braterstwo. Napaść na Cabeta była nieprzyzwoita. Wycieczki przeciwko Ludwikowi Blanc'owi często wkraczały w dziedzinę osobistości. Z powodu wyrażenia się tego autora, że chciéć zaszczepić stowarzyszenie na konkurencyi, jest to dać świadectwo ubóstwa myśli, Proudhon powiada, że są to wyrazy

(1) List Marxa w *Sozial-Demokrat* z r. 1885.

godne pożałowania. „Dowodzą one—ciągnie daléj—że Ludwik Blanc w czasie czwartego wydania jego książki, tak samo mało znał logikę jak ekonomię polityczną, i że o jednéj i o drugiéj sądził jak ślepy o kolorach“ (1). Chętka sprzeczania się przybierała pozory krytyki. W późniejszym czasie Proudhon sam powiadał, że studya jego, od 1839 do 1852 r., były „prostym sporem“ (*de pure controverse*) (2). Samę metodę dyalektyczną Hegla potępił. „Antynomia nie rozwiązuje się—pisał on w 1858 r. w tém wada zasadnicza filozofii heglowskiéj: dwa wyrazy, z których się składa, równoważą się albo z sobą, albo z innemi wyrazami antinomicznemi, co prowadzi do poszukiwanego rezultatu. Lecz równowaga nie jest syntezą taką, jaką rozumiał Hegel, i taką, jaką ja w ślad za nim przypuszczałem“ (3). „Sprzeczności ekonomiczne“ możnaby w znacznéj ich części nazwać sprzecznościami z ekonomią polityczną, jak to wykazał znakomicie Marx w swojéj krytyce. Są jednak tu i owdzie trafne uwagi krytyczne, zwłaszcza w rozdziale o kredycie, w którym to rozdziale autor chwali prace Wołowskiego i Cieszkowskiego, szczególnie tego ostatniego.

Kiedy wybuchła rewolucya lutowa, Proudhon nie miał żadnego jeszcze znaczenia politycznego. Cokolwiek mówi o swojém filozoficzném trzymaniu się na uboczu, z własnych jego wyznań jest rzeczą widoczną, że pragnął co prędzéj dorwać się do znaczenia a nawet do władzy. Sam opowiada, że przeczuwając upadek monarchii pośpieszył z Lyonu, gdzie pracował w pewnym domu handlowym, na dwa miesiące przed rewolucyą, do Paryża. Do walki jednak nie chciał należéć i—jak sam opowiada (4)—odradzał to nawet swoim przyjaciołom. Dopiéro, widząc zwycięstwo rewolucyi, zrana 24 lutego stawił się do biura „Reformy“, gdzie Flocon dał mu do składania proklamacyą o usunięciu Ludwika Filipa z tronu. Kiedy nadeszła wiadomość, że król wyjechał, i Tuillerye zostały wzięte,—Proudhon powiada: „nie miano co więcéj ze mną robić“ (5). Uczuł dotkliwie brak wziętości politycznéj. Spieszno mu więc było jéj nabyć. Wszedł przeto do klubu rewolucyjnego Barbès'a, który popierał rząd ówczesny tymczasowy. Porzuciwszy pisanie syntetycznéj części, która miała nastąpić po krytycznéj w badaniu jego życia społecznego, ogłosił broszurkę, w któréj podawał sposób rozwiązania problematu społecznego, bez nałożenia podatku, bez zaciągnię-

---

(1) I. str. 226. — (2) Proudhon expliqué par lui-même (24 janvier 1856). — (3) De la justice dans la révolution et dans l'Eglise, T. I. str. 353. To samo powtarza w Teoryi własności. Oeuvres posthumes de P. J. Proudhon. Théorie de la propriété. Nouvelle édition. Paris. 1871. — (4) Oeuvres complètes de P. J. Proudhon. Tome XVIII. Mélanges. Paris. 1869. str. 7. — (5) Ibid. str. 8.

cia pożyczki (1). Rozwiązaniem tém było utworzenie kredytu bezpłatnego. Broszura ta, bałamutna w swéj treści, utonęła w powodzi innych, bez zwrócenia na siebie uwagi. Wtedy Proudhon podał się w departamencie Doubs na kandydata do Zgromadzenia Narodowego, a w okólniku, który z tego powodu ogłosił, zalecał zgodę robotników z patronami, ażeby łatwiéj dojść wspólnemi siłami do rozwiązania kwestyi społecznéj. Kandydatura jego upadła. Rzucił się więc do dziennikarstwa. Oto, co sam on mówi o tém. „Odrzucony jako kandydat, publicysta niemający czytelników, musiałem zwrócić się do dziennikarstwa. Mówiono mi codziennie: pisz książki, to więcéj warte, niż dzienniki. Zgadzam się. Lecz książek ludzie nie czytują, i kiedy autor „Filozofii pozytywnéj", August Comte, zaledwie zgromadza na swoje kursy 200 wiernych mu osób, „*Faubourien*", *Père Duchêne*" i „*Vraie République*" prowadzą cały kraj. Zużyjesz 10 lat życia na napisanie książki *in-octavo*; pięćdziesięciu amatorów ją kupi; późniéj przyjdzie dziennikarz, który rzuci cię na śmietnisko, i rzecz skończona. Książki służą tylko do przygotowania się na dziennikarza: najwyższym rodzajem literatury w naszém stuleciu—jest wstępny artykuł, jest fejleton" (2). Istotnie, Proudhon okazał się lepszym dziennikarzem, aniżeli filozofem i ekonomistą: tu stanowczością języka maskował chwiejność swéj myśli. „*Le Représentant du peuple*" wyrobił sobie dość obszerne koło czytelników. Kiedy przygotowywała się manifestacya 15 maja, dziennik wystąpił z gwałtownym artykułem (1848 N. 44,), wołając, że naród francuski naraża własną wolność, chcąc jéj służyć gdzieindziéj. Egoizm narodowy i krótkowidzący przemawiał przez usta autora „Sprzeczności ekonomicznych", chociaż nie miał on jeszcze téj stronniczéj niechęci ku Polsce, jaką w kilkanaście lat późniéj przejawiał, i zapatrywał się wówczas na nią jeszcze ze stanowiska cywilizacyjnego (3). Związki klubowe i zawód dziennikarski utorowały mu drogę do Zgromadzenia Narodowego. Kiedy więc po 15 maja w Paryżu odbywały się uzupełniające wybory 11-stu posłów, został on wybrany ostatnim na liście, mając za sobą 77094 głosy. Zachowanie się jego, w czasie krwawych dni czerwcowych, było ostrożne i ściągnęło następnie szyderstwa stronnictwa wstecznego i ostrą krytykę socyalistów rewolucyjnych. To też kiedy po dniach czerwcowych, wszystkie dzienniki socyalistyczne zawieszono, ocalał jeden tylko „*Représentant du peuple*", chociaż nie na długo.

---

(1) Organisation du crédit et de la circulation et solution du problème social etc. (Paris, 1848). — (2) Les confes. d'un révol. str. 150. — (3) Les confes. d'un révol. str. 88. „Kwestya narodowości w sprawie narodu przyjaznego, który był niegdyś wałem ochronnym chrześcijaństwa przeciwko Ottomanom, a późniéj takimże wałem przeciwko hordom północnym"...

W parlamencie Proudhon zdobył sobie dość niezaszczytną sławę. Będąc przeciwnikiem wszelkiéj inicyatywy rządowéj w prawodawstwie, co wyrażał jeszcze jaskrawiéj, mówiąc, iż najpożyteczniejszą jest rzeczą dla rewolucyi, doprowadzić rząd i jego działanie do znaczenia zera, sam wystąpił w lipcu z wnioskiem prawodawczym. Wprawdzie, jak zwykle tłómaczył ten krok swój wykrętnie, utrzymując, że się zwracał nie do rządu, lecz do Zgromadzenia Narodowego, a więc do kraju (1). Wniosek, przedstawiony przezeń, obejmował w głównéj swéj części nałożenie podatku dochodowego w ten sposób, że trzecia część z czynszu domowego z dzierżawy gruntowéj, z papierów publicznych i weksli, potrącała się w połowie na korzyść lokatorów, dzierżawców i dłużników, w połowie zaś na korzyść państwa. Przypuszczając, że w krótkim czasie podatek ten zapełniłby kasę państwową, wnioskodawca wkładał obowiązek na r z ą d, ażeby ten niezwłocznie przystąpił do organizowania po okręgach kantorów dyskontowych, do zakładania banków rolniczych i przemysłowych i do spisu dokładnego własności w celu ułatwienia i zapewnienia kredytu. Jak widzimy, stawał on na gruncie saint-simonistów i mniemał, że tą drogą da się przeprowadzić rewolucya społeczna. Zapewne chcąc zjednać dla swego wniosku więcéj posłów, żądał równocześnie, aby nie brano pod uwagę podatku dochodowego od spadków. Wniosek uznano za nagły i odesłano do komisyi finansowéj, która wezwała Proudhona, ażeby wyjaśnił i wytłómaczył swoje żądania. Zamiast umotywowania swego wniosku, jako wywołanego chwilową potrzebą, témbardziéj, że sam wnioskodawca był przeciwnikiem podatku dochodowego, rozwijał on przed komisyą niejasną swoję teoryą o kredycie wzajemnym, i widząc, że ma do czynienia z przeciwnikami wszelkiéj reformy społecznéj, starał się w nich wmówić, że właściciele, pomimo że się im potrąci część dochodu, i robotnicy, pomimo że się zmniejszy ich zarobek, będą bogatsi, będą więcéj mieli. „Nigdy pan nie zdołasz nam wytłómaczyć — odrzekł Thiers — w jaki sposób właściciel, im więcéj oddaje ze swego dochodu, tém więcéj ma zyskiwać, i w jaki sposób robotnik, im więcéj traci ze swego zarobku, tém więcéj wzbogaca się!“

Proudhon powiada, że nie miał daru wymowy. Nie miał także drugiego daru, daru jasnego tłómaczenia się. Często to, co on pisze, wywołuje w nas najprzód zaprzeczenie; dopiéro w dalszym ciągu czytania spostrzegamy, że niewłaściwość użytych wyrazów, lub wyrażeń odmienia charakter jego myśli, która nieraz w gruncie

(1) Les confes. d'un révol. str. 155.

bywa słuszna. Brak zdolności jasnego tłómaczenia się i egzageracya tak w uspakajaniu, jak w straszeniu, jedynie wytłómaczyć są w stanie tę burzę wściekłą, jaką wywołała 31 lipca w Zgromadzeniu Narodowém jego mowa, popierająca przedstawiony przezeń wniosek. Nie zawierał on nowego pomysłu—jak to mniemał wnioskodawca — i nie rozwiązywał wcale kwestyi społecznéj, ale mógł ułatwić jéj rozwiązanie i zaradzić wielu niedogodnościom. Chodziło więc tylko o to, czy projekt był praktyczny, czy nie narażał na niebezpieczne kolizye. Prawdopodobnie większość Zgromadzenia Narodowego odrzuciłaby wniosek, gdyby nawet nie nasuwały się żadne wątpliwości co do jego praktycznego zastosowania. Trzeba jednak przyznać, że w takiéj formie, w jakiéj był przedstawiony, wcale nie wzbudzał zaufania. Mowa, która miała go poprzéć, do reszty go dobiła: z jednéj strony niepotrzebnie podrażniła do najwyższego stopnia namiętności stronnictwa reakcyjnego, z drugiéj zaś strony wprawiła w kłopot stronnictwo demokratyczno-socyalne. „Część Góry — pisze sam Proudhon — zawstydzona, przestraszona, uciekła, nie chcąc potępić swego spółwyznawcy“ (1). Flocon czynił mu następnie wyrzut, że to on swoją mową spowodował usunięcie z konstytucyi zasady prawa do pracy. Niezaprzeczenie, że wystąpienie Proudhona w parlamencie wiele zaszkodziło sprawie socyalizmu. Tymczasem w swojéj zarozumiałości głosił on, że „31-go lipca rzeczpospolita demokratyczno-socyalna otrzymała sakrament bierzmowania, tak samo jak 26-go czerwca otrzymała sakrament chrztu!“ (2). Odtąd jednak nie występował już czynnie w parlamencie. „Moje milczenie—powiada, stając na szczudła — było najpożyteczniejszą i najrozumniejszą czynnością w zawodzie politycznym. Głosowanie moje było prawie zawsze przeczące“ (3).

Z powołania Proudhon był dziennikarzem: na tém polu był silny. Nowe jego pismo, „*Le Peuple*“, z początku tygodniowe, późniéj codzienne, miało powodzenie. Od 1 grudnia 1848 r. do 28-go marca 1849 r. liczba tłoczonych egzemplarzy podniosła się z 12,000 na 50,000 (4).

Widząc powodzenie dziennika, Proudhon postanowił przystąpić do zrealizowania swojéj myśli banku ludowego, z którą się nosił już od dawniejszego czasu, Popierali go w tém inni socyaliści a zwłaszcza furyeryści, jak Juliusz le Chevalier i Ramon de la Sagra. Wprawdzie widzieli oni jednostronność Proudhona, który mniemał, że samo ułatwienie kredytu rozwiąże zagadnienie społeczne, ale

(1) Les conf. d'un révol. str. 164. — (2) Oeuvres complètes. T. XVIII, str. 95.— (3) Les conf. d'un révol. str. 220. — (4) Oeuvres com. de P. J. Proudhon. XVIII, str. 88.

sądzili, że raz postawiwszy bank ludowy na nogi, da się następnie z nim połączyć organizacya wytwarzania i spożycia. Z tych téż powodów zgodzili się popierać założenie banku ludowego niektórzy członkowie byłéj komisyi stałéj luksemburskiéj. Sam Proudhon wreszcie przystał na takie widzenie rzeczy. W końcu stycznia 1849 r. podpisano akt założenia banku ludowego. Teoretyk anarchizmu zastrzegł sobie władzę monarchiczną. Sam powiada, że stowarzyszenie z nazwą kolektywną było obrazem tylko monarchii" (1). W lutym rozpoczął on propagandę dziennikarską w sprawie banku. Propaganda ta, przerwana jego aresztowaniem, może uważać się za wzór reklamy dziennikarskiéj. Rozpoczął ją następującą zapowiedzią: „Podejmuję się przedsięwzięcia, które nie miało nigdy nic podobnego, i któremu nic nigdy nie dorówna." „Chcę odmienić podstawę społeczeństwa, przemienić oś cywilizacyi, sprawić to, ażeby świat, który pchnięty wolą boską, obracał się dotąd od zachodu na wschód, odtąd, poruszony wolą człowieka, zaczął obracać się od wschodu na zachód." Podnieciwszy w ten sposób do najwyższego stopnia ciekawość i uwagę czytelnika, nie przystąpił odrazu do wykładu swojéj teoryi, ale w pierwszym artykule zapewnia o jéj wielkiem znaczeniu, w drugim mówi o sobie, w trzecim o teoryi rewolucyjnéj w czwartym o znaczeniu rewolucyi lutowéj, w piątym o socyalizmie, gdzie wreszcie powiada, że ma ukończyć dzieło rozpoczęte przez Saint-Simona i prowadzone daléj przez Fourier'a i L. Blanc'a, i z zasady prawa do pracy wyprowadza zasadę prawa do kredytu i w dalszém następstwie do jego wzajemności. Dopiéro w siódmym artykule zaczyna dowodzić, że kredyt powinien być wzajemny i daremny. Jeżeli tak nie jest—powiada—to znaczy, że cywilizacya skłamała, że filozofia skłamała, że rozum na to jest dany człowiekowi, by wprowadzać w błąd jego sądy, i że postęp w rodzie ludzkim jest zboczeniem Opatrzności. „Przysięgam ci, czytelniku—woła—że tak nie będzie, i jeżeli potęga tajemna, która kieruje światem, może słabnąć w swych postanowieniach, to dość będzie siły w jednéj głowie, ażeby nagiąć los; jeżeli Bóg może się wahać, to człowiek go zastąpi...." (2). W ósmym artykule autor bada, w jaki sposób można uczynić kredyt wzajemnym. Ponieważ o téj teoryi późniéj będę mówił obszerniéj, przeto w kilku tylko ogólnych zdaniach powiem tu o niéj. Należy — pisze Proudhon—„zorganizować wymianę i zesolidaryzować obieg w taki sposób, ażeby kredyt i skutkiem tego odpowiedzialność dla każdego wytwórcy nigdy nie były ani wyższe, ani niższe od wytworu." Postawiwszy takie zadanie, które ciemnością swoją może spółzawo-

(1) Ibid. str. 81. — (2) T. XVIII, str. 42 i 43.

dniczyć z metafizycznemi zagadnieniami spółczesnych mu filozofów niemieckich, wykrzykuje: „albowiem bez tego—trzeba powiedzieć — kredyt byłby chimerą, socyalizm kłamstwem, a rewolucya zbrodnią“ (1). Wymiana taka powinna polegać na tém, ażeby każdy brał ściśle wartość swojéj tylko pracy, nie doliczając innych kosztów, wydanych na przeobrażenie materyału surowego; np. piekarz ma brać tylko za pieczenie, nie doliczając kosztów mlewa, przewozu, pracy rolniczéj. Taką to budową, „bez przykładu w rocznikach filozofii i wiedzy“, miał się zająć założyciel banku ludowego. W miesiąc jednak po tych szumnych zapowiedziach, po deklaracyi wreszcie, poprzedzającéj ustawę banku, że w zasadach jéj zawiera się cały socyalizm, i że wszystko, co jest po za tém, jest albo utopią, albo chimerą, ogłosił on likwidacyą tego banku, co wreszcie w prawie był zrobić, ponieważ w tym czasie skazano go na więzienie. Ale przytém zrobił charakterystyczny dodatek, którym niejako pobił całą swoję teoryą antyguwernalizmu i zaprzeczył własnéj krytyce postępowania Ludwika Blanc'a. Gdybym nawet był wolny—dodawał—to okoliczności bieżące wkładałyby na mnie inne obowiązki. Teraz nie chodzi o propagandę, ale o życie: trzeba albo zwyciężyć, albo zginąć! „Zwyciężyć! znaczy, zasadę demokratyczną i społeczną postawić u władzy. A wówczas na co się przyda bank ludowy? po co biura na ulicy Faubourg-Saint-Denis? Czyż nie ma tam Banku Francyi“ (2). Przy likwidacyi okazało się, że współczucie i zaufanie dla dzieła proudhonowskiego nie były bardzo wielkie, gdyż pomimo reklamy, przypominającéj szarlatanów amerykańskich, w ciągu dwóch przeszło miesięcy wpłynęło niespełna 18,000 franków (3). Wytknął to Emil Girardin w swoim dzienniku *La Presse*, wskazując, że prawie równocześnie podpisano 900,000 franków na *cités ouvrières*, któremu to dziełu patronował Ludwik Bonaparte. Wprawdzie Proudhon tłómaczył stosunkowo małą subskrypcyą tém, że podpisywała się klasa robotnicza, więc uboga. Lecz i w takim nawet razie, w porównaniu z rozmaitemi innemi subskrypcyami robotniczemi z owéj epoki, suma podpisana wcale nie imponuje.

---

(1) Ibid. str. 47. — (2) T. XVIII, str. 81.

(3) Proudhon chwalił się, że w przeciągu 6-ciu tygodni deklarowano co najmniéj 20,000 przystąpień do banku ludowego, co miało reprezentować najmniéj 60,000 osób (Confes. 235). Jeżeli to prawda, to fakt ten—zdaniem mojém—jeszcze bardziéj świadczy o braku zaufania: zapisywano się, ale nie dawano pieniędzy. W innych przedsięwzięciach socyalistycznych, w które wierzono, oddawano ostatnie pieniądze a często nawet sprzedawano rzeczy i wnoszono wziętą za nie kwotę. Tak było np. w tych stowarzyszeniach, które zawiązywały się z inicyatywy L. Blanc'a, a które Proudhon wyszydzał.

Prześladowanie zmusiło socyalistów i demokratów połączyć się z sobą i ścisnąć swoje szeregi. Utworzyło się stronnictwo socyalno-demokratyczne. Proudhon stał także w jego szeregach. Niedługo wszakże dotrzymywał mu kroku. W kwestyi zamierzonéj manifestacyi przeciwko wyprawie rzymskiéj, zajął stanowisko opozycyjne. Oburzona prasa socyalno-demokratyczna oskarżała go o paktowanie z rządem. Istotnie, pomimo całéj gwałtowności języka „*Le Peuple*", daje się spostrzegać w nim pewna chęć wejścia w porozumienie ze stronnictwem panującém i uczynienia swéj pozycyi mniéj wyjątkową. Dziennik jednak został zawieszony po manifestacyi 13-go czerwca.

Na dziesięć dni przed manifestacyą, t. j. 3-go czerwca, uwięziono Proudhona, na mocy wyroku sądu przysięgłych z dnia 28-go marca. Skazano go wówczas za obrazę prezydenta rzeczypospolitéj w dwóch artykułach dziennikarskich na trzy lata więzienia i 3,000 fr. kary. W więzieniu pozostawał do 4-go czerwca 1852 r. Napisał tam dwa dziełka: „*Les Confessions d'un révolutionnaire*" i „*Idée générale de la révolution au XIX siècle.*" Pisywał nadto artykuły do dziennika „*La Voix du peuple*", którego spółwłaścicielem i redaktorem był także Edmund Chojecki (Charles Edmond). Wreszcie ożenił się podczas swego pobytu w więzieniu. Tak o tém pisał do Bergmanna: „Mając czterdzieści lat, pojąłem za żonę młodą i ubogą robotnicę, nie z miłości, bo zrozumiész łatwo, jakiéj natury są moje namiętności, lecz z współczucia dla jéj położenia, z szacunku dla jéj osoby, dla tego, że po śmierci matki byłem bez rodziny, ponieważ — czy uwierzysz? — w braku miłości zachciało mi się g o s p o d a r s t w a d o m o w e g o i o j c o s t w a! Innych myśli nie miałem. Od czterech lat wdzięczność mojéj żony dała mi cztery jasnowłose i rumiane córeczki, które matka sama wykarmiła i wychowała i których istnienie napełnia dzisiaj prawie całą moję duszę."

Z powodu zamachu stanu, wykonanego przez Ludwika Bonapartego, Proudhon ogłosił dziełko p. t. „*La révolution sociale démontrée par le coup d'état du 2 décembre*", które poróżniło go — można powiedziéć—ostatecznie ze stronnictwem republikańskiém. Ze zwykłym sobie optymizmem, autor stara się wszystko wytłómaczyć na korzyść swoich teoryi. Przytém, pomimo swego anarchizmu, chciałby rząd cesarski natchnąć swemi myślami. Cesarz został wybrany przez naród—powiada—musi więc być cesarzem narodu, musi popierać jego interesy. „Ażeby tryumfować nad burżuazyą, złożoną z kapitalistów i właścicieli; ażeby powstrzymać klasę średnią, przemysłową i liberalną; ażeby panować nad pospólstwem, nie chodzi

już o to, ażeby utrzymywać to pospólstwo łupami po narodach zwyciężonych, lecz o to, aby mu dać możność życia z własnego wytworu, słowem dać mu pracę. W jaki sposób weźmie się do tego Cezar? Oto kwestya. Otóż w jakikolwiekbądź sposób on się weźmie do tego, czy się zwróci do Saint-Simona, Fouriera, Owena, Cabeta, Ludwika Napoleona i t. d., w każdym razie jesteśmy w pełni socyalizmu, a ostatniém słowem socyalizmu jest: bez procentu i bez rządu *(avec le non-intérêt le non-gouvernement!)*" (1). „Anarchia — powiadam wam — cezaryzmu. Nie wydobędziecie się z niéj. Nie chcieliście rzeczypospolltéj uczciwéj, umiarkowanéj, zachowawczéj, postępowéj, parlamentarnéj i wolnéj; a więc znaleźliście się pomiędzy Cesarzem i Walką Społeczną *(la Sociale)*! Wybierajcie więc teraz, co się wam najbardziéj podoba. A naprawdę, jeżeli Ludwik Napoleon upadnie, to upadnie jak jego stryj przez rewolucyą i dla rewolucyi tylko. Proletaryusz zaś, cokolwiekbądź się stanie, znuży się mniéj od was. Czyż to nie dla niego odbędzie się rewolucya, a oczekując téj rewolucyi, czyż nie jest on przyjacielem Cezara?" (2). W następnym roku Proudhon poświęcił nawet cesarzowi swój wykład zasad organizacyi społecznéj *(Exposition des principes de l'organisation sociale)*. Przez Chojeckiego wszedł on w stosunki z księciem Napoleonem, i na jego propozycyą w r. 1855 przedstawił projekt „Towarzystwa nieustannéj wystawy", mający na celu jaknajodpowiedniejsze i jaknajpożyteczniejsze zużytkowanie gmachu wystawy powszechnéj. Projekt ten, w sprawie którego autor naradzał się z wielu przemysłowcami, był wykonalny i zapewniał wielkie korzyści (3). Wreszcie dla zarobku pieniężnego, na zamówienie pewnéj księgarni, napisał: „*Manuel du spéculateur à la Bourse.*" Książka ta wyszła w r. 1857 i nie mogła mieć żadnego wpływu, ale autorowi zdawało się, że po 2-im grudnia był to pierwszy cios wymierzony przeciwko feudalizmowi industryalnemu.

W r. 1858 pojawiło się dzieło Proudhona p. t. „*De la Justice dans la révolution et dans l'église*", za które skazano go na więzienie. Uchodząc przed niém, wyjechał on do Belgii. Zmienił wówczas swój pogląd na cesarstwo i 17 września pisał z Brukseli do Chojeckiego: „Cesarstwo, jest-to kontrrewolucya, zawzięta, lecz przebiegła, obłudna, okrutna....." (4). Dzieło jego o sprawiedliwości wychodziło w Belgii powtórnie zeszytami w r. 1859 i w 1860.

---

(1) La révolution sociale démontrée par le coup d'état du 2 décembre. Paris 1852, str. 278. — (2) Str. 277. — (3) Projekt ten jest wydrukowany w dodatku do dziełka: *Théorie de la propr.* — (4) Correspondance. Tome Huitième, str. 191.

Pisane popularnie, pełne wycieczek polemicznych, zajmuje się ono filozofią, moralnością, kwestyami ekonomicznemi, politycznemi, płciowemi itd. W przekonaniu autora, było ono wielkiém dziełem filozoficznem. „Mniemano—powiada—że filozofia wraz z Heglem umarła: otóż, ona zmartwychwstała pod piórem rewolucyonisty, demokraty, nieprzyjaciela Boga, z charakterem jedności, prostoty i potęgi, jakiéj nie znali nigdy ani Niemcy, ani Grecy“ (1).

W dziele tém, pełném metafizycznych rojeń i reminiscencyi heglowskich, widoczny jednak jest wpływ Comte'a (2). Autor wyrzeka się zupełnie dawnéj swojéj teoryi sprzeczności, antynomii, która—zdaniem jego—nie może doprowadzić do rozwiązania kwestyi, i która dogodna jest jedynie dla sofistów. Nie pogodzenie sprzeczności, lecz oznaczenie stosunku jest najważniejsze. Jakiż stosunek wybrać należy? „Zamiast szukać prawa mojéj filozofii—powiada—w stosunku pomiędzy mną, który się uważam za szczyt bytu, i pomiędzy tém, co jest najniższe w stworzeniu i co uważam za bezmyślne,—będę szukał tego prawa w stosunku pomiędzy ja i drugiém ja, które nie jest mną, pomiędzy człowiekiem i człowiekiem“ (3). Ten stosunek określa, a przynajmniéj powinna określać Sprawiedliwość. Powinna ona być miarą, sprawdzianem wszelkich stosunków, a przedewszystkiém ludzkich. Nie jest ona wrażeniem, lub działaniem jednéj strony, lecz jest zobopólna, polega na wzajemności, na przyjętém zobowiązaniu pożycia spólnego. „Wszelka moralność ludzka, tak w rodzinie, społeczeństwie, państwie, jak w wychowaniu, nauce, ustroju ekonomicznym, polega na jedynéj zasadzie równego z obu stron poszanowania godności ludzkiéj, we wszystkich stosunkach, mających na celu albo osoby, albo interesy“ (4). Sprawiedliwość jest to najwyższa zasada, którą ludzkość czciła pod nazwą Boga, którą filozofia upatrywała w Idei Platona i Hegla, w Absolucie—Fichtego, w Rozumie czystym i Rozumie praktycznym—Kanta itd. „W całéj encyklopedyi wiedzy nie znajdujemy tak wysokiéj idei“ (5). Jeżeli ludzkość czci sprawiedliwość pod nazwą Boga, to może i dla Proudhona Bóg ma to samo znaczenie? Nie—odpowiada autor—precz z Bogiem, bój z Bogiem (6)! A więc jesteś ateusz? Nie—odpowiada

---

(1) De la Justice etc. IV. str. 348. — (2) Proudhon sam się przyznaje do tego wpływu. „P. Aug. Comte, którego powagę należy się zawsze przytoczyć, nawet wówczas, kiedy jego zdania nie odznaczają się wielką ścisłością“... De la Justice etc. VI, 215. „Lecz,—jako uczeń Kanta i Comte'a, odpychałem absolut narówni z nadprzyrodzonością“ Théorie de la propriété. str. 202. — (3) T. I. str. 31 i 32. — (4) T. I. str. 307. — (5) T. I. str. 35. — (6) Proudhon opowiada, że kiedy 8 stycznia 1848 r. przyjmowano go do loży masońskiéj, na zapytanie: „coś winien Bogu?“—odpowiedział: „*la Guerre*“.

daléj—jeżeli mówię: bój z Bogiem, to znaczy, że uznaję Boga. Jestem antiteusz, co nie jest jedno co ateusz. „Ateizm mniema się być rozumnym i silnym, tymczasem jest głupi i tchórzliwy“ (1). Jakże rozumiesz Boga? Bóg jest to absolut w najwyższéj potędze. „Wcielony w osobę, absolut z potężniejącą władzą rośnie w rasie, w społeczeństwie, korporacyi, państwie, kościele; bierze władzę króla nad zbiorowością ludzką i powszechnością stworzeń. Doszedłszy do téj wysokości, staje się Bogiem“ (2). Cóż to jest absolut? Jest to podstawa wszystkich naszych myśli. Wszelka myśl, wszelka idea oznacza absolut; usunąć ten ostatni, znaczy zniweczyć myśl. Sama myśl Sprawiedliwości ma za podstawę absolut. Bóg więc jest to pojęcie, nigdy zaś „twórca, pan, przed którym powinienem się korzyć, i któremu mam dziękować“ (3). Z absolutem łączy się pojęcie konieczności. Nie wystarcza ono jednak dla objaśnienia Boga, ani też przyrody. Umysł więc wytwarza w przeciwieństwie do tego pojęcia nowe pojęcie wolności. Wolność albo wolna wola „jest to potęga zbiorowości, która powstaje w téj saméj istocie z połączenia się organizmu, życia, umysłowości i wszystkich wyrosłych przez nią uczuć, namiętności, myśli“ (4). Wolność jest wynikiem sił fizycznych, uczuciowych i umysłowych człowieka. Jedynym jéj organem jest człowiek, używający pełni swych zdolności. Antropomorfizm Boga jest także usprawiedliwiony. „Albo Bóg, najwyższy absolut, byt bytów, nie jest wolny, a więc równoznaczny z nicością; albo téż jest zbiorowością powszechną, najwyższą wolnością, najwyższą ludzkością“ (5). Dla czego więc Proudhon zarzucał Comte'owi, że ten opanowany przez pojęcie absolutu (?), wytworzył z Ludzkości nowego Boga?

Z powodu kongresu literatów w Brukseli w r. 1858, Proudhon napisał dzieło p. t. „*Majorats littéraires*“, w którém słusznie z pewném oburzeniem odpiera porównywanie płodów umysłowych z płodami materyalnemi, dającemi się łatwo zamieniać. Z powodu zaś konkursu, wyznaczonego przez Radę Państwa kantonu szwajcarskiego Vaud, napisał rozprawę o podatku i otrzymał wyznaczoną nagrodę. Uwieńczona ta rozprawa wyszła w r. 1861 p. t. „*Théorie de l'Impôt*“. Wykazawszy, że podatki płacone dzisiaj spadają ostatecznie na klasę pracującą, zaleca dla ulżenia im téj opłaty, równoważyć największą część wydatków państwowych przez nałożenie podatku rentowego. Podług wielce prawdopodobnego obliczenia—powiada—renta ziemska we Francyi wynosi 1800 milionów. Przy-

(1) T. III. str. 36. — (2) T. III str. 31. — (3) III, str. 37. — (4) II. str, 239. — (5) III. str. 217.

puszczając więc, że budżet francuski wymaga 600 milionów, to na jego pokrycie wystarczy trzecia część renty gruntowéj, i w takim razie nie trzeba byłoby żądać żadnych innych podatków. W ten sposób objawiłby się wreszcie—powiada Proudhon—„ten szczęśliwy feniks: rząd bez podatku“.

W czasie wojny włoskiéj, Proudhon zajął stanowisko nieprzyjazne dla jedności włoskiéj, a nawet nieprzychylne dla samego narodu włoskiego. Oburzył tém w wysokim stopniu demokracyą francuską. Jeden z jego zwolenników, Vallein, redaktor *„Indépendant e la Charente-Inférieure“*, ogłosił, że powaga Proudhona straciła dla niego wszelkie znaczenie. Taxile Délord, dawniejszy jego współpracownik, w dzienniku *„Siècle* szeregiem cytat wykazał, że Proudhon przeczył temu, co sam pisał w r. 1848 i 1849. Na to jednak propagator anarchizmu odpowiadał, że on swoich dzieł nie czyta i nie pamięta przeto, co pisał. Byłoby wszakże o wiele korzystniéj dla niego i dla jego zwolenników, gdyby mniéj pisał, a częściéj odczytywał i rozważał, co napisał. Wówczas nie byłby w ciągłéj sprzeczności sam z sobą; nie puszczałby w obieg paradoksów, które przyczyniały się tylko do bałamucenia umysłów; nie rzucałby niemal na wiatr łudzących jaskrawością zdań, które wiele złego zrobiły W r. 1861 wystąpił on także nieprzyjaźnie i w sprawie innego narodu. Wówczas Charles Edmond zerwał z nim stosunki. W dziwny sposób propagandę anty-włosko-polską połączył Proudhon z propagandą federalizmu. W dziełku swojém *„Du principe fédératif“*, które ściągnęło na autora tyle niechęci, ze zwykłą sobie zarozumiałością uważał swoje stanowisko federalistyczne jako czyniące epokę w rozwoju przekonań społeczno-politycznych. Tymczasem już Rousseau, tak zawzięcie poniewierany przez niego w jego *„Ideé générale de la révolution“*, przytaczał ważne dowody na poparcie ustroju federalnego. Niesumienność publicystyczna Proudhona była wielka. Z listu, pisanego do Altmeyera 23 września 1861 r., przekonywamy się, że wydając stanowcze sądy o historyi polskiéj, nie przeczytał był żadnego poważnego w tym przedmiocie dzieła. Dopiero zmuszony niejako bronić się przed zarzutami dziennikarstwa francuskiego, prosił Altmeyera, by mu ten wskazał jaką dobrą historyą Polski. „Posiadam—pisał—notaty tylko rękopiśmienne, zebrane ze wszystkich stron i wystarczające dla mojéj opinii, ale w téj chwili nie mam żadnéj książki o Polsce“ (1).

Z uporem, godnym lepszéj sprawy, chciał przegadać, przekrzyczéć wszystkich, co na sprawę sponiewieranych przez niego naro-

(1) Correspondance. Tome Onzième. str. 201.

dów inaczéj się zapatrywali, Pisząc krytykę historyczną, która — jak się przechwalał — miała otworzyć nowe widnokręgi (1), posiłkował się wiadomościami, których mu udzielał Teodor Firks (2) i historyą Schmitta. Po mowie listopadowéj cesarza Napoleona w roku 1863, pośpieszył z ogłoszeniem nowych swoich poglądów w dziełku p. t. „*Si les traités de 1815 ont cessé d'exister? Actes du futur congrés par P. J. Proudhon (Paris, 1863*). Poglądy jego jednak nie znalazły uznania nawet tam, gdzie się spodziewał był je znaleść. Uważano, że przeholował.

Nie odkryła także nowych horyzontów jego rozprawa antywłoska, w któréj odwoływał się do geografii, etnografii, historyi, ekonomii politycznéj i prawa narodów. Rozprawa ta wyszła w roku 1865, dopiéro po śmierci Proudhona, p. t. „*Nouvelles observations sur l'unité italienne.*" Pełno w niéj naciągań dowolnych. Mówi o rozmaitych narodach na ziemiach włoskich, a nie chce wiedziéć o spólnéj ich literaturze, o patryotyzmie włoskim. Zresztą Garibaldi w oczach jego jest awanturnikiem. „Narodowość włoska, jest-to fikcya" (3) — powiada z całą stanowczością.

W przedmowie do dzieła: „*La Guerre et la Paix*", Proudhon sam się przyznał, że wiele jego wniosków było dowolnych, które nie opierały się na żadnéj zasadzie, jeno były wynikiem wewnętrznych jego sympatyi lub antypatyi (4). Siła wszelka, nawet brutalna, miała urok dla niego. Sławne bismarkowskie: s i ł a p r z e d p r a w e m może wylegitymować się p r a w e m s i ł y Proudhona. Z prawa siły — podług autora „Wojny i Pokoju" — pochodzą wszystkie inne prawa, i układa on następującą seryą, czyli gamę, którąby — jak powiada — napełniła radością serce Fouriera: 1) Prawo siły; 1) Prawo wojny; 3) Prawo narodów; 4) Prawo polityczne; 5) Prawo cywilne czyli domowe; 6) Prawo ekonomiczne, które rozpada się na prawo pracy i prawo wymiany; 7) Prawo filozoficzne czyli wolności myśli; 8) Prawo wolności, czyli ludzkości (5). Nawet — zda-

---

(1) Listy Proudhona, w których mówi o pisaniu historyi polskiéj, wcale nie świetnie go malują. „Mon travail sur la Pologne se poursuit. C'est une oeuvre de critique historique qui découvrira bien des horizons nouveaux, fera tressaillir de joie la Prusse, l'Autriche, la Russie, grincer des dents aux démocrates et pâlir les Polonais. Un beau volume, que je soigne avec amour." List do Gouvernet'a z 15 lutego 1862, str. 364, t. XI. Corresp."... je crois avoir conquis le marché etranger.... mon prochain ouvrage m'ouvrira la Russie". List do Maurice'a z 29 lipca 1863 r., str. 130, t. XIII. Kiedy Lucyan Jottrand czynił mu bardzo słuszne zarzuty, Proudhon w liście do niego z dnia 14 grudnia 1863 nie wahał się kłamać. — (2) Autor dzieła, wydanego w 1864 r. p. t. „*Que fera-t-on de la Pologne?*" — (3) Str. 28. — (4) Oeuvres complètes de P. J. Proudhon. Tome XIII. La Guerre et la Paix. Tome premier. Paris 1869, str. 4. — (5) I, str. 242.

niem autora — „wojna jest nierozłączna z ludzkością i wraz z nią trwać powinna“ (1). Zgodność całego ustroju społecznego z prawami ekonomicznemi przeobrazi jéj charakter, ale prawo siły zawsze istnieć będzie i „najemnictwo, pauperyzm i żebractwo, ta największa hańba, czekają zwyciężonego“ (2).

Od września 1862 r. Proudhon przebywał we Francyi, dokąd wrócił ułaskawiony przez cesarza. Kiedy wskutek porobionych ustępstw parlamentaryzmowi wszczął się żywy ruch polityczny i wszystkie stronnictwa zaczęły się organizować i wzmacniać, robotnicy zapytywali Proudhona, jakie mają zająć stanowisko przy wyborach do parlamentu w r. 1864, i ten nie umiał im dać wówczas innéj rady, jak tę, ażeby się wstrzymali od głosowania, przeciwko czemu sam tak wymownie walczył w r. 1849. Lecz robotnicy paryscy byli innego zdania i ogłaszając 21-go lutego 1864 r. manifest, podpisany przez 60 ludzi, wezwali do stawiania kandydatur robotniczych. Z powodu tego manifestu, Proudhon napisał dziełko p. t. „*De la Capacité politique des classes ouvrières*“, które pojawiło się w 1865 r. Dziełko to, streszczające zasady mutualistyczne, stało się ulubioną książką proletaryatu francuskiego i zapewniło mutualizmowi przewagę aż do 1870 r.

Proudhon umarł w Passy w styczniu 1865 r. Nad jego grobem przemawiali: Massol, Langlois, Chaudey.

(D. n.) *B. L.*

---

(1) T. I, str. 64. — (2) II, str. 294.





RYS ROZWOJU
ESTETYKI NIEMIECKIÉJ.

Estetyka już za czasów Platona i Arystotelesa stanowiła pewien odrębny dział myślenia, jako nauka o pięknie. Plato poświęca jéj obszerne ustępy w Fedrosie, Hippiaszu starszym, Biesiadzie, a szczególniéj w Filebosie. Oznacza on, jako nieodzowne warunki piękna: miarę, ład, symetryą, harmonijną całość. Arystoteles zajmuje się w swéj poetyce cokolwiek specyalniéj określeniem istoty piękna. Jakkolwiek obaj z Platonem nie rozróżniają piękna od dobra (καλὸν κ'ἀγαθόν), to jednak drugi uważa, że dobro polega na czynie, piękno zaś opiera się na czémś nieruchliwém, stałém, stąd pierwsze dąży do celu, ma zawsze cel jakiś przed sobą. Arystoteles nadto wciąga w zakres studyum estetycznego żywioł tragiczny i komiczny. Na uwagę zasługują też późniejsze wywody Plotyna, który w swém dziele „O piękności" określa piękno, jako coś czysto duchowego, w przeciwieństwie do zmysłowéj i cielesnéj brzydoty.

W wiekach średnich nie zajmowano się estetyką. Czasy pełne rycerskiéj fantazyi, nie otwierała dla refleksyjnego myślenia pola wdzięcznego. Dopiéro wiek XVIII, osobliwie koniec jego pod względem krytycyzmu tak świetny, obudził z długiego uśpienia estetykę. Prace Boila, Home'a, Batteux, Gottscheda dążyły raczéj do ustalenia pewnych prawideł w poszczególnych działach twórczości; zajmowały się szczegółami, tworzyły przepisy poezyi i rymotwórstwa. Niebawem atoli dała się uczuć potrzeba stałego systematu. Już w wykładach filozofii Wolffa istniała powyższa dążność; zrealizował ją Baumgarten, ze szkoły tego filozofa — i zebrał rozproszone myśli i wyobrażenia o pięknie w całość, którą po raz pierwszy na-

zwał estetyką (1). Zrozumieć to, co doskonałe w świecie realnym, to znaczy wzbudzić w sobie uczucie estetyczne — wedle Baumgartena. Ale przez wyraz „doskonałe“ pojmuje on *„perfectio gustui observabilis.“* Stąd wypływa, że doskonałość właściwie nie posiada szerokich, ogólno-ludzkich praw i warunków, że jest zmienną. A daléj, piękno u Baumgartena—jest-to doskonałość zmysłowa. Jest to zresztą coś zupełnie skończonego; zależy ono od pewnego celu, jakkolwiek doń nie dąży.

Widać z powyższych określeń, z jak szczupłém kołem niejasnych ogólników pasowały się początkowe w tym kierunku studya. Jednakże już skutkiem pracy Baumgartena, a jeszcze bardziéj jego zwolenników i bezpośrednich następców estetyka została przydzieloną do filozofii i otrzymała powagę umiejętności. Odtąd kroczyła ona zawsze u boku filozofii. Filozofowie byli estetykami. I nie dziw, że zamiast zastosować się do potrzeb produkcyi literackiéj i artystycznéj, usiłowali ją otoczyć całą chmurą umiejętnych i głęboko-uczonych, a trudno-zrozumiałych definicyi, w których zastanawiali się nad wielu abstrakcyjnemi pojęciami zakresu piękna. Stanowisko, zadanie i cel piękna, stosunek tegoż do świata, piękno we wszechświecie, piękno w naturze, piękno w królestwie mineralném, roślinném, zwierzęcém i t. d. i t. d., coraz wyżéj, aż do rozbioru najtrudniejszych zagadnień człowieka, aż do poglądu na dzieje ludów, niby jakiéjś ogólnéj historyi cywilizacyi: wszystko to, cała ta masa rozmaitych, nie połączonych ściśle z sobą kwestyi naukowych, wchodziła w zakres estetyki.

Jak w każdéj gałęzi wiedzy, tak téż i tu tworzenie systematów było zadaniem pierwszorzędném. Każdy z wybitnych filozofów niemieckich tworzy odrębny systemat estetyczny, wszyscy pojmują estetykę, jako część filozofii, opierają ją na filozofii dziejów. Istnieje także, a nawet przeważa w XIX wieku w Niemczech przekonanie, że realną podstawą estetycznych praw są uczucia ludzkie; toczy się ciągle wymiana spornych zapatrywań o celowości sztuki; mówi się dużo o fantazyi ludów, fantazyi jednostek, o geniuszu i nieświadoméj twórczości artystycznéj: nie masz atoli w tém wszystkiém podkładu psychologicznego, są to tylko apriorystyczne, ogólnikowe, mniéj lub więcéj trafne domysły lub dedukcye, które wobec nader szybkiego postępu nauk przyrodniczych w ostatnich czasach, coraz bardziéj tracą swą siłę i znaczenie.

---

(1) Al. Gl. Baumgartenii. Aesthetica. Frankfurt nad O. 1750, a w r. 1758 Aestheticorum pars altera.

Przyznać trzeba, że nie ma literatury, w któréjby estetyczne badania tak ważną odgrywały rolę, jak w niemieckiéj. Utworzono mnóstwo estetycznych systematów, których studyum wymaga wiele czasu. Dla zrozumienia jednak stanowiska dzisiejszéj estetyki niemieckiéj konieczną jest rzeczą bodaj, że tak powiem *à vol d'oiseau*, obejrzéć kierunki poprzednie, bo na nich to właśnie opierają się najnowsze tego rodzaju prace. Zasadnicze różnice poglądów podzieliły estetyków niemieckich na formalistów i idealistów (inaczéj zwanych *Inhalts-Aesthetiker)*, a znaleźli się i tacy, którzy usiłowali oba te kierunki pogodzić.

Em. Kant jak na wielu polach umiejętności, tak i tu położył pierwsze podwaliny estetyki formalistycznéj, jakkolwiek za właściwego twórcę tejże uważany bywa Herbart. Pięknem — wedle Kanta—jest to, co za piękne uznajemy, chociaż nie posiada celu i choć uznając je za takie, nie mamy na oku własnego interesu (1). Na tém właśnie polega różnica między pojęciem i definicyą Kanta, a estetyków angielskich (Hogarth W., Burke). W ciągłéj walce przeciwko zmysłom i doświadczeniu, jako jedynym źródłom wiedzy, ugruntował Kant i w dziedzinie estetyki formalistyczną teoryą, która całkowicie usunęła celowość. Piękno wedle niego polega tylko na formie, a sztuki piękne musiałyby stracić swe etyczne zadanie. Kant nadto umotywował po raz pierwszy zdanie, że sąd krytyczny o pięknie może być tylko subiektywny — i to mu Lotze uważa za jednę z największych zasług (2). Czuł to Kant, że ogólnie przyjęte i akceptowane prawa estetyczne nie mogą ani z jednéj strony ścieśnić i ująć w karby twórczości, ani też z drugiéj wpłynąć na odczuwanie piękności dzieła sztuki, bo „muszę—powiada—bezpośrednio po przedstawieniu mi przedmiotu pięknego uczuwać rozkosz, a téj nie może mi wtłoczyć żadna namowa.“ „Gdyby mi ktoś np. odczytywał poemat, który ostatecznie nie odpowiada moim wyobrażeniom o pięknie, to mi może i usprawiedliwiać się i powoływać na świadki wszystkie reguły Batteux'go lub Lessinga na dowód, że poemat piękny; a nawet mogą pewne ustępy, które mi się właśnie nie podobają, odpowiadać regułom i przepisom: zatknę sobie uszy i nie chcę słuchać żadnych dowodzeń i rozumkowań.“

Pominę estetyczne wywody Herdera, Schillera i Fichtego. Wszyscy oni nie zdołali odrębności swéj dość silnie napiętnować i mniéj lub więcéj byli zależni od Kanta.

---

(1) Ein vorgestelltes Object müsse ohne Interesse und ohne Begriff als formal zweckmässig für die subjectiven Bedingungen des Urtheilskraft allgemein gefallen — wówczas jest pięknym.—(2) H. Lotze. Geschichte der Aesthetik in Deutschland. München 1868.

Schelling zajmuje się w swéj filozofii natury niejednokrotnie stanowiskiem piękna we wszechświecie i zadaniem tegoż. Usunął on kantowskie określenie piękna *(zweckmässig—ohne zweck)*. Przyjął trzy potęgi ducha: siłę refleksyi czyli przelanie materyi w formę — to prawda; siłę subsumcyi albo wlanie formy w materyą—to dobro; zespolenie obojga — to piękno. Oczywiście postęp tu już znaczny. Schelling przeszedł do trafnéj stosunkowo definicyi piękna od jednostronnych, grzeszących bądź to przewagą formalizmu, bądź żywiołu etycznego. Jednakże w metafizycznóm dowodzeniu, w którém nie małą rolę odgrywają błyszczące paradoksy, nie zwraca Schelling uwagi na mechanizm piękna. Zajęty jego istotą, nie dba o te sposoby, któremi się np. wrażenie piękna w duszy naszéj wywołuje, nie zajmują go wcale warunki piękna. Nie uzupełnił téj niedokładności i Solger, który o tyle posunął badanie naprzód, że rozważa estetykę niezależnie od filozofii. Zaraz na czele dzieła swego (1) zaznacza, że estetyka jego zajmuje się sztuką. Piękno w przyrodzie nie należy tutaj. Wiążąc tedy analizę swą do wyników, jakie już poprzednicy poczynili, sądzi, iż piękno może wypłynąć z harmonijnego połączenia pierwiastku idealnego z realnym, ogólnego ze specyalnym. Jednakże w świecie rzeczywistym to, co ogólne, nie zlewa się harmonijnie nigdy ze specyalném i poszczególném, co jest jednym więcéj dowodem, że właściwego piękna szukać należy w sztuce. Jakkolwiek u Solgera forma stanowi nader ważny współczynnik piękna, to jednak nigdy nie zapomina on o powyższém połączeniu. Swoją drogą wyrównanie szpar i rysów, jakie muszą nastąpić przy kojarzeniu się dwóch powyższych spornych pierwiastków, nie może nastąpić łatwo i owszem, należy to— wedle wyrażenia Solgera — do „prawdziwych cudów.“ Możliwe to tylko u geniuszów. W jaki sposób odbywa się owo harmonijne połączenie kontrastów, estetyk nie wyjaśnia. Poprostu odbywa się ono skutkiem „iskry boskiéj“, skutkiem wyższego natchnienia, skutkiem wpływu bóstwa na istotę śmiertelną. Bóg odgrywa w estetyce powyższéj wybitną rolę. Tylko twórczy Bóg przenika aż do głębi wszystkie sprawy; tylko on posiada zupełną świadomość własnéj istoty aż do najdrobniejszych szczegółów. Dla nas, którzy nie rozporządzamy siłą twórczą, wydają się objawy, fakta i przedmioty niepojętemi; widok ich obudza w nas jeno niejasne jakieś wyobrażenie piękna; jeżeli mamy się niém rozkoszować w pełni, musimy

---

(1) Ponieważ jest to pierwsze w ścisłém tego słowa znaczeniu dzieło estetyczne w literaturze niemieckiéj, podaję tytuł: „Ervin, Vier Gespräche über das Schöne und die Kunst. Berlin 1815. 2 Theile.“

miéć władzę tworzenia. Bóg jednak nie dał nam téj siły. On—duch twórczy — nie mógł się w zupełności wcielić w bierne istoty, mógł jeno tchnąć w nie iskrę własnéj siły twórczéj. W artystycznym geniuszu spoczywa taka boska idea żywa, jako zasada; w dziele sztuki zaś powstaje ona do bytu.

Działalność, pośrednicząca dwom powyższym stadyom, nazywa się u Solgera twórczą fantazyą. Fantazya występuje tu po raz pierwszy, jako pojęcie pierwszorzędnéj wagi w estetyce. Nazywa ją autor w uroczystych i patetycznych zdaniach „siłą boską“, „płomieniem, który goreje na ołtarzu bóstwa i oświeca wnętrze ducha ludzkiego.“

Po Solgerze wpłynął niepospolitą powagą swoją na kierunek badań estetycznych Hegel. Już wszyscy wymienieni po Kancie chylili się ku idealistycznemu pojmowaniu piękna; w encyklopedyi Hegla dosięga kierunek ten kulminacyjnego punktu. Pięknu przeznacza Hegel wysokie i zaszczytne miejsce: kładzie je obok religii i filozofii, jako sztukę, duch absolutny, realizujący się sam w sobie. Wyklucza ją ze sfery czystéj abstrakcyi, jako téż ze sfery czystego realizmu i umieszcza w sferze czystego ducha. Więc téż nie chce uznać istnienia piękna w naturze: za właściwe piękno uchodzi u niego tylko piękno artystyczne. Każda empirya stoi niżéj, nawet dobro wsuwa do niższéj „kategoryi.“ Wywody jego wysnuły się i rozwinęły z systemu Schellinga. Jak Schelling, uważa Hegel piękno, jako doskonałe zharmonizowanie pierwiastków realnych i idealnych. Różnice poczynają się stąd, że Schelling jeszcze niezupełnie wyklucza piękno ze sfery natury, jak to czyni Hegel. Rosną one, skoro się zwróci uwagę na stosunek piękna do religii i filozofii u obu. Schelling uważa artystyczne piękno za zupełne zlanie się kształtu i materyi, za coś, co się wznosi niezmiernie wysoko, ku bóstwu zbliża. Hegel natomiast umieszcza religią i filozofią wyżéj od artystycznego piękna. Sztuka—to nieskończone w śmiertelném, jeno w formie bezpośredniego zmysłowego poglądu; religia—w formie wyobrażenia, a filozofia w formie swobodnego myślenia (1). Hegel stworzył cały szereg naśladowców i uczniów tak dalece, że mu nie zbywa na zwolennikach nawet wobec dzisiejszego rozwoju estetyki niemieckiéj.

Taka była w grubych zarysach historya początkowego rozwoju estetyki idealistycznéj w Niemczech. Jako ojciec i właściwy

---

(1) Trafne zarzuty wywodom estetycznym Hegla czyni Adolf Zeising w cenném swém dziele: Aesthetische Vorschungen. Frankfurt a/M. 1855.

twórca estetyki formalistycznéj ceni się dziś wielce Jan Frydr. Herbart (1).

System Herbarta kształtował się nie o wiele późniéj od kantowskiego, a obok idealistycznego. W 1798 roku pisze Herbart: „filozofia moja—albo cokolwiek wyjaśnię wyraz, by nie brzmiał tak szorstko—moje dążenie do prawdy, nie obcuje wyłącznie z ideałami, chciałoby ono przedewszystkiém wyrozumiéć i pojąć, a więc i ujrzéć, ale nie tylko ujrzéć, co jest człowiek, jak powstał i czém być może w przyszłości: ukrywa się w téj niejasnéj sferze abstrakcyi zbyt wiele niepewnego, aby nie szperać w doświadczeniu i nie żądać od dziejów potwierdzeń“...

A zatém analiza psychologiczna już u Herbarta stanowi ważny współczynnik krytyki estetycznéj. „W badaniu estetyczném—powiada on—zwykliśmy zaczynać od dzieł sztuki. Przedsiębrać takie badania—rzecz całkiem słuszna. Ale nie polegają one na rozstrzygnięciu takich pytań, jak—co jest zmysł, co fantazya, a jakie mają zadanie rozum albo uczucie przy odczuwaniu piękna; kto się jeszcze z tą bajką nosi, dla tego prawda pozostanie w ukryciu—za bajką. Musi on rozgatunkować szeregi wyobrażeń, które dzieło sztuki w sobie złączyło i albo je zosobna studyować albo téż ich związek tak długo, aż odszuka elementy piękna i warunki tegoż“. Nie mogę naturalnie wdawać się w krytyczny rozbiór powyższego sądu; nadmienię tylko, że wadliwy w pierwszéj połowie, podaje on trafną wskazówkę w drugiéj i jest bezwarunkowo bliższym prawdy, niż spółczesne wędrówki idealistów w obłokach abstrakcyi. Od Herbarta i jego ucznia Roberta Zimmermanna pochodzi téż dokładny wywód, odrzucający prototyp piękna. Spekulatywna estetyka przyjmuje w sądzie estetycznym za podstawę jakąś ideę, jakiś absolut. Formalistyczna uznała odrazu niebyt takiego absolutu. Podstawą piękna jest subiektywne podobanie się. Stąd każde dzieło sztuki ma swe własne warunki piękna i niemasz szablonu estetycznego, któryby służył za miernik piękna wogóle.

Owocem tych ziarn zdrowych, rzuconych przez Herbarta były usiłowania pogodzenia formalizmu z estetyką treści.

Wyszczególnić potrzeba osobliwie trzy takie próby: Schoppenhauera, Lotzego i Köstlina.

Pierwszy nie ułożył jednolitego systemu; z mnóstwa atoli ustępów, jakie się w dziełach płodnego tego filozofa znajdują, zestawiano już jednolitą całość niejednokrotnie (2).

---

(1) Joh. Friedrich Herbarts Sämmtliche Werke. Leipzig 1882.

(2) Liczne ustępy znajdują się w głównem dziele: Welt als Wille und Vorstellung nie mniéj w Parerga rozprawy: Zur Aesthetik der Dichtkunst, Ueber das innere Wesen

Nie podobna w pobieżnym zarysie wykazywać zależność systemu Schoppenhauera od poglądów Kanta i Fichtego. Nie mniéj przeto starał się on pozostać w zgodzie z psychologią, ujmował przedmiot trzeźwo i realistycznie, starannie zdawał sobie sprawę ze szczegółów, nie gubiąc się w spekulatywnych aberracyach, a do tego posługiwał się stylem jasnym i przystępnym.

Wychodził z tego zapatrywania, że filozofia i sztuki piękne mają to samo zadanie: dążą do wyjaśnienia istoty bytu. Obie rozwiązują je odpowiednio do swych środków: jedna daje rozwiązanie dla wyobraźni, druga dla rozumu.

Obok takich poglądów, którym nie brak i dzisiaj wyznawców, znajdują się u Schoppenhauera liczne inne, wątpliwéj wartości. Sądzi on np. że podczas chwili twórczéj—subiekt twórczy i obiekt zlewają się w jedno, coś w guście mistyki Hölderlina, który pragnie zlać się w jedno z bóstwem.

Uczucie wzniosłe przychodzi wówczas do świadomości, gdy subiekt świadomie a niespokojnie zwraca się od wrogiego z obiektem swym stosunku do swéj „woli" i pogrąża się w czyste poznawanie idei. Pomijam sprzeczność, w jaką filozof podpada z samym sobą i z własnymi twierdzeniami na innén miejscu, a którą dokładnie wykazuje Gaudig. Natomiast zastanawia mię mętność, z jaką, przeważnie zresztą trzeźwy i jasny estetyk walczy, aby sobie wytłómaczyć proces twórczy. Ciekawém jest téż określenie intuicyi i fantazyi u Schoppenhauera. Wedle Platona intuicya jest czémś w rodzaju jasnowidzenia, do którego subiekt dosięga, jeśli zapomina zupełnie o sobie i swéj cielesności, a pogrąża się całkowicie w obserwowanym obiekcie. Takież samo zdanie Schoppenhauera. Fantazya zaś jest to władza, która uzdalnia indywiduum, zamknięte u kresu przyczynowości, a więc nie wolne, do rozszerzenia swego poglądu za pośrednictwem materyału, danego mu przez doświadczenie, niedoskonałego jakościowo i ilościowo. Bez uzupełniającéj fantazyi byłoby poznanie geniusza ograniczone do wyobrażeń przedmiotów, postrzeganych zmysłów. Za jéj pomocą rozszerza on swój horyzont po za doświadczenie i buduje resztę. Zdawałoby się wedle tego, że fantazya jest władzą od doświadczenia absolutnie niezależną. Tymczasem w rzeczywistości tak nie jest. Najbogatsza fantazya prowadzi do fantastyki, jeżeli nie opiera się na doświadczeniu i artysta, który zbogaca swój umysł przez podróże, historyczne badania, przyrodnicze doświadczenia itd. pozostaje o wiele wierniejszym naturze.

---

der Kunst, vom Genie. Dobre zestawienie i krytykę znajdzie czytelnik w pracy Gaudiga Hugona: Die Grundprincipien der Aesthetik Schoppenhauers. Halle 1883.

Widocznemi jest w powyższych rysach wahanie się między bogatym już materyałem estetyki idealistycznéj, a zdobyczami psychologii Herbarta; Schoppenhauer wnika już w specyalne kwestye twórczości, nie obawia się analizy psychologicznéj, rozbiera kształtowanie się idei twórczych w genialnych umysłach, określa fantazyą, ale pomimo tego lubuje się niekiedy w dyalektyce idealistycznéj.

Herman Lotze uchodzi w filozofii i estetyce niemieckiéj powszechnie za twórcę systemu, pośredniczącego między idealizmem a formalizmem, jest to przedstawiciel t. z. idealnego realizmu (1). Starał się on pogodzić formę z treścią, a czyni to z właściwą sobie zręcznością, bezstronnie, z głębokiém wniknięciem w istotę rzeczy i bez posługiwania się całą armią pięknych frazesów. Przeważa jednak u niego pierwiastek etyczny. Piękno uważa za formalny objaw dobra. Nie ma pięknych form, któreby wywoływały uczucie rozkoszy. Formy czynią to jedynie przez przypomnienie znajdującéj się w nich cennéj treści. A owe „wartości“, zawarte w nich, to nic innego, jeno dobro, (*das Gute* albo *das Seinsollende*). Trzeba atoli pamiętać, że wartości te nie należą do istoty form. „Elementarne formy piękna są to analogie zwykłych objawów, które płyną z każdego dobra w celu zrealizowania tegoż; jeżeli w owych idealnych formach czynną jest wyobraźnia, to wówczas przenika nas rozkosz, bo ukazuje nam ona pozór sfery, w któréj wiekuiste prawa dobra stały się krwią i ciałem zjawisk, a ideał wyłania na jaw jako siła—grupy tych zjawisk“. „Wrażenia nie oddziaływałyby na nas estetycznie, gdybyśmy nie tylko jako myślące, ale oraz czujące umysły nie odczuli w stosunkach, od których wrażenia te odbieramy, wskazówki tego, co absolutnie wartościowe“. Wypływa stąd, że najważniejszym składnikiem wrażeń estetycznych jest dobro, w czém się Lotze przechyla do poglądów estetyków idealistycznych. A estetyka ma za zadanie wykazać na poszczególnych objawach właśnie ów stosunek form do absolutnego dobra. Z wymienionego rysu zasadniczego płyną poglądy tego filozofa na specyalne estetyczne kwestye.

Fantazya jest władzą wyższą, niż imaginacya. Ta pośredniczy między świadomością naszą a różnego rodzaju stosunkami, formami, objawami; fantazya zaś uczuwa w tychże wartość absolutną, ja-

(1) Główne dzieło Lotzego jest Geschichte der Aesthetik in Deutschland. München 1868. Nadto wydano ostatniemi czasy dziełko: Grundzüge der Aesthetik v. H. Lotze. Leipzig 1884. Odnosi się tu także wiele ustępów w Mikrokosmos i parę drobnych rozprawek z zakresu estetyki, jak np. Ueber den Begriff der Schönheit. Götting. 1845, Ueber Bedingungen der Künstschönheit. Göttingen. 1847 i in.

ką one mogą mieć dla duszy ludzkiéj. Objawia się ona nie tylko, jako działalność, odkrywająca w świecie form ich wartość, ale owszem jako działalność twórcza, która wewnętrzny świat wartości przemienia w świat kształtów.

Aby dzieło sztuki wywarło wrażenie musi odpowiadać następującym warunkom:

1⁰ Powinno zadowalać zmysły. Stąd wypływa mało jeszcze zbadany szereg warunków fizyologicznych piękna, które to warunki nie tylko dotyczą harmonii zmysłowych wrażeń (barwy, dźwięki), ale oraz bezwiednie panują w symbolice (1).

2⁰ Musi odpowiadać prawom, rządzącym przebiegiem naszych wyobrażeń, uczuć, dążeń. Są one wszędzie jednakie bez względu na swą treść i wartość. Stąd płyną psychologiczne warunki piękna.

3⁰ Musi czynić zadość pełnemu treści duchowi naszemu, który wytworzył sobie stałe pojęcie o zawartości, związku i cenie świata.

W tém określeniu czyni Lotze wrażenie, jakie na nas dzieło sztuki wywiera, zależném nie tylko od niego samego, ale oraz od fizyologicznych i psychologicznych warunków naszego ustroju, od całego świata naszéj duszy, skąd oczywiście jasno wynika, że sąd estetyczny musi być subiektywny. W ten sposób wiążą się poglądy Lotzego, w których przed chwilą ukazywałem przewagę pojęć estetyki treści—także z estetyką formalistów, a zarazem uwzględniają potrzebę warunków fizyologii i psychologii.

Posuwa się on jednak za daleko, gdy nawet rodzajom dzieł sztuki przepisuje prawidła i oznacza mniejsze zakresy piękna. Dzieli ogólną estetykę—na estetykę muzyki, architektury, plastyki, malarstwa i poezyi. Każdy z powyższych gatunków posiada wiązkę przepisów i prawideł. Nie będę się zastanawiał nad tym kodeksem estetycznym i wykazywał, jak wiele przestępstw możnaby wymienić w licznych dziełach artyzmu dzisiejszego, gdyby się je chciało oceniać wedle paragrafów tego kodeksu.

Pomimo tego, że w szczegółach nie zadowala, jest autor w analizie kwestyi ogólnych przeważnie trafnym i dla nowożytnego estetyka stanowi nie lada-jakie źródło. Trzeci z eklektyków Karol Köstlin (2) nazywa swoję metodę „realistyczno-psychologiczną“. Rea-

---

(1) Wyjaśnianie znaczenia symboliki w estetyce niemieckiéj, jakkolwiek jest ona ważną i powtarza się od czasu Herdera, nie leży wszelako w zakresie niniejszéj pracy i wymagałoby dłuższego epizodu. Ciekawego czytelnika odsyłam więc do wydanéj przed dziesięciu laty pracy: Des Symbolbegriff in der neuesten Aesthetik v. D-r Johannes Volkelt Privatdocent in Jena. Jena 1876.

(1) Główne jego dzieło: Aesthetik v. D-r Karl Köstlin, o. ö. Professor der Aesthetik u. Kunstgeschichte an der Universität Tübingen 1869. Olbrzymi tom str. 1031—XXVII.

listyczną ma ona być w przeciwstawieniu do idealistycznéj. Jest to więc formalizm, odziedziczony po Herbarcie; formę uważa się tu jako obiektywną podstawę wszelkiéj działalności estetycznéj. Psychologiczną zaś metoda owa ma być dlatego, że za cel obiera sobie psychologiczne umotywowanie bytu, działań i uczuć estetycznych, którym za podstawę świat form służy. Tak wyjaśnić się da zależność eklektyzmu Köstlina zarówno od teoryi Kanta i Schillera, jako téż od Herbarta i szkoły tegoż.

Wychodzi on z tezy, że treść uczuć estetycznych polega na działalności fantazyi. Rozróżnia dziedzinę teoryi i praktyki, dziedzinę rzeczywistego życia od estetycznego, które odznacza się tém, iż jest zupełnie swobodne i niezależne, że rozwija się i działa tylko w zakresie tego, co „interesujące“, ale że wszystko, co interesuje, wciąga w swój zakres. Niezależną jest produkcya artystyczna, bo sama jest celem dla siebie, podczas gdy objawy w świecie realnym mają pewne określone cele i przeznaczenia. Jest to zapatrywanie Kanta. Pogląd to zresztą niedokładny, bo, jak już Neudecker (1) wykazuje, istnieją po za światem fantazyi obszary myślenia, o którychby można twierdzić, że są także sobie celem. W bliższém określeniu twierdzenia, że produkcya artystyczna trudni się tém, co interesujące, podaje Köstlin jego obszar. Estetycznie zajmującém można nazwać tylko to, co jest zajmującém dla człowieka. A więc artystyczna produkcya musi zawierać w sobie interes dla człowieka, ten zaś spoczywa tak w treści, jak w formie, przeważnie jednak w formie. „Piękno—jestto bezwarunkowo zadawalniająca forma“. W ten sposób spokrewnia się autor z formalistami. Jednóm z głównych zdań swych: „piękno jest wszędzie i zawsze jednakowe“, cofa się wstecz do estetyki idealistycznéj; treść estetyczna może być zmienną; materyał piękna i wartość jego ulegają zmianom: ideał piękna—zdaniem Köstlina—jest jeden i wieczny.

Charakterystycznym rysem estetyki tego autora jest, że wciąga w jéj zakres ogromną moc, materyału, który z estetycznóm pięknem i artystyczną produkcyą może mieć związek tylko przypadkowy. Niktby się nie domyślił, że w estetyce Köstlina odgrywają drobną swą rolę także infuzorye, polipy, mięczaki, skorupiaki, amfibie itd. Jestto istna encyklopedya wszechświata i wszechbytu.

Takie są zarysy drogi, jaką przebyła estetyka niemiecka, nim znalazła kierunek, w którym dziś podąża. Trzeba z góry zaznaczyć,

---

Nadto: 1. Ueber das optische Formgefühl. Ein Beitrag zur Aesthetik. Leipzig. 1873; 2. Der aesthetische Akt und die reine Form („Die Litteratur“ 1874 nro 29, 30).

(1) Studien zur Geschichte der deutschen Aesthetik seit Kant, Würzburg 1878, str. 61—62.

że nie jest on ani innym, ani nawet zbyt odmiennym. Ktokolwiek zajmuje się dzisiejszą estetyką niemiecką, a zna poprzednie w tym zakresie prace, ten co krok spotyka się ze zdaniami, czerpanemi wprost ze starych mistrzów. Pokolenie młodych estetyków, jakkolwiek usuwa liczne maksymy, stanowczo i powszechnie uznane za archaizmy, to jednak nie posiada jeszcze tyle odwagi cywilnéj, a może nie znajduje w postępie nauk pomocniczych tyle poparcia, aby mogło rzucić się zuchwale na ten Olimp dawnéj filozofii niemieckiéj. Dziś już eklektyzm nie popłaca; formalizm w tym kształcie, co u Herbarta, zaginął. Istnieją atoli pośród estetyków niemieckich epigonowie w prostéj linii Hegla, a obok nich występują z pewną nieśmiałością przeważnie młodzi badacze, biorący za podstawę krytyki estetycznéj—psychologią. Ci nie tworzą estetycznych systemów nakształt filozoficznych, nie usiłują już analizować piękna we wszelakich stanach, zakresach i postaciach jego, nie mieszają z estetyką historyi literatury, a tém bardziéj dziejów fantazyi i wogóle cywilizacyi świata. Nie mają oni estetyki za zbiór prawideł, szematycznie ułożonych, którym powinno odpowiadać pewne dzieło, jeśli pragnie otrzymać stopień dzieła sztuki. Ograniczają się na analizie psychologicznéj tych czynników umysłowości ludzkiéj, które wywołują artystyczną produkcyą i towarzyszą jéj. Przyczyny takowéj, zmiany funkcyi organicznych odbywające się podczas niéj w umyśle, a oraz sposoby oddziaływania dzieł sztuki na przeciętny organizm ludzki—oto zadanie, którego rozbiorem zatrudnia się dziś przeważna ilość estetyków niemieckich.

Sprawozdanie z wybitnych dzieł, wydanych ostatniemi czasy w jednym i drugim kierunku, wykaże znamiona i różnice obu.

Powiedziałem, że istnieją dotąd coraz mniéj liczne jednostki, hołdujące idealistycznéj estetyce Hegla. Są to zaiste ostatni z Mohikanów. Ponieważ atoli zajmują w hierarchii naukowéj nader wybitne i wpływowe stanowiska, głos ich nie pozostaje bez echa. Najznaczniejszym z nich jest niewątpliwie Maurycy Carrière, sędziwy profesor estetyki w uniwersytecie monachijskim i znany powszechnie autor cennego dzieła: Sztuka i literatura w związku z rozwojem cywilizacyi 19 wieku. Wychowaniec filozofii Hegla, zachował w zasadach tradycye nauki tegoż. Tkwi w niéj jednak dążność do podkładania spekulacyi psychologicznéj pod wywody tak, jak to czynił Schiller. Carrière traktuje więc swój przedmiot w istocie nie psychologicznie, bez naukowéj ścisłości, jaką już postęp w rozbiorze kwestyi psychologicznych umożliwił. Możnaby to nazwać „etycznem“ traktowaniem przedmiotu. Jak Köstlin, łączy z estetyką historyę cywilizacyi, a specyalnie porównawczą hi-

storyę literatury i sztuki (1). Ta ostatnia jest wedle Carrièr'a skrystalizowaniem życia: tu i tam elementa téż same, ale to, co w przyrodzie i dziejach mętnie się wikła, to w sztuce czysto się wznosi, jasno i wyraziście zarysowywa się dla oka. Wrażenie estetyczne polega na tém, że piękno działa za pośrednictwem swéj formy, za pomocą miary i symetryi, które wyobrażają ład w rozmaitości. Forma jednak, tak jak i treść nie istnieją każda sama dla siebie: jedna warunkuje drugą. Skończone piękno jest to zgoda harmonijna kontrastów, zlanie się formy i treści. W taki sposób dogmatyczny i powierzchowny wyjaśnia tajemnice twórczości. Cały proces takowéj, odbywający się w duszy artysty, zbadany niedokładnie; oddziaływanie produkcyi artystycznéj na nas przedstawione pobieżnie. Tu i owdzie spotkać się można z trafnym wywodem, co bywa atoli nie często. Fantazya—powiada Carrière—jest to siła obrazująca. Potrzebuje ona podniety zzewnątrz. W tenże sposób odbywa się i wzbogacenie fantazyi. Objętość i głąb' doświadczenia artysty (2) dają ton i miarę jego kreacyom. Z głębi doświadczenia tego płyną niby ze źródła wspomnienia, uczucia i cała, nie dająca się ocenić gra wyobrażeń, asocyacyi, reprodukcyi i apercepcyi, a wszystko to splata się w obraz idealny. Nawet dla samego artysty bywa do pewnego stopnia tajemniczą działalność tego ożywienia. Czynniki świadome i nieświadome łączą się w tym procesie tak, że rozróżnić ich niepodobna.

Nie będę powtarzał poglądów Carrièr'a na inne ogólne kwestye estetyczne, bo nie zbaczają one od systemu estetyki idealistycznéj. Natomiast dokładniéj zajmę się estetyką poezyi, bo to wykaże, jak Carrière pojmuje zadanie i cel estetyki, a oraz jaką metodą posługuje się przy rozbiorze kwestyi estetycznych.

W jednym ze wstępnych rozdziałów swego dzieła o poezyi wykreśla autor granice poezyi i prozy, sztuki i umiejętności. Sztuka mieści w sobie pierwiastek indywidualny i jest przedstawicielką tegoż; uzmysławia oderwane pojęcia za pomocą obrazów. Umiejętność z ogółu zjawisk wysnuwa pojęcia, tłómaczy istotę czasu i rozwój społeczeństw, rozkłada zjawiska na części, uważa sprawy, ich przyczyny i skutki, z mnóstwa przesłanek tworzy pojęcia ogólne. Pomimo tego, że podano formę, jako główną znamienną różnicę poezyi i prozy, zaznacza Carrière dość wybitnie idealistyczne swe

(1) W dwóch głównych dziełach zamyka się system Carrière'a. Pierwsze, dawniéj wydane, nosi tytuł Die Aesthetik., drugie zaś: Die Poesie. Ihr Wesen und Ihre Formen mit Grundzügen der vergleichenden Litteraturgeschichte v. Moritz Carrière. Leipzig 1884.

(2) Aesthetik I. str. 386.

upodobania, podnosząc wielce znaczenie treści. W poezyi—powiada (str. 76)—panuje i wznosi się ponad wszystko myśl: ją to powinna mieć poezya za cel bezpośredni. Poeta nastraja fantazyą czytelnika, aby odtwarzała też same kształty, które on wytwarza; ale oraz zmusza ją do tego, by mając jeden rys urabiała całą postać, zmusza ją do samodzielnéj twórczości. Tak Homer nigdy nie opisuje wdzięków Wenery, jeno jednym śmiałym rysem określa jéj postać, zniewalając nas w ten sposób do indywidualnéj twórczéj działalności.

Widzimy, że autor nie sięga w głąb wytwórczéj fantazyi, nie szuka w niéj mimowolnego procesu, który sprawia owo przerywanie wyobrażeń i powoduje zatratę pospolitych a plastyczną wypukłość znamiennych rysów. Autor opisuje tylko zewnętrznie sam objaw i wpływ jego na nas.

Dłużéj zastanawia się nad znaczeniem „mytu“ dla artysty. Włącza do tego całą przeszłość artysty, wpływy wykształcenia na jego umysł. Mniejsza o to: czy wpływy otoczenia i zależność twórczości poetyckiéj od wypadków i wrażeń minionego życia artysty nazwiemy „mytem“ lub inaczéj; to rzeczy nie zmienia i słuszności kwestyi nie nadwéręża. Ciekawszém byłoby wyjaśnienie samego procesu, owego przerabiania masy nabytych i niekształtnych wrażeń, wyobrażeń i pojęć w obrazy, tchnące życiem i barwnością. Carrière nie tyka tego przedmiotu. Nazywa poprostu twórczą siłę „darem nieba“ (*das Göttliche*). Nie badając wcale istoty obrazowania, wylicza gatunki jego, osobliwie obszerniéj zajmuje się personifikacyą, kreśli np. szczegółowo i historycznie wędrówkę rozmaitych mytów i wyobrażeń o bóstwie.

Najobszerniejszą częścią dzieła są prawa, nakreślone przez Carrièr'a dla różnych rodzajów poezyi. Sam poeta—wyłożył teoryą poezyi, zbiór praw i przepisów, mających służyć poecie za drogowskazy w trudnéj wędrówce. Dzieli poezyą wedle dawnego zwyczaju na epiczną, liryczną i dramatyczną. Poeta epiczny nie zajmuje się wnętrzem duszy ludzkiéj, jako takiéj, jeno przedstawia świat i życie, w którém się dusza ludzka obraca, maluje naturę w jéj istotnych barwach, nie zaś, jak się odzwierciedla w duszy ludzkiéj w chwilach pewnego nastroju, rozwija myśli, jako idee, powszechnie przyjęte. Wszędzie tu występuje życie samodzielne, swobodne, w swéj nierozerwalnéj jednolitości, w swéj harmonii. Poeta sam znika po za dziełem. Każdy poeta czerpie treść do swych kreacyi bodaj w drobnéj cząstce z teraźniejszości, w któréj żyje. Ale liryk żyje uczuciem danéj chwili i idzie za jego głosem, dramaturg zwraca się do tego w przyszłości, co jako skutek z obrotu spraw się wysnuje; epik zaś spogląda w przeszłość, w życie już skończone, zwarte

w sobie i tworzące całość. Poezya epiczna celować powinna plastyką, kompozycya ma być jednolitą, jak ogniwa spojone w łańcuchu, bez skoków i luk, abyśmy krok za krokiem, od faktu do faktu dążyli ku końcowi, aby czas i przestrzeń były odpowiednio zmierzone i wypełnione. Jedna główna nić wiąże całość, zdarzenia się ze sobą łączą, myśli idą logicznie i składnie. Wszystko to są, jak widzimy, mniéj lub więcéj uzasadnione osobiste życzenia estetyka, i gdyby np. dzieło epiczne nie posiadało wyżéj wymaganych przymiotów, toby jeszcze nie można było żadną miarą orzekać, iż jest złém bezwarunkowo. Że powyższy statut epicznéj poezyi nie ma rzeczywistego uzasadnienia, świadczy fakt, iż możnaby go zastosować do wszelkiego innego rodzaju poezyi, co więcéj—wiele prac prozaicznych chlubi się wymienionemi zaletami (1). Podobny szereg prawideł towarzyszyć winien dwóm innym gatunkom poezyi—lirycznéj i dramatycznéj. W liryce poeta opowiada subiektywnie własne uczucia; liryk wstępuje w środek swych pomysłów; uczucie jego ogarnia świat cały, a on je okazuje w źwierciedle własnego umysłu. Ale nie tylko siły uczucia potrzeba lirycznemu poecie; jego umysł ma być tak wrażliwy i czuły, że mu powinno starczyć niby harfie Eolowéj najlżejszego potrącenia, aby do życia obudziły się miękkie dźwięki. To co innych zaledwie wzrusza, musi liryka pobudzać (str. 369). Ból życia, o którym tak często prawią wielcy lirycy, staje się w wyobrażeniu następców frazesem, podczas gdy u owych był on pełną łez prawdą. Jakkolwiek poeta w liryce sam jest punktem środkowym, to przecież zakres liryki rozszerza się wszędy, aż do wieczności. Przyroda i problemata obyczajowe, losy narodów, ich wznoszenie się i upadek tak samo znajdują właściwe oddźwięki w umyśle, jak i wypadki z życia jednostek. Dramat polega na połączeniu liryki i epiki: historycznie wziąwszy wtedy się dopiero rozwija, gdy owe już rozkwitły. Bohater epopei bywa przedstawicielem społeczeństwa; cel jego ma być celem powszechnym, do którego dążą wszyscy.

Bohater dramatu pragnie przedewszystkiém zrealizowania własnych planów i obiera pewien cel, jako swój własny, odłącza się od otoczenia i skutkiem tego wywołuje konflikt. W konflikcie wewnętrznym spostrzegamy istotę dramatu. Walka przenosi się z ze-

(1) W przykładach poezyi epicznéj, wziętych porównawczo z literatury europejskiéj, znajduje się wzmianka i o polskiéj epice (str. 307). O znajomości polskiéj literatury świadczy sąd autora o panu Tadeuszu. „Wpływ Don-Juana Byrona spostrzegamy—pisze Carrière—także w przygodach miłosnych Pana Tadeusza u Mickiewicza, a szczery humor znamionuje opisy krajobrazów i charakterystykę osób“.

wnątrz do duszy bohatera. Idealizm fantazyi i uczucia, realizm świata, miłość, heroiczna siła woli—oto właściwości dramatycznych charakterów. Zwykle prawdziwy i dobry dramaturg tak potrafi nastroić czytelnika, że każdy charakter bohatera wydaje się dodatnim i budzi sympatyą. W jakiémś zdarzeniu lub charakterze uderza poetę treść o znaczeniu ogólno-ludzkiém. Skupia więc oba pierwiastki: albo charakter przedstawia tak, że sprawa układa się wedle jego myśli, albo téż fabułę tak przekształca, jak tego wymaga charakter. To wniknięcie w oba momenta jest pierwszém dziełem dramaturga. Konstrukcya dzieła może być także dwojaka: albo bohater zjawia się jeszcze w całéj dziewiczéj sile swéj natury i ogarnia go jakoweś potężne uczucie, lub téż wrogie żywioły rozpoczynają walkę, trują spokój bohatera i wciągają go również w wir boju. Dramat wymaga nieprzerwanego połączenia przyczynowego. Im poeta trafniéj zdoła motywa kolizyi i akcyi wyszukać w stosunkach ogólno-ludzkich, tém chwalebniéj zasłuży się u wieczności. Co się opiera na zmiennych sprawach świata, traci siłę swą i znaczenie. Bezpośrednie wrażenie dramatu osłabić się téż musi, jeśli treść tegoż dla nas jest tak obcą, iż musimy dla zrozumienia odpowiednio zaznajamiać się ze stosunkami. Najlepszéj i najciekawszéj treści dostarczają więc dzieje i życie własnego społeczeństwa (1). Carrière żąda w dramacie jedności akcyi, zaznacza jako dobrą i potrzebną jedność miejsca i czasu. Omawia dokładnie i szczegółowo układ. Początek stanowi ekspozycya charakterów i stosunków, węzeł kolizyi. Przytém jednak nie może poeta używać wcale długich opisów. Od ekspozycyi dąży poemat do punktu kulminacyjnego i pochyla się ku katastrofie. W ciągu akcyi atoli nie powinien poeta zapominać o chwilach wytchnienia. Musi istniéć też kryzys i katastrofa, w przeciwnym bowiem razie popełnia poeta błąd w dramacie. Estetyk otacza swą opieką nawet styl dramatyczny. Musi on być realniejszy, musi na każdy odcień uczucia miéć odpowiedni wyraz, a nadto zachować rozmaitość. Zwykła mowa—to zdawkowa moneta, z rąk do rąk krążąca. Oznacza ona wyobrażenia i myśli, które należą do wszystkich; poeta patrzy w głąb' serca, czerpie stamtąd złoto i srebro uczuć, tworzy zmysłowe wyrazy na oddanie wrażeń, jakie sam żywi i usiłuje innym przyswoić. U dramatycznego poety znajdujemy dźwięki gniewu i miłości, odwagi i bólu, niby

(1) Zdanie to, jak na Niemca, dość śmiałe, choć wcale nie nowe. Wszakże Schiller, największy dramatyczny poeta niemiecki, obierał do utworów swych dzieje Anglii (Marya Stuart), Francyi (Dziewica Orleańska), Hiszpanii (Don Carlos), Włoch (Narzeczona z Messyny), Szwajcaryi (Wilhelm Tell), Rosyi (Demetrios).

odgłosy przyrody. Wyszuka on zawsze właściwy wyraz i ożywia uczucie estetyczne, które działało niegdyś, pierwotnie, podczas tworzenia się dźwięków mowy; pierwiastek plastyczny i muzykalny poezyi stają na jego usługi. Język tchnie silną wolą i porywa do czynu. Nie masz tu ani szerokości eposu, ani śpiewności liryki; ale czuć się daje dążenie ku jednemu celowi, a tu i owdzie cała skoncentrowana siła indywidualizmu w pojedyńczych namiętnych dźwiękach przerywa mowę. Tak poetycznie przemawia ów estetyk, nie darmo przez Niemców nazwany „*geistreich.*“ Jeszcze więcéj fantazyi, a jeszcze mniéj ścisłéj analizy spostrzega się w przedstawieniu prawideł dla specyalnych gatunków dramatu, mianowicie tragedyi, komedyi i dramatu właściwego. Tragedya zajmuje się poważną stroną życia, opiewa zwycięstwo boskiéj woli albo konieczności nad wszelkiemi błędami świata, święci tryumf dobrego po upadku złego. Walka wolności z koniecznością, z jakiémś *fatum*, ciążącém nad sprawami ludzkiemi, prawo świata, położenie faktyczne rzeczy, siła stosunków, przeszłość wyciągająca szpony swe ku przyszłości, zwłaszcza zaś indywidualna natura ludzka: wszystko to stanąć może w drodze bohatera, który niezmordowanie dąży ku wytkniętemu celowi. Staje on do walki i w ten sposób wypełnia los swój. Wina i przebaczenie okazują się często ważnemi chwilami tragedyi, ale nie stanowią wyłącznego węzła i rozwiązania. W komedyi staje się konieczność owém utajoném bóstwem, które pozornie folguje kaprysom, ba, udziela im chwilowego zwycięstwa nad ideą. Wolne od praw i ich powagi zamienia się życie w igraszkę, wszelakoż nawet igraszka nie powinna być zupełnie pozbawioną reguł i prawideł. Panuje tu boska miłość. Nie może ona wprawdzie odrazu podołać nieprawości, ale skupia osoby, którym się takowa za wadę uważa: ich próżne plany zostają zniweczone. Kaprys przeciwstawia się kaprysowi, przypadek walczy z przypadkiem: tak wzajemnie się paraliżują i z tych coraz gęściéj splątanych niedorzeczności wypływa ludzka natura, jako rozsądna, pełna wrodzonéj szlachetności, wyłania się prawidłowy bieg rzeczy; a gdy w końcu wszystko szczęśliwy bierze obrót, poznajemy kierującą rękę opatrzności. Śmierci tragicznéj przeciwstawia się w komedyi, jako punkt końcowy, wesele, które nie tylko symbolizuje życie, ale zaznacza niejako nadzieję nowego życia....

Dotarliśmy wreszcie do kresu w tym potężnym lesie pięknych frazesów. Zdaje się, że fantazya, którą obdarzony sowicie autor, szkodzi mu. Nie jest-to jednak owa fantazya twórcza, łamiąca stare bóstwa, a ścieląca sobie przemocą nowe tory. Zbiera ona rozsypane i przywiędłe już kwiatki i gromadzi je w bukiet bez woni....

Nadaremnie usiłuje estetyk skupić setki reguł, ujmujących twórczość w ścisłe karby przyzwoitości i szablonu. Z artystyczną twórczością to tak, jak z dzieckiem. Włóż mu czyste, świeżo odkrochmalone sukienki; przez chwilę będzie sztywnie i trochę bojaźliwie usiłowało zachować całą ich nieskazitelną przyzwoitość; wnet jednak natura weźmie górę—i patrz: dziecię z wesołą wrzawą biegnie, nie bacząc na mnące się i łamiące składki i fałdy krępującego je stroju. Bardzo trafnie Schoppenhauer upatruje analogią między dzieckiem a człowiekiem genialnym. Carrière popełnia kapitalny błąd przez to, że żąda od twórczości bezwarunkowego posłuszeństwa przepisom.

Takie jest *credo* estetyków, rozsnuwających w dalszym ciągu systemat Hegla. Istnieją atoli w Niemczech poważni i uczeni badacze, usiłujący oprzéć swe studya na gruncie psychologicznym i zużytkować w estetyce rezultaty nauk przyrodniczych. W pierwszym ich rzędzie należy wymienić d-ra Hermana Siebecka, b. profesora w uniwersytecie bazylejskim (1). Młody ten uczony napisał swe dzieło na podstawie studyów psychologicznych. Nie pragnie on brnąć w lesie metafizyki estetycznéj — pozostawia to innym; obiera sobie za cel: podać przyczynki do filozofii fantazyi. Główny punkt rozprawy tworzy nauka o apercepcyi w tym kształcie, jak jéj fundamenta rzucił Herbart, a daléj rozwinął Steinthal. Siebeck samodzielnych badań nie czyni; opiera się zawsze na tém, co w danéj sferze zrobili poprzednicy. Nauka o apercepcyi Herbarta — to główne źródło; studya Kanta w bardzo wielu szczegółowych kwestyach, a tu i owdzie zapatrywania Vischera, Lotzego, Zeisinga wskazują mu nieomylną, zdaniem jego, drogę, którą iść ma postępowa estetyka. Zgadza się w gruncie z tymi, którzy piękno uważają za harmonijne zlanie się pierwiastku idealnego z realnym. Różnica atoli jego poglądu polega na tém, że dla niego stosunek tych dwóch pierwiastków piękna jest rodzajem subiektywnéj, jakkolwiek powszechnéj i koniecznéj iluzyi, podczas gdy u estetyków treści był on rzeczywistym. Jakieś arcydzieło, posąg, obraz, poemat staje się pięknem we właściwém znaczeniu dopiéro dla oka, oświeconego działaniem fantazyi. Siebeck naturalnie pomija mnóstwo kwestyi, w którychby miał sposobność popisać się piękną frazeologią. Specyalnie zatrudnia go geneza wyobrażeń estetycznych w umyśle ludzkim, analiza podobania się estetycznego, fantazya

(1) Das Wesen der ästhetischen Auschanung. Psychologische Untersuchungen zur Theorie des Schönen und der Kunst v. Dr. H. S. Prof. d. phil. au der Un. Basel. Berlin 1875. Obecnie jest on profesorem w Giessen.

i idealizowanie; poświęca całe rozdziały rozpatrzeniu istotnych znamion piękna i modyfikacyom tegoż.

Piękno przedewszystkiém wypływa — z „podobania się.“ To zaś bywa rozmaite: inaczéj podoba mu się jakaś potrawa, inaczéj dźwięki instrumentu, inaczéj spełnienie jakiego życzenia lub nadziei. Polega ono na zachowaniu się obiektu względem subiektu, boć subiekt pozostaje ten sam, zmieniają się zaś ciągle obiekty. W obiekcie rozróżniamy materyą i formę. Podobanie się zatém może być zawisłe: 1) tylko od materyi przedmiotu, 2) tylko od formy, 3) od obu razem. To ostatnie zaś bywa: *a)* celowe—stosunek materyi i formy jest tu nader ścisły; *b)* estetyczne — tu ścisłego takiego związku między formą i treścią nie masz, istnieje jednak pewna wzajemna zawisłość obu. Przy estetycznem podobaniu się materya *(der Stoff)* jest właściwie do pewnego stopnia obojętnym tragarzem *(der Träger)* formy. Roróżniamy wprawdzie formę, która się wiąże koniecznie z taką a nie inną treścią, ale tak, że treść może być uważana za zmysłowe oparcie formy, a obok niéj wiedzie żywot sobie właściwy i niezależny. Jeżeli jakiś przedmiot podoba się, jako piękny, dzieje się to za pomocą dodatku *(Zusatz)* ze strony subiektu, który jakieś właściwości przedmiotu uwydatnia. Mówimy np.: ten ptak jest piękny, posiada zielone ze złotym połyskiem pióra i t. d. Wogóle estetyczne wyobrażenie bywa tylko opisem, zrobionym wedle spostrzeżeń człowieka. W zoologii wystarczy słowo „pstry“ lub „jaskrawy“, a wówczas właściwość estetyczna zniknie. I odwrotnie, skoro zastosujemy do określenia przedmiotu ów dodatek, wówczas znika to, co stanowi istotę przedmiotu. Drzewo np. jest czémś zupełnie inném dla malarza niż dla ogrodnika. Stąd więc wypływa, że właściwość, na podstawie któréj nazywamy przedmiot jakiś pięknym lub brzydkim, nie leży w nim samym, jeno musi być koniecznie „wynalezioną“ *(gefunden)*. A zatém dana wraz z obiektywną istotą zewnętrzna forma przedmiotu powinna być tak uorganizowana, iżby powodowała subiekt do takiego określenia formy, w którémby znajdował się właśnie ów niezbędny do estetycznego obrazu dodatek. Ujęcie przedmiotu polega w tym wypadku na iluzyi artystycznéj, skutkiem któréj naturalne właściwości przedmiotu tracą się. Co dla naturalnego układu jest podrzędne, to staje się w wyobrażeniu estetyczném często główném: struktura wewnętrzna np. ustępuje wobec mniéj lub więcéj przypadkowych linij powierzchni.

Formy organiczne dane są nam wraz z materyą; nie jest w naszéj mocy opuścić je dowolnie lub odmienić; nie mogę tego, co posiada kąty, uważać za okrągłe, tego, co rozdzielone—za spojone.

Formy estetyczne zaś nie są niezbędnie połączone z zewnętrznym opisem przedmiotu. Forma estetyczna jest nadwyżką *(Ueberschuss)* w stosunku do form empirycznych: w naturze przedmiotu nie jest ona istotną. To téż umysł, ujmując estetycznie przedmioty, igra sobie z nimi; chodzi mu nie o poznanie przedmiotów, ale o własne zadowolenie wobec ucisku pozytywnego bytu.

Pogląd estetyczny uwzględnia przedewszystkiém celowość w stosunkach powierzchni, a zawartość przedmiotu nie wchodzi tu w rachubę. Treść poglądu tworzy się z obrazu formy przedmiotu. Ale w poglądzie estetycznym części są w takim związku z sobą, iż nie możemy żadnéj z nich usunąć, ani odmienić bez uszkodzenia całości estetycznéj. Następnie autor objaśnia mechanizm asocyacyi, reprodukcyi i apercepcyi wyobrażeń. W badaniu tém, opierającém się zresztą na wynikach najnowszych badań psychologicznych, nie widzę nic wielce ciekawego do powtórzenia. Można je znaleść w pierwszym lepszym podręczniku psychologii empirycznéj.

Interesującym jest rozdział o fantazyi i idealizowaniu. Umysł z jednéj strony w zmysłowości widzi tylko zmysłowość, t. j. kształtuje formy organiczne tak, jak mu się one przedstawiają, bez zmiany. I w tym procesie istota duszy stanowi rzeczywisty współczynnik, ale pobudka leży we wrażeniu zewnętrzném, t. z. duch tworzy treść jakąś na podstawie czegoś danego; z drugiéj zaś strony wkłada on indywidualność swą w przedmioty, mianowicie spostrzega tylko treść ożywioną. I w tym wypadku proces musi polegać na czémś „danem", duch nie produkuje z niczego; ale właściwy sposób przerobienia obiektywnie danego zjawiska, w którém to przekształceniu sumę danych z zewnątrz właściwości skupia w duchową treść — to już wyłączne i własne dzieło ducha. Czynnym więc jest umysł w obu razach i w obu téż bywa natchniony przez świat zewnętrzny. Ale zasada wzajemnego działania między obiektem a subiektem spoczywa w razie empirycznego spostrzegania w owém „danem", w drugim zaś razie—w istocie ducha. Tak tedy duch objawia się raz jako recyptywny, drugi zaś—jako produktywny. A zatém—ta duchowa czynność, która za treść swą ma produktywny stosunek ducha do materyi, nazywa się fantazyą. Psychologia określa fantazyą, jako stan duchowy, który igra z danymi stosunkami i formami; modyfikuje zdobytą treść wyobrażeń tak, że tworzy z istniejących grup—nowe; jakkolwiek czerpie je z danego zasobu myśli, to jednakże zbaczają one od realnych stosunków, a nawet mogą się składać z obrazów, które w rzeczywistości nie istnieją. Podstawą zaś do tego jest psychologiczny mechanizm téj gry. Wyobrażenia, które stały się nieświadomemi, reprodukowane

i wprowadzone bywają w nowe asocyacye nie koniecznie wedle związku i porządku, jaki miały pierwotnie, lecz także wedle przypadkowych punktów łącznych, podobnych treści, wspólności poszczególnych znamion, kontrastów i t. d.

Ale powyżéj opisany mętny przebieg reprodukowanych wyobrażeń, bez oznaczonych dróg i celów — to jeszcze nie jest właściwa działalność fantazyi artystycznéj. Wszak istnieje fantazya dziecka, młodzieńca, kobiety; nawet skutkiem długoletniego zajęcia w pewnym zawodzie urabia się w odpowiedni sposób fantazya. Poetycka — jest tylko jednym z rodzajów. Fantazya artystyczna tworzy estetyczne kompleksa wyobrażeń (str. 99).

Daléj autor radzić już sobie nie umié. Porzuca zatém metodę psychologiczną i posługuje się frazeologią estetyków idealistycznych. Produkcya artystyczna — powiada (str. 102) — powinna być zawsze udoskonaleniem danego przez doświadczenie materyału. To początek idealizowania. Odbywa się ono za pomocą intuicyi duchowéj, w któréj obiektowi nadaje się kształt pierwowzoru, ideału jego. Ideał zaś jest-to wiekuisty i doskonały wzór obiektu. Powstaje naturalnie pytanie, cóż właściwie jest intuicya, gdzie bierze początek i w jaki sposób działa? Autor kwestyą tę pomija zupełnie.

Podobnie téż rozbiera i określa istotne znamiona piękna tak samo, jak to uczynili poprzednicy—Köstlin i Carrière. Piękno, wedle Siebecka — jak wedle poprzedników — ma zadość czynić szeregowi przepisów, ma posiadać wymienione przezeń przymioty: pierwiastek indywidualny, określone granice, podział, miarę, proporcyonalność, ożywienie, harmonią, symetryą, idealność, obrazowość.

Dzieło Siebecka o tyle, jak widzieliśmy, różni się od poprzednich, że uznaje konieczność badań psychologicznych i szuka w nich rozwiązania kwestyi estetycznych; pozytywniéj i jaśniéj przeprowadza analizę twórczości artystycznéj, i jakkolwiek w końcu cofa się do zagadkowych dawnych pytajników, pozostawiając je *statu quo ante*, to przecież w dążeniu ku nim przyznać mu trzeba logiczną ścisłość i konsekwencyą. Czy przyjęcie za zasadę herbartowskiéj nauki o apercepcyi, a oraz chęć pogodzenia idealizmu z metodą doświadczalną, udała mu się zupełnie—to inna kwestya. Podstawy téj zgody nazbyt kruche; owo przymierze z estetykami treści w zasadniczym poglądzie na piękno, zbyt pozorne; cały zaś system jest właściwie formalizmem, którego wykład zasilił się bogatym materyałem, zaczerpniętym z nauki psychologii doświadczalnéj. Dokładniejszy rozbiór wykazaćby mógł niewątpliwie w takiém trójprzymierzu liczne pierwiastki dezorganizacyjne, wiodące do ry-

chlejszego lub późniejszego zburzenia całego systemu. Historycznie wziąwszy—świadczy to dzieło w każdym razie o znacznym postępie badań estetycznych w Niemczech, zwłaszcza w porównaniu z przestarzałemi pracami tego rodzaju, co Carrière'a.

Nareszcie po tylu półśrodkowych próbach pogodzenia dawnych teoryi estetycznych z materyałem, danym przez psychologią, postanowiła estetyka zerwać sojusz z formalizmem i idealizmem, a ugruntować się jedynie na empiryi.

Hettnerowi sprawa przedstawiała się już jasno, gdy pisał (1): „Potrzeba estetykę pojmować poprostu, jako psychologią fantazyi. Schelling, Solger, Hegel tworzą systemata, metafizykę estetyki, ale Achillesową piętą ich wiedzy jest, że nie wyjaśniają psychologicznego podkładu sztuki.“ Tym, który stanowczo zmienił metodę i badania estetyczne w literaturze niemieckiéj na nowe skierował tory, a przynajmniéj położył sobie za zadanie to uczynić—jest Fechner (2).

Motywując i uzasadniając założenie, z którego wychodzi, dzieli Fechner badania estetyczne na filozoficzno-estetyczne i doświadczalne. Różnią się one zasadniczo. Filozof szuka wyjaśnienia piękna w jego istocie i początku, rozbiera najogólniejsze i najważniejsze idee i pojęcia, zniżając się coraz bardziéj do objawów drobniejszych w estetyce; empiryk nie zastanawia się nad tém, co to piękno, jak trzeba pojmować wzniosłość, tragiczność, wdzięk, komizm, humor, styl, manierę, nie podaje filozoficznych definicyi, ale poczyna badanie od elementów piękna, z dołu, od rozbioru pierwszych przyczyn podobania się. Proces podobania się, analiza przyjemnych pobudzeń i wpływ tychże na zmianę stanów naszego organizmu—oto główne zadanie estetyka empirycznego.

Fechner zresztą przyznaje, że estetycy filozoficzni cokolwiek uwzględniali i pierwsze przyczyny i samo działanie podobania się; czynili to atoli niedostatecznie i kwestyą tę główną uważali za podrzędną.

Pomimo tych zastrzeżeń nie może się i ten empiryk wrzekomy otrząsnąć z masy spekulatywnego materyału, który nagromadziła estetyka filozoficzna. Jakkolwiek stara się w swym wywodzie całego procesu wrażeń estetycznych od asocyacyi trzymać się zawsze gruntu pozytywnego, opiera się, gdzie może, na zdobyczach fizyki, fizyologii i psychologii, to jednak w nader wielu wypadkach postępuje, jak eklektyczny empiryk i zasłania się wobec niepewności dyalektyką filozoficzną. Dochodzi on i bada ostateczne przy-

(1) Vorrede zu W. v. Humboldt ästetischen Versuchen.

(2) W dziele: Vorschule der Aesthetik v. Fechner Gustaw. Leipzig 1876.

czyny podobania się, ale przyznaje w skromności swéj, że pierwsza przyczyna podobania się *(der Grund)* musi być uważana, jako abstrakcya, łącząca wszystkie inne specyalne przyczyny. Nazywa on je prawami albo pryncypiami i wylicza cały ich szereg (1).

Jak prawdziwy estetyk treści definiuje piękno. Piękno jest to, co wywołuje rozkosz bezpośrednio, w czém różni się od dobra, które budzi wrażenie przyjemne ze względu na swe skutki. Chodzi o to: 1-sze, dla czego się coś estetycznie podoba, i 2-gie, o ile ma coś prawo do estetycznego podobania się. Pierwsze pytanie nie ma pozytywnéj odpowiedzi. Ostateczna bowiem przyczyna podobania się nie jest nam znana; możemy atoli pomimo tego badać inne zewnętrzne i wewnętrzne przyczyny. Co się zaś tyczy pytania drugiego, idzie tu właściwie nie o to, czy się coś bezpośrednio podoba lub nie, ale czy jest dobrze, że się coś podoba. Stąd wynika najwyższa zasada podobania się, którą Fechner dogmatycznie układa. Najwyższém prawem estetycznéni w tym kierunku — zdaniem Fechnera—jest potępić wszystko, co się sprzeciwia najogólniejszym zasadom ludzkiego dobrobytu i szczęścia, a zatém wszystko, co czyni szkodę cielesnemu i duchowemu zdrowiu, co ubliża religii, obyczajności, prawidłowości logicznéj. Miary istotnego piękna należy tedy szukać w ogólnéj mierze dobra: a tak w rzeczywistości prawdziwa estetyczna rozkosz utożsamia się z etyczną.

Pod pewnym względem badania Fechnera zajmują niepospolicie ważne stanowisko w historyi współczesnéj niemieckiéj estetyki. On pierwszy zwrócił uwagę na racyą bytu dotychczasowéj estetyki filozoficznéj. Nie ma dość śmiałości do potępienia jéj; jednakże usiłowaniem swojém — oparcia całego procesu wyobrażeń estetycznych na podstawie doświadczalnéj, okazuje, że zadaniem estetyki— i jedyném zadaniem — jest śledzenie poszczególnych warunków i przyczyn piękna, a oraz określenie praw tychże.

Tak w rezultacie, po tylu walkach, po całym wieku nieustannéj mozolnéj szperaniny, po przebyciu tak długiéj drogi domysłów i nieplennych dociekań, staje dzisiejsza estetyka niemiecka zaledwie u progu nowego kierunku, a łatwo zrozumiéć, jak drogo opłacać się musi zdobycie każdéj piędzi na tém nowém polu, skoro się zważy, że w postępie tym trzeba zużywać siły na wycinanie dawnych chwastów. *Antoni Mazanowski.*

---

(1) Der ästetischen Schwelle, der ästhetischen Hülfe, der einheitlichen Verknüpfung des Mannigfaltigen, der Widerspruchlosigkeit, der Einstimmigkeit, der Klarheit; von einem ästhetischen Associacionsprincip, von einem Principe des ästhetischen Kontrastes, der ökonomischen Verwendung der Mittel.



Z GALICYI.

Nowa ustawa spirytusowa i sprawa propinacyi galicyjskiéj. — Stosunki sądownicze w Galicyi w świetle mowy posła Pernerstorfera.—Sprawa dra Felicyana Jackowskiego.

I.

Oddawna nie mieliśmy w Wiedniu tak bardzo ożywionéj sesyi parlamentarnéj, jak tegoroczna. Wszystko, co przez kilka miesięcy ojcowie państwa mówili nad brzegami modrego Dunaju, odbijało się głośnem echem w Galicyi, ponieważ rozgrywały się tamże najżywotniejsze nasze interesy materyalne, czasy zaś, niestety, takie już nastały, że ludzi bardziéj dziś boli, gdy ich kto po kieszeni bije, niż gdy im nie materyalne zdobycze wydziera. W Wiedniu ważyły się losy nowéj ustawy spirytusowéj, która Galicyę miała obciążyć podatkiem, wynoszącym rocznie mniéj więcéj 15 milionów złotych reńskich. Piętnaście milionów, to może drobnostka dla prowincyi bogatéj, mającéj handel rozgałęziony i przemysł zdrowy; tam jednak, gdzie śruba fiskalna, acz dobrze pociskana, nie jest wstanie wydobyć nawet zwykłych podatków, tam kwota piętnastomilionowa staje się ciężarem, przed którym musi zadrżéć najodważniejszy finansista. Zadrżała więc i Galicya, a jeżeli w końcu ustąpiła, uczyniła to jedynie dla tego, że tak wielkiéj ofiary dla dobra państwa sam cesarz zażądał od jéj reprezentantów.

Że monarchia Habsburgów wciąż choruje na brak pieniędzy, to rzecz oddawna wiadoma. Wprawdzie nie stoi ona na bankructwie, jak to może nie jednemu się wydaje, lecz z drugiéj strony nie da się zaprzeczyć, że nie posiada ona także tyle zasobów, ile dziś każde wielkie państwo miéć musi, jeżeli chce uczynić zadość wymaganiom cywilizacyi nowoczesnéj, a przedewszystkiém jeżli ma posiadać armią liczną i dobrze uzbrojoną, których Europa dziś potrze-

buje wrzekome dla utrzymania pokoju. Dawniejszemi laty, austryaccy ministrowie skarbu pokrywali najczęściéj każdy niedobór budżetowy nową pożyczką; była to więc gospodarka prawdziwie szlachecka, która bardzo łatwo mogła się skończyć bankructwem. Zamiast wzmocnić siłę podatkową państwa, ministrowie opłacali coraz wyższe odsetki od coraz nowszych pożyczek, słowem postępowali jak nie jeden szlachcic galicyjski, który dopóty weksle podpisuje, póki mu nie wyprowadzą z obory krowy ostatniéj a w końcu i ziemi mu nie sprzedadzą. Obecny minister skarbu, dr. Dunajewski, acz polak i szlachcic, poszedł zupełnie inną drogą, ponieważ zamiast pożyczać wyszukuje nowe źródła dochodu, dzięki czemu finanse austryackie zostały już prawie uregulowane. Wprawdzie w budżecie nie ma dotąd nadwyżki, niedobór jednak bywał najczęściéj tak mały, że bez uciekania się do środków nadzwyczajnych można go było pokrywać z roku na rok. Dopiero w roku ubiegłym położenie finansowe przedstawiło się w świetle bardziéj ponurém. Zatarg bulgarski i bezustanne alarmy wojenne, zmusiły Austryą do zarządzenia nowych środków militarnych, które za sobą wielkie koszta pociągnęły. Stworzono instytucyą pospolitego ruszenia, pobudowano baraki drewniane, które teraz kazano przerobić na murowane, postawiono kilkanaście nowych mostów, gdzie niegdzie poprawiono drogi, rozlokowano wojska, wprowadzono nowy karabin i zaprowidowano magazyny. Na to wszystko potrzeba było pieniędzy, których minister skarbu nie miał w kasie. Prócz tego prezydent gabinetu węgierskiego, Tisza, oświadczył kategorycznie że honwedów, których w Węgrzech jest 200.000, nie będzie mógł utrzymać, jeźli państwo nie przyzna mu nowych i to znacznych źródeł dochodu. Te to ważne okoliczności były powodem wniesienia przed parlamenty, tak w Wiedniu jak w Peszcie, nowéj ustawy spirytusowéj, która państwu ma dać przeszło 40 milionów guldenów.

Nie jeden nieobznajomiony z naszymi stosunkami, słysząc jak Galicya biada i ręce łamie, że jéj wódkę chcą wysoko opodatkować, musiał niezmiernie dziwić się temu zjawisku i brać nas za prostych barbarzyńców, którzy nie pojmują, że jeźli jaki podatek, to właśnie gorzelniany, jest bez zaprzeczenia najsprawiedliwszym pod słońcem. Zrozumiały to inne państwa, i dla tego nawet w wolnych stanach Ameryki Północnéj, spirytus ulega wysokiéj opłacie. Niech jednak nikt nie sądzi, że jedni tylko Galicyanie tego nie pojmowali. Przeciwnie, rozumieli oni to tak samo dobrze, jak wielcy finansiści na zachodzie, a jeżeli mimo to drżeli na samo wspomnienie o podatku spirytusowym, działo się to jeno dla tego, że forma, w jakiéj go miano zaprowadzić, groziła im zupełną ruiną. I oto dla czego.

Wszystkie wielkie państwa, nie wyłączając z nich nawet Ameryki, dążą od niejakiego czasu do ograniczenia liczby małych gorzelni, nad któremi dozór jest trudny i kosztowny. Naturalném tego następstwem jest zmniejszanie się tak zwanych gorzelni rolniczych. Za to fabryczne nabierają siły i znaczenia. W Anglii znajduje się już wszystkiego tylko 10 gorzelni, z których każda opłaca rocznie kilka milionów guldenów podatku. Każdéj z nich pilnuje także w przecięciu po 600 strażników. W Anglii nie wolno zakładać nowéj gorzelni daléj niż o ćwierć mili od miasta. W Szwecyi było dawniéj 170.000 gorzelni; obecnie jest ich ledwie 222 a i z tych mniejsze znajdują się w stanie opłakanym. W Norwegii było w r. 1840 gorzelni 1387, w roku zaś 1875 tylko 25; w Finlandyi w r. 1835 około 35.000 a w r. 1882 ledwie 66. W Ameryce małe gorzelnie prawo wprost zakazuje. W Rosyi w r. 1870 było 4308, gdy przeciwnie teraz jest ich 2337. Gorzelnia mała, rolnicza, jedynie tam nie zginęła, gdzie rząd pobiera opłatę ryczałtową od naczyń fermentacyjnych. Przeciwnie, gdzie zaprowadzono opłatę konsumcyjną, tam zaczęły kwitnąć jedynie gorzelnie fabryczne, z wielką szkołą rolniczych. Projekt finansowy p. Dunajewskiego domagał się opłaty konsumcyjnéj, i to w wysokim stopniu zaniepokoiło Galicyą. Ktokolwiek choćby tylko w przybliżeniu zna nasze stosunki, wié, że w Galicyi nie ma przemysłu fabrycznego i że takowy żadną miarą u nas dźwignąć się nie może, ponieważ inne prowincye austryackie, stojące pod względem kultury wyżéj niż nasza, zabijają wskutek wolnéj konkurencyi, każdą gałąź przemysłu galicyjskiego w samym już zarodku. O smutnéj téj rzeczy pisałem obszernie dawniejszemi laty, więc dziś nie będę się nad nią rozwodził. Jedyny jeszcze przemysł, jaki u nas istniéć może i jako tako istnieje, to rolniczy, do którego przedewszystkiém należą gorzelnictwo i młynarstwo. Gorzelni mamy 400. Jak na 6.000 gmin, liczba to bardzo skromna, gdyż jedna gorzelnia nie przypada nawet na 10 wiosek; ale już i ta cyfra oddaje krajowi niezmierne usługi, ponieważ w owych czterystu gorzelniach wypasa się rocznie kilkadziesiąt tysięcy wołów, prócz tego dostarczają one sporéj ilości nawozu, bez którego w bardzo wielu okolicach naszéj prowincyi ziemia nic już nie rodzi. Niech teraz powié każdy człowiek bezstronny, czy Galicya mogła spokojnie wysłuchać wiadomości, że gdy nowa ustawa zostanie przez parlament wiedeński przyjęta, wszystkie jéj gorzelnie rolnicze przepadną, a na ich miejsce powstanie kilka wielkich, fabrycznych, które krajowi żadnéj nie oddadzą usługi, ponieważ w nich tylko wielcy kapitaliści będą robili dobre interesy? Troska o gorzelnie rolnicze była tedy pierwszym motorem, poruszającym opozycyą galicyjską. Drugim, nie mniéj ważnym, była sprawa propinacyi.

Rząd, mimo uwłaszczenia włościan w r. 1845, pozostawił propinacyę nietkniętą, i dziś tak właściciele tabularni, jak wolne miasta, mają z niéj znaczny dochód. Prawo to istnieje dotąd tylko w Galicyi i na Bukowinie. W innych prowincyach austryackich zostało już zniesione. Gdy w parlamencie zaczęto o niém mówić, posłowie niemieccy wprost nam urągali, utrzymując, że tylko Polacy mają dotąd prawo, przypominające dawne czasy pańszczyzniane. To téż według nich państwo nie powinnoby zważać na tego rodzaju zabytki feudalne. Na te zarzuty odpowiedzieli tak dobitnie delegaci polscy Rutowski i Hausner, że nie mogę się powstrzymać od przytoczenia ich uwag na tém miejscu, choćby tylko w streszczeniu. „Jeżeli zostanie zaprowadzona wysoka opłata od spirytusu—mówił pierwszy, natenczas nastąpi znaczne ograniczenie konsumcyi w Galicyi, gdzie nowa ustawa napotyka nowe warunki, ponieważ w Galicyi istnieje dotąd p r o p i n a c y a. Wyraz ten tylekrotnie tu (tj. w Izbie) powtarzano, że stał się on utartym frazesem dla oznaczenia pewnych stosunków, tak iż potrzeba wielkiego spokoju i bezinteresowności, aby rzeczowo przedmiot ten zbadać. Nie mam zamiaru wykładać historyi tego przedmiotu. Sądzę jednak, iż każdemu wiadomo, że na podstawie dawniéjszych stosunków prawnych, prawo propinacyjne dotychczas utrzymało się w Galicyi, przez wszystkie rządy austryackie było powszechnie uznaném, i przy wszystkich systematach politycznych, jakie istniały w Austryi, pozostało nietkniętém. To prawo propinacyjne stało się w Galicyi p r a w e m r z e c z o w é m, gdyż połączone jest z większą posiadłością ziemską, lub téż z pewnemi miastami, stało się p r a w e m p r y w a t n é m, gdyż z biegiem czasu wyraźnie uzyskało tę prawno - prywatną cechę“. Dosadniéj odpowiedział Niemcom p. Hausner, gdy rzekł:

„Być może, iż wyda się komuś bardzo naiwném, a jest to jednak prawdą niezaprzeczoną, iż nietylko dla rozwoju świata, nie tylko dla postępu ludzkości, ale także dla życia parlamentarnego o wiele byłoby lepiéj, gdyby ewangieliczna mądrość i łagodność więcéj miały zwolenników i więcéj panowały nad umysłami, a szczególnie, gdyby zapanowała zasada: Nie czyń drugiemu, co tobie niemiłe. Uwagi te nasunęły mi się, gdym się przysłuchiwał obradom nad podatkiem od wódki i nad odszkodowaniem za propinacyą. Gdyby w sercach tych mówców tliła choć jedna iskierka ewangeliczna, to zamiast mówić nam tyle przykrych rzeczy, byliby może zapytali siebie samych: Jakże zapatrywalibyście się na tę samę sprawę, gdyby nie tyczyła się ona Galicyi, lecz naprzykład stolicy państwa? Gdyby Wiedeń posiadał stare, na dokumentach oparte prawo, gdyby to prawo przynosiło mu rok rocznie miliony, gdyby milionów tych używano na

cele oświaty i dobroczynności, a gdyby państwo, pieniędzy potrzebując, chciało mu uszczuplić środków na owe cele dobroczynne, cóżbyście panowie powiedzieli? Zdaje mi się, iż odpowiedź brzmiałaby: Odszkodowanie nie jest tu podarkiem, nie jest zapłatą. Obowiązkiem naszym bronić téj sprawy! Nazwalibyście to nawet żywym wyrazem idei państwa. Obrońców téj myśli nazwanoby odważnymi i przyznanoby im chętnie słuszność. Tak samo powinnyby się rzeczy przedstawiać i teraz, chociaż idzie tu o Galicyą, gdyby stronniczość i uprzedzenie narodowe nie zamącały umysłów i nie przytępiały pojęcia sprawiedliwości. Dla czego więc wszystko, co ma Galicyi zapewnić pożytek, doznaje tutaj takiego losu? Oto dla tego, ponieważ jesteśmy krajem ubogim, ponieważ natura odcięła nas łańcuchem gór od stref południowych i ciepłych, wystawiając naszą północną i wschodnią granicę, na mroźne tchnienie wichrów uralskich, ponieważ nieuregulowane rzeki co roku szerzą u nas zniszczenie, ponieważ nie stąpany po obfitych pokładach węgla i żelaza, i ponieważ od światowego handlu i wielkich dróg handlowych jesteśmy więcéj oddaleni, niż inne kraje monarchii. Dla tego jesteśmy, co prawda, ubożsi od innych, ale równie jak inni jesteśmy opodatkowani i płacimy podatki w tym samym co oni stosunku".

Obawa o propinacyą nie była płonną, projekt bowiem rządowy domagał się 45 złot. reń. od każdego hektolitra, skutkiem czego cena spirytusu, który dotąd płacił tylko 8 zł. r. od hektolitra, musiałaby znacznie podskoczyć, a konsumcya zmniejszyć się, zaczém poszło by także uszczuplenie dochodów z propinacyi.

Nim dam obraz naszéj walki parlamentarnéj, którą przez trzy miesiące toczyliśmy w Wiedniu, muszę jeszcze słów kilka poświęcić projektowi rządowemu. Od samego początku było rzeczą widoczną, że nowa ustawa spirytusowa faworyzuje Węgrów, a po części i Czechów. Odpowiednio do zawartości alkoholu, powinnoby się tak samo od piwa (Czechy) jak i od wina (Węgry) płacić po 45 zł. r. tymczasem piwo opłaca 42·5 zł. r., wino zaś ledwie 25 guldenów. Lecz i te cyfry są tylko teoretyczne. Faktem jest niewątpliwym, że piwo nierównie mniéj płaci, poważni zaś znawcy téj gałęzi przemysłu zapewniają, że na tém polu, przy dokładnéj kontroli podatkowéj, możnaby zebrać rocznie o 8 milionów złot. reń. więcéj niż to się dziś dzieje. Jeszcze gorzéj ma się rzecz z winem. Teoretycznie opłaca wino od hektolitra 2·97 zł. r. lecz gdy weźmiemy pod uwagę rzeczywistą jego konsumcyą, zobaczymy, iż rzeczywisty podatek, przeliczony na całą konsumcyą wina w Austryi, wynosi zaledwie 80 centów od hektolitra. Faktem jest, że jeżeli wino wraz z podatkiem przecietnie kosztuje 8 złot. reń., a piwo również 8 guld., wów-

czas spirytus kosztuje 65 złt. r.; bo jeżeli wino kosztuje 7·20 guld., piwo 6·50 guld., a alkohol 20 guld., to jako podatek od hektolitra wypadnie od wina 80 cnt., od piwa 1 guld. 80 cnt., od alkoholu zaś 45 złot. reńs., t. j. podatek ten w stosunku do wartości znaczy przy winie 10 prc., przy piwie 30 prc., a przy alkoholu 225 prc. Jeżeli się teraz zważy, że wina produkują najwięcéj Węgry, wódki zaś Galicya, która jéj stosunkowo także najwięcéj sama konsumuje, to łatwo pojąć, o ile nowy projekt był korzystniejszym dla mieszkańców po tamtéj stronie Karpat niż dla nas. I zdaje się nie ulegać najmniejszéj wątpliwości, że Węgrzy, starając się o tak wysokie opodatkowanie spirytusu, mają na pamięci swoje wino, które teraz w znacznie większéj niż dotąd ilości będzie do Galicyi przychodziło. Ze stanowiska cywilizacyjnego należałoby sobie nawet tego życzyć, wino bowiem dla ludzkiego organizmu zdrowsze jest od wódki, ale za co, pytam, będzie Galicyanin wino kupował, jeżeli z upadkiem gorzelni rolniczych, wyczerpią się ostatnie źródła jego dochodów?

Nie koniec na tém. Węgrzy chcieli przy ogniu spirytusowym jeszcze jednę pieczeń upiec. Ich chłopi mają tak zwane gorzelnie kociołkowe, w których przerabiają owoce. Jest ich tąm razem przeszło 100,000. Część alkoholu w nich wyrabianego, jako idąca na użytek samego producenta, nie ulegała dotąd żadnéj opłacie i tylko od drugiéj części skarb pobierał stosunkowo niewielki podatek. Nowa ustawa spirytusowa nie obejmowała gorzelni kociołkowych. Coby się więc było stało, gdyby owe gorzelnie, korzystając z tak znacznych ulg, były podwoiły, lub nawet potroiły swoję produkcyą? Czyż wtedy z Węgier nie mógł łatwo nastąpić eksport spirytusu do Galicyi, co w rezultacie musiałoby za sobą pociągnąć zupełny upadek gorzelnictwa naszego? Już to Węgrzy chętnie śpiewają: „Węgier, Polak, dwa bratanki!“ — ale odkąd stali się siłą państwową, chętnie buty nam szyją i przy każdéj sposobności starają się podkopywać nasz byt materyalny. Dość powiedzieć, że począwszy od roku 1860 w samém gorzelnictwie jest to już 7 zmiana, a prawie wszystkie z nich zawdzięczamy naszym sąsiadom zakarpackim.

Niebezpieczeństwo grożące gorzelniom rolniczym i propinacyi galicyjskiéj, a w części także zbyt widoczne faworyzowanie Węgrów były powodem, że po wniesieniu ustawy spirytusowéj opinia publiczna w Galicyi zaniepokoiła się w stopniu tak wysokim, iż przez dłuższy czas nie było można nawet przewidzieć, na czém się wszystko skończy.

II.

Ledwie parlament wiedeński odczytał przedłożenie rządowe, dotyczące nowego podatku spirytusowego, wnet cała Galicya uderzyła na alarm. Z wyjątkiem tych nielicznych, którzy utrzymują z rządem bezustanne stosunki, którzy już z góry godzili się na projekt ministeryalny, wszyscy inni wypowiadali głośno swoje oburzenie, dzięki czemu kraj cały zmienił się w jeden obóz opozycyjny W nim widzieliśmy tak dobrze książąt, hrabiów i szlachciców, jak burmistrzów owych miast, a takich jest w Galicyi 54, które mają znaczne dochody z propinacyi. Zaczęły się zjazdy, narady, powiaty, towarzystwa i miasta wysyłały deputacye do Wiednia, gdzie stale obradował komitet krajowy, mający czuwać nad sprawą spirytusową. Ministrowie przyjmowali deputacye grzecznie, niektórzy z nich bardzo nawet ubolewali, że na Galicyą spadnie tak wielki ciężar, lecz mimo to nieznacznie dawali oni do zrozumienia, że nowy podatek musi być uchwalony, ponieważ skarb potrzebuje pieniędzy, a zkąd indąd wziąć ich nie może. Innemi słowy znaczyło to: „Nie dacie dobrowolnie 15-cie milionów, potrafimy je sami wziąć.“ Jednych irytowało to niezmiernie, dla drugich była to zimna woda, na ich głowy wylana. Ci zaczęli zastanawiać się nad położeniem i powoli nabrali przekonania, że wojna z rządem będzie niemożliwą, bo choćby nawet Dunajewski ustąpił, nowy minister skarbu musiałby także postarać się o przeprowadzenie podatku spirytusowego, ponieważ czém inném nie byłby w stanie pokryć niedoboru. Skoro więc złe musi nastąpić, niech zatém stanie ono przed nami choć w takiéj formie, iżbyśmy je mogli znieść. Obóz ten, spokojny w swoich zapatrywaniach a umiarkowany w żądaniach, którego głową w kole polskiém jest p. Grocholski, postanowił targować się z ministrem, aby dla Galicyi uzyskać choć jakie takie koncesye. Powiedziano tedy p. Dunajewskiemu, że Polacy dopiéro wtedy będą za projektem rządowym głosowali, jeżeli gorzelnie rolnicze otrzymają bonifikacyą, jeżeli wódka w nich wyrabiana będzie opłacała od hektolitra nie 45, lecz tylko 35 złot. reńs., jeżeli właściciele tych gorzelni dostaną nieco pieniędzy na przerobienie aparatów, i jeżeli galicyjski fundusz propinacyjny, który ma służyć na wykupienie tego prawa, będzie przez lat 21 pobierał z kasy rządowéj po 1 milionie rocznie. Pan minister skarbu nie chciał z początku ani słyszéć o tych ustępstwach, powoli jednak zaczął i on się na nie godzić, zwłaszcza gdy postrzegł, że opinia kraju całego idzie nierównie daléj i o jakichkolwiek ustępstwach ani chce słyszéć. Skrajni, a tych było znacznie więcéj niż umiarkowanych,

byli stanowczo przeciwni projektowi i chcieli go w całości odrzucić. Do tego nakłaniało ich także stronnictwo centralistyczne parlamentu wiedeńskiego, które w razie upadku gabinetu, przyrzekało im najdaléj idące ustępstwa. Syrenie te głosy chybiły jednak celu. Chociaż skrajni nigdzie i nigdy nie lubią myśléć spokojnie, mimo to umizgi centralistów tak były rażące, że w końcu nawet oni musieli przejrzéć. Rzeczą było aż nadto widoczną, że Niemcom o nic więcéj nie szło, tylko o obalenie gabinetu Taaffe-Dunajewski, poczém łatwowiernych Polaków byliby niewątpliwie na lodzie osadzili. Ale chociaż rozwaga zaczynała brać górę, mimo to losy nowego podatku wciąż się jeszcze chwiały. Wezwano tedy na pomoc p. Grocholskiego, który dla poratowania nadwątlonego zdrowia przebywał w Abazyi. Sz. prezes koła polskiego przybył natychmiast do Wiednia, lecz gdy się projektowi rządowemu zbliska przypatrzył, nabrał sam przekonania, że jest on dla Galicyi tak zgubnym, iż żadną miarą nie może przemawiać za jego przyjęciem bezwarunkowém. Najumiarkowańsi tedy byli zdania, że minister musi Galicyi poczynić ustępstwa. Podczas gdy nikt jeszcze nie wiedział jaki obrót rzeczy wezmą, nastąpiły ferye wielkanocne. Skorzystała z nich opozycya, aby w kraju uorganizować kilkanaście tak zwanych sejmików relacyjnych, na których posłowie zdają przed wyborcami sprawę ze swych czynności. Posłom opozycyjnym szło głównie o to, by ich mocodawcy przez podpisywanie licznych petycyi dodali siły ich wystąpieniom w Wiedniu a rządowi nowe trudności stawili. Ministrowi finansów nie była ta rzecz na rękę, więc téż szybko o to się postarał, żeby sejmiki relacyjne zrobiły fiasko. Biurokracya austryacka jest niewyczerpana w pomysłach i sposobikach gdy idzie o szykanowanie, ledwie więc usłyszała, jakie jest życzenie wysokiego rządu, wnet wyszukała paragraf w konstytucyi, który mówi, że władza polityczna (administracyjna) powinna być uwiadomiona na trzy dni przed każdém publiczném zgromadzeniem. Wprawdzie od 27 lat, t. j. odkąd mamy konstytucyą, nigdy się na ten paragraf nie odwoływano, i każdy sejmik relacyjny odbywał się spokojnie wtedy, gdy go poseł zwoływał, tym razem jednak stało się inaczéj, i w jednych miejscowościach sejmiki wcale się nie odbyły, gdyż komisarz rządowy założył swoje *veto*, w innych zostały rozwiązane, a tylko tam pozwalano mówić posłom bez dopełnienia jakichkolwiek formalności, gdzie starosta z góry wiedział, że mowa wypadnie na korzyść rządu, nie zaś na jego szkodę. Ale mimo to miasto zgromadzeń publicznych, odbyły się prywatne i opozycya wróciła do Wiednia z petycyami, żądającemi od koła polskiego jaknajwiększéj stanowczości.

Położenie stało się więc nadzwyczaj drażliwe. Była nawet chwila, w której się zdawało, że p. Dunajewski runie z całym gabinetem. Wszelako nagle zaszedł fakt, którego nikt się nie spodziewał, a który odrazu pchnął sprawę na nowe tory. Oto cesarz kazał do siebie wezwać wice-prezesa koła, p. Jaworskiego, a gdy ten się zjawił, przemówił doń mniéj więcéj w te słowa: „Położenie polityczne jest groźne, skarb mój potrzebuje pieniędzy. Mam nadzieję, że Polacy, na których lojalność liczę, przyjmą ustawę spirytusową, gdyż prędzéj lub późniéj, z tym lub innym gabinetem, musi ona być uchwalona.“ P. Jaworski usłyszawszy to z ust tego monarchy, któremu Galicya tyle zawdzięcza, nie miał nic lepszego do uczynienia, jak pokornie głowę skłonić, a gdy przyszedł na posiedzenie koła i jego członkom słowa cesarskie powtórzył, opozycya została odrazu złamana, tak dalece, że na 60-ciu posłów znalazło się ledwie trzech, którzy chcieli jeszcze prowadzić walkę do ostateczności. Że tak się stało, niech się temu nikt nie dziwi. Przecie woli cesarskiéj, będącéj dla poddanych rozkazem, nie ośmieliłby się nikt sprzeciwić. Zrozumieli to posłowie i dla tego kapitulowali. Przyznając im jednak racyą w tym wypadku, godzi się równocześnie zapytać, czy p. minister skarbu powinien był przeciw swoim przeciwnikom wytaczać aż tak ciężkie działo, jakiém bądź-co-bądź jest słowo monarsze? Bo i czémże będzie właściwie parlamentaryzm z całą konstytucyą, jeźli w chwilach stanowczych ministrowie będą wzywali na pomoc monarchę i zasłaniali się jego wolą, którą każdy poddany, chociażby nawet nie chciał, musi uszanować? Nie dziw téż, że krok p. ministra skarbu był surowo krytykowany nawet przez ludzi umiarkowanych, którzy mu tego długo nie zapomną.

Po słowie cesarskiém sprawa poszła już gładko. Skrajna opozycya umilkła. Zato na pierwszy plan wysunęli się umiarkowani, którzy z p. ministrem zaczęli targować. I po długich korowodach stanęło na tém, że gorzelnie rolnicze otrzymają bonifikacyą, że wódka w nich wyrabiana zamiast 45 złr., będzie płaciła tylko 35 złr. od hektolitra, i że fundusz propinacyjny galicyjski będzie dostawał od państwa po jednym milionie rocznie, co do r. 1910 uczyni 21 milionów złr. Co do gorzelni kociołkowych w państwie węgierskiém, tym odjęto także przywileje wyjątkowe, dzięki czemu nie będą one mogły współzawodniczyć z gorzelniami galicyjskiemi. Ustawa została tedy uchwalona i ojcowie ojczyzny wrócili do domów. Jeźliby mnie teraz kto zapytał, ile dochodu spodziewa się skarb uzyskać z nowéj ustawy, natenczas musiałbym mu odpowiedzieć słowami p. Ottona Hausnera, który w radzie państwa tak ten dochód obliczył: „Dotychczasową konsumcyą spirytusu w Cislitawii (tj. w Au-

stryi, bez Węgier) można przyjąć w ilości 1,35o,ooo hektolitrów rocznie, które przy istniejącéj dotąd stopie podatkowéj w wysokości 6½ guld. w przecięciu, przynosiły 8,5oo,ooo guld. Przypuśćmy teraz, że konsumcya zmniejszy się o 3oo,ooo hektolitrów. Z tych jednak przypada pewna część na pijaków z profesyi. Są to zazwyczaj ludzie, żyjący w stosunkach opłakanych, nie mający kredytu, a przy podrożeniu wódki, postaranie się o nią sprawi im większą trudność, aniżeli zapłacenie dwóch kieliszków ludziom trzeźwym. Przypuszczam zatém, że w ogólnym ubytku na tych pijaków z profesyi, przypadnie trzecia część, t. j. 1oo,ooo hektolitrów. Równa się to 36o milionom kieliszków, a rezultat taki trzeba będzie z etycznych i humanitarnych względów nazwać bardzo pocieszającym. A jakiż w tym wypadku będzie wynik dla skarbu państwa? Po ubytku 3oo,ooo hektol. pozostanie ich 1,o5o,ooo hekt. a jeżli przyjmę podatek tylko 35 guld. uczyni to 36,755,ooo złt. r. czyli w porównaniu z dawniejszym dochodem podatku w kwocie 8,5oo,ooo guld. o 28,5oo,ooo guldenów więcéj.“

Podałem ogólny obraz nowéj ustawy i scharakteryzowałem jéj dzieje konturowo. W szczegóły i drobiazgi wdawać się nie będę, bo te waszych czytelników nie mogłyby interesować. Zdaje mi się jednak, że nawet z tego, com dotąd powiedział, dość jasno wypływa, że to co nasza reprezentacya uzyskała, było dla Galicyi niezbędne, i o ile jéj obawy były z początku uzasadnione, o tyle teraz nie potrzebuje lękać się skutków nowéj ustawy. Bo i kogóż ona najbardziéj dotyka? Konsumenta. Temu zaś pozostawiono do woli, bądź pić wódkę w dawnéj ilości, bądź zmniejszyć jéj konsumcyę, bądź całkiem jéj się wyrzec. Mieszkając na wsi, pytałem chłopów tak u siebie, jak we włościach okolicznych, co powiedzą w takim razie, jeżeli wódka w trójnasób podrożeje. „Nie będziemy jéj pili“—rzekł jeden. „Będziemy pili herbatę lub wino“—odpowiedział drugi. Na sto osób, do których zwracałem się z tém samém zapytaniem, znalazła się tylko jedna kobiéta, sławna na całą wieś pijaczka, która miasto odpowiedziéć, jęknęła: „Oj!“ Jeżli wieśniak nie lęka się nowego podatku: dla czego by się go więc miał obawiać posiadacz gorzelni rolniczéj, którą bonifikacya zabezpiecza przed konkurencyą, albo właściciel propinacyi, skoro państwo będzie dawało rocznie milion dla funduszu propinacyjnego? O ostatniéj téj sprawie trzeba jeszcze słów kilka powiedziéć. W r. 1875 Galicya postanowiła dobrowolnie i z własnéj inicyatywy, zająć się sprawą wykupna propinacyi i myśl tę wprowadziła za pomocą ustawy sejmowej, która już oddawna uzyskała sankcyą cesarską. Projekt wykupienia propinacyi przeprowadzono w taki sposób, jaki odpowiadał rzeczy-

wistym stosunkom kraju, nieposiadającego wielkich kapitałów, i nie zawsze mogącego odwołać się do publicznego rynku pieniężnego. Dla tego téż trzeba się było chwycić środków najprostszych, pierwotnych prawie. Oto postanowiono utworzyć pewien fundusz propinacyjny, za pomocą którego dało by się wykupić w ciągu 26 lat całkowity dochód właścicieli prawa propinacyjnego. Jak dotąd fundusz ten rośnie bardzo powoli, i chociaż roczny dochód z propinacyi obliczają w Galicyi na 4 miliony złot. reń., mimo to w roku 1910, gdy wykupno będzie już miało stać się faktem spełnionym, cały ten fundusz, wraz z odsetkami, nie wyniesie więcéj niż 15 miljonów. Inaczej jednak będzie już wyglądał, jeśli go wzmocni kapitał 21 milionowy, który powstanie z rocznych zasiłków rządowych. Jest to pomoc tak wielka, że na jéj podstawie minister skarbu zamierza już teraz zająć się wykupnem prawa propinacyi, i projekt odnośny ma być sejmowi galicyjskiemu przedłożony jeszcze w roku bieżącym.

Jeśli więc nowa ustawa miasto zniszczyć nas materyalnie, czego z początku wszyscy się lękali, przyczyni się jeszcze do naszego dobra moralnego, wykupno bowiem propinacyi jest dla nas bądź co bądź kwestyą piekącą, to w takim razie może jéj jeszcze kiedyś będziemy błogosławić.

III.

Sprawa podatku spirytusowego nie była jeszcze ukończona, gdy wydarzył się fakt niemałego znaczenia, który opinją publiczną w Galicyi także do głębi poruszył. Oto podczas rozpraw nad wydatkami ministra sprawiedliwości, wygłosił jeden z członków lewicy parlamentarnéj, mianowicie poseł Pernerstorfer, mowę piorunującą, w któréj sądownictwu galicyjskiemu tyle zarzucił, że gdyby tylko połowa tego była prawdziwą, jużbyśmy musieli mieć o niém bardzo smutne wyobrażenie. Nim przystąpię do mowy saméj, muszę wpierw kilka słów powiedzieć o historycznym rozwoju naszego sądownictwa, zwłaszcza o sądach pierwszéj instancyi, gdyż te, jako najliczniejsze, i bezpośrednio na masy oddziaływające, wywierają wpływ największy.

Aż do r. 1855 mieliśmy w każdéj wielkiéj wsi sędziego, którego powszechnie nazywano mandataryuszem, a który w sądownictwie europejskiém był unikatem. Pierwszy lepszy chłopek, który ledwie czytać i pisać umiał, połapawszy co nieco z kodeksów, po kilkoletniéj praktyce, otrzymywał dekret i zostawał mandataryuszem. Rząd go mianował a właściciel wsi, *vulgo* szlachcic opłacał.

Rząd mógł mu każdéj chwili dekret odebrać, szlachcic zaś mógł go każdéj chwili oddalić, jak się oddala chłopca stajennego lub pastucha od nierogacizny. Rząd był niemiecki podejrzliwy, i w każdym szlachcicu wietrzył rewolucyonistę; szlachcic nie lubił rządu, a jako pan w swojéj włości, dopuszczał się nieraz nadużyć nad poddanymi, których rząd brał w obronę. Mandataryusz zatém, aby żyć, musiał być wszystkim: szpiegiem i rewolucyonistą, zwolennikiem monarchii z łaski bożéj i wielbicielem wszechwładztwa szlacheckiego, lokajem starosty cyrkularnego i popychadłem dziedzica. Jak to działało na charaktery, łatwo zrozumiéć. Kasty bardziéj zdemoralizowanéj, skłonniejszéj do łapówek i wszelkiego rodzaju zdrożności, niż mandataryusze galicyjscy, nie było pod słońcem. Z téj to warstwy w r. 1855 potworzono „mięszane“ urzędy powiatowe, w których jedni urzędnicy oddawali się sądownictwu, drudzy sprawom administracyjnym. Chaotyczny ten ustrój panował lat dziesięć, i dopiero w r. 1865 oddzielono sądownictwo od administracyi, dzięki czemu powstały samodzielne sądy powiatowe. Pod względem formy uczyniono więc bardzo wiele, ale co do ducha rzeczy, trzeba było jeszcze niemałéj pracy, ponieważ tradycye mandataryuszowskie zbyt żywo tkwiły w pamięci, by je doszczętnie można było odrazu wykorzenić. Szczególniéj jedna przywara wciąż jeszcze kwitła w sądach pierwszéj instancyi, a było nią łapownictwo. Demoralizacya dotknęła jednak nietylko pierwszéj instancyi sądownictwa. Za czasów mandataryuszowskich, wszystko było zdemoralizowane od dołu do góry. W owych czasach, acz urzędników niezmiernie źle płacono, napróżno byłoby szukać radcy sądu kolegialnego, nie posiadającego choć jednéj wioski. A nie mało było takich, którzy ich mieli po kilka. Synowie tych panów wciskają się dziś do arystokracyi, a łatwo się domyśléć, w jaki sposób ci panowie robili wtedy majątki... Po oddzieleniu sądownictwa od administracyi, prezydentem Apelacyi we Lwowie, a tém samém zwierzchnikiem całego sądownictwa w Galicyi wschodniéj, został mianowany dawny minister sprawiedliwości, baron Komerc. Nie da się zaprzeczyć, że człowiek ten, co mógł, czynił, aby sądownictwo oczyścić. Szlachetne zamiary nie zostały jednak całkiem pomyślnym skutkiem uwieńczone, więc téż nie dziw, że gdy na jego miejsce przychodził p. Schenk, wprawdzie Austryak i Polakom nieprzychylny, ale mający reputacyą człowieka energicznego i doskonale obznajmiony z miejscowemi stosunkami, kraj z wielką radością powitał jego nominacyą, gdyż spodziewał się, że przecie raz nastąpi puryfikacya sądownictwa. Pan Schenk długie lata gospodarzył, a jaka była ta gospodarka, o tém dowiedzieliśmy się w części z mowy posła Pernerstorfera, który rzekł

między innemi: „Kiedy baron Schenk swój urząd obejmował, przywiązywano wiele nadziei do reform, które tenże przedsięwziąć zamierzał. Przedewszystkiém oczekiwano pomnożenia sił sędziowskich, ponieważ skutkiem powiększającéj się ludności i rozwoju społecznego, rósł ciężar pracy rządowéj w sposób nader uciążliwy, skutkiem czego narzekano powszechnie na przewlekłość wymiaru sprawiedliwości w Galicyi. Nowy prezydent zarządził tedy, ażeby tak zwana branża dyurnistów (pisarzów dziennych) była w dwójnasób pomnożona. Zarazem jednak kierownikom odnośnych sądów dano wskazówkę, że pomimo nakazanego powiększenia personalu dyurnistów fundusz wyznaczony na ich wynagrodzenie powinien zostać w dotychczasowéj wysokości. W ten sposób stało się, że w sądach galicyjskich zatrudniano dzieci, zaledwie wyrostków za wynagrodzeniem 8 lub 10 a najwyżéj 25 guldenów miesięcznie. I takich to urzędników używano w protokóle podawczym, w registraturze, w ekspedycie, ba nawet powierzano im przeprowadzanie pertraktacyi spadkowych. Ponieważ tym proletaryuszom, a byli między nimi także ojcowie rodzin, cierpiącym wraz z żonami i dziećmi głód wieczny, inny rodzaj uczciwego zarobku nie był przystępny, przeto w sądach galicyjskich wyrobiła się straszliwa plaga krajowa, nazywająca się pisarstwem pokątném. Cierpi z tego powodu powaga sądów oraz materyalne dobro ludności. Skoro jednak za to mógł p. prezydent sądu wyższego wykazywać oszczędności i zbiérać komplimenta—to rzecz była *summa summarum* dobra. Pomnożenia sił konceptowych nie można już było w taki sam sposób dokonać, należało się wziąć do tego inaczej. Polecono tedy surowo, żeby wszystkie zaległości były natychmiast wyrobione, a peryodyczne wykazy mają być odtąd w swoim czasie, ale bez zaległości przedstawiane. Jak rozkazano, tak się stało. W pierwszéj instancyi, powiedział p. prezydent, badanie aktów i zastanawianie się nad wyrokiem, nie powinno zbyt wiele czasu zajmować, albowiem zawsze znajdzie się strona niezadowolona, która będzie apelowała do wyższego sędziego, a zatem sędzia wyższy zbada już rzecz gruntownie. Tak tedy rozpoczął się w Galicyi „zwyczaj kreślenia numerów“ i nie ten referent uchodził za najdzielniejszego, który najlepszéj roboty dostarczał, ale ten, co w stosunkowo najkrótszym czasie najwięcéj kawałków wyrobił, i ten, który nie wykazywał żadnych zaległości. Ztąd powstały formalne wyścigi w kreśleniu numerów, przyczém całkiem naturalnie, w prawidłowéj administracyi sądowniczéj, słusznie wymaganą jakość orzeczeń, musiała zastąpić i c h i l o ś ć. Nadto jako samoistnych sędziów w sprawach drobiazgowych i karnych, ba, jako nawet sędziów śledczych używano młodych, niedo-

świadczonych, pierwotnie tylko do bardzo mało znaczącéj pomocy przeznaczonych praktykantów. Proszę sobie wyobrazić takiego samoistnego sędziego, mającego prawo rozstrzygać o honorze i majątku, o całym losie nietylko poszczególnych obywateli państwa, ale i całych familij, obarczonego nad miarę pracą, a często toczącego najcięższą walkę o byt własny i swojéj rodziny! Jakież to niesumienne wystawianie młodych urzędników państwa na wszelkiego rodzaju pokusy, ileż z tych urzędników rzeczywiście upadal a dowodem tego jest istotne pogorszenie sądownictwa. Młodzi ludzie, zamiast przez asystowanie gruntownym i sumiennym badaniom i orzeczeniom starszych radców, miasto nabywać fachowego doświadczenia, wymierzają samodzielnie sprawiedliwość przez „kréślenie numerów", przywykają przez to do powierzchownéj, niedokładnéj i niedbałéj pracy. Zatém jako fachowcy są straceni. Dodać wypada, iż często się zdarza, że jednemu sędziemu na rano i na popołudnie wyznaczają po kilka spraw karnych, choć ściśle wziąwszy, ledwie jedna z nich w jednym dniu może być załatwioną. W takim składzie rzeczy idzie tylko o to, aby w postępowaniu sądowém zadosyć uczynić formie, albo tylko jéj pozory zachować. Czy zasądzony winien jest rzeczywiście, to rzecz podrzędna, jak skoro są tylko zaprzysiężone zeznania świadków. Świadkowi daje się wiarę dla tego, ponieważ jest zaprzysiężony, a nie dla tego, że mówi prawdę. Zaprzysiężenie jednak w pewnych warunkach jest, jako takie, bardzo słabą rękojmią, że świadek mówił prawdę. Czy rzeczywiście prawdę zeznał, to musi dopiéro sędzia zbadać z największą sumiennością, uwzględniając osobistość danego świadka, stopień jego inteligencyi, możliwość po mistrzowsku zakrytéj obłudy i t. d. Zalecany z góry jaknajwiększy pośpiech do szybkiego załatwiania spraw, nie dozwala jednak galicyjskiemu sędziemu dokładnego zbadania rzeczy; wystarczy, jeśli wyrok polegający „na wolném przekonaniu sędziego", zgodnie z formą będzie wydany. Nienaruszalna formułka „wolnego przekonania sędziowskiego", ten biurokracyą uświęcony a dla sędziów niesumiennych wygodny szablon wyrokowania w pierwszéj instancyi „nigdzie nie wyrządził tyle złego co w Galicyi i przyczynił się do niezaprzeczonego upadku powagi sądów. Ustawą gwarantowane kolegialne rozstrzyganie tak w sprawach karnych jak cywilnych, jest czczem urojeniem, czczą formą, które wyrządzoną krzywdę i niesprawiedliwość czynią tém dotkliwszemi, im kto naiwniejszym był i brał te prawne rękojmie na seryo. Takim sposobem stało się, że w postępowaniu karném, przy kolegialném rozstrzyganiu, powzięte z góry mniemanie prokuratora, lub téż przewodniczącego, w spra-

wach zaś cywilnych referenta jest zawsze decydującém. W istocie więc, we wszystkich instancyach zamiast sądów kolegialnych, mamy tylko jednego sędziego. Referentom ustawa wprawdzie przepisuje, ażeby referaty swoje dokładnie opracowywali i wyczerpująco przedstawiali, iżby członkowie senatu z całym spokojem zbadaniu spraw oddawać się i według najlepszéj wiedzy i sumienia rozstrzygać mogli, wszelako referent jest także tylko człowiekiem i ma ludzkie ułomności. Subiektywne, jednostronne zapatrywania prawne, mniejsze uzdolnienie umysłowe i mniejsza wiedza jurydyczna, pewne względy, uprzedzenia i t. p., a nawet mimowolne, ale dla sprawy saméj nader szkodliwe przypadki, przyczyniają się wogóle do tego, iż radzący *in collegio* członkowie senatu nader rzadko mają sposobność do tego, aby przez podnoszenie przeciwnego zdania zawinić, że posiedzenie sądowe zostałoby przedłużone. Zresztą tylko człowiek bardzo naiwny może wierzyć, że to, co czteréj sędziowie z możliwém natężeniem i zużyciem całego czasu, z osobna, w ciągu pięciu lub sześciu dni wyznaczonych na studyowanie aktów, zrobić mogą, że to samo zrobią oni kolegialnie w ciągu cztero- albo pięcio-godzinnego posiedzenia. Widzimy więc, że nie ma wcale sądów kolegialnych, i że nawet na posiedzeniach kolegialnych referaty w całości czytane nie bywają, a tylko pokrótce markowane. Wszelkiéj samowoli, wszelkiéj jednostronności, ba, nawet nadużyciu — drzwi stoją otworem, postępowanie zaś tajne, piśmienne, nie podlegające kontroli, musi się przyczyniać do złego jeszcze bardziéj. Pomijając nie bardzo budującą judykaturę w przekroczeniach, jako powszechnie znaną, przechodzę do postępowania drobiazgowego, ze szczególniejszém uwzględnieniem stosunków galicyjskich. (Postępowanie drobiazgowe dotyczy sporów poniżéj 50-u guldenów). Otóż w dwojaki sposób jest ono chybione, a nawet szkodliwe. Wbrew nabytym i przez długie wieki w przekonanie ludu wsiąkniętym zapatrywaniom, przeniesiono punkt ciężkości, w braku innych, tak zwanych środków dowodowych, na przysięgę stron. Przeciw błędnemu tłómaczeniu ustawy, nie masz żadnego środka prawnego, przeciwnie, wolne przekonanie sędziego panuje niepodzielnie na całym obszarze postępowania drobiazgowego. Tym sposobem subiektywnéj samowoli i ignorancyi stworzono poświęcone *asylum*, bo nie wysokość kwoty, o którą idzie, ale rodzaj sprawy stanowi trudność w rozstrzyganiu, w którém wiedza jurydyczna, sumienność i rozwaga zaiste twardą przechodzić muszą próbę.

Dla biednego ojca rodziny, mającego sprawę drobiazgową, często 5 do 50 zł. znaczą tyle co majątek cały i są kwestyą jego egzystencyi. Jednemu sędziemu w sprawach drobiazgowych wyzna-

czają na jedno przedpołudnie 50 do 80 procesów takich, z całą procedurą zaprzysięgania świadków itd. Musi on te wszystkie numera wymazać, ale gdyby nawet jak Herkules był fizycznie silny, mądry jak Salomon a sprawiedliwy jak Kato, to jednak musiałby się pomylić i w czémś uchybić. Praktyka stworzyła w tym względzie środek wyjścia. Skarżącego uważa się w zasadzie za świadka. Odważny i o bardzo elastyczném sumieniu człowiek może sprawami drobiazgowemi w Galicyi zarobić bardzo wiele, plądrując swych bliźnich poprostu, jednak nie wyżéj nad kwotę 50 zł. Taka judykatura daje się ludności we znaki bardziéj, niż lichwa...

Oto byłby już mały obrazek sądownictwa galicyjskiego w pierwszéj instancyi, które jednak według zapatrywania b. prezydenta wyższego sądu kraj. lwowskiego nie jest tak niebezpieczne, ponieważ sądy wyższe są właściwie do tego, aby wykonywać potrzebne sprostowania.... W gruncie rzeczy ograniczyło się wszystko do owych peryodycznych wykazów. Wymazane numera są tylko martwym świadkiem tego, w jaki sposób załatwienie nastąpiło, są one jednak zarazem pożądanym i wymownym świadkiem tego, że kawałki w ogóle załatwione.

Atoli i w drugiéj instancyi panuje nagonka do mazania numerów... Usilne staranie, aby wykazy peryodyczne odpowiadały zupełnie oczekiwaniom p. prezydenta, nieraz zaprawdę przełamywało z konieczności żelazo obowiązku.

Co do tych zresztą dość wygodnych kłopotów uspakajano sumienie bardzo łatwo, albowiem według ogólnéj recepty jest jeszcze trzecia instancya, powołana do usuwania usterek wyższego sędziego...

A teraz przechodzę do wyświecenia właściwéj wartości i urzędowéj czynności tego właśnie najwyższego trybunału, który miał być „*summum bonum*“ sprawiedliwości. Nie należy zapominać, że wyroki najwyższego trybunału są nieodwołalne, że zatém powinny być ferowane w zupełném przeświadczeniu o ich świętości i nietykalności. W przeciwieństwie do postępowania sądowo-karnego w I-széj instancyi w sprawach drobiazgowych, powinien się on trzymać ściśle tylko przepisów prawnych. Tak przynajmniéj nakazuje § 46 cytowanego wyżéj cesarskiego patentu. Wiadomo jest wprawdzie, że najwyższe orzeczenia sądowe bywają drukowane, ale i to wiadomo, że ogólne są zażalenia na różnice w tych orzeczeniach, które często sobie nawzajem przeczą. Pomijam to, jak owe orzeczenia przyjmuje fachowa krytyka. Sposób wygodnego kreślenia liczb także i w najwyższym trybunale zrobił znakomite postępy, a ponieważ nie ma już apelacyi przeciw jego orzeczeniom, ułatwia

to ową zgubną manipulacyą. Orzeczenia te powołują się wprawdzie na motywa wyroków 1-széj i 2-giéj instancyi, zazwyczaj nie podają powodów, dlaczego się nie powołują i nie odpierają zarzutów podniesionych przez strony w swoich odwołaniach się... Tajemnica, która okrywa całą procedurę postępowania cywilnego i niemożebność kontroli, ułatwiają w wysokim stopniu dowolność sędziów, ale nawet publiczne ustawą unormowane postępowanie, tak w procesach karnych, jak w bagatelkach, zwyrodniało wielce w praktyce. Przy tém niemożliwém i niepewném wyrokowaniu jestto zawsze rzeczą nader ryzykowną, nawet w razie najgłębszego przekonania o doznanéj krzywdzie, dochodzić praw swoich aż w trzeciéj instancyi, i łatwo zdarzyć się może, iż zamiast uzyskania prawa uzyska się karę za śmiałość zbyteczną. Według § 286 proc. k. i § 3 nowelli z 31 grudnia 1877 ma trybunał kasacyjny, a zatém cały senat, po wysłuchaniu prokuratora jeneralnego najprzód, obradować na posiedzeniu tajném, a dopiero potém wyrokować. Tak przepisuje ustawa. Praktyka jednak, przynajmniéj w galicyjskim wydziale najwyż. trybunału, idzie całkiem odmiennemi drogami.

Według §§ 45 i 46, daléj 140 do 143 ces. patentu z 3 maja 1853, § 160 p. inst. 258 i 362 proc. k., powinien odnośny referent całkiem samoistnie i bezstronnie zbadać akta i zażalenia i według tego referat swój sporządzić, oraz postawić wnioski, o których trybunał kasac. po wysłuchaniu prokuratora jener. wyrokować ma. Tymczasem jednak urządza się rzecz tak, że referent razem z prokurtorem jener. a zatém pod jego wpływem, referat swój i wnioski układa, prokuratorya jeneralna przykłada na referacie swoje *vidi* zgody i z tém idzie referent na niepubliczne posiedzenie trybunału kasac... Tak to wygląda w praktyce najwyższa judykatura, i to w wypadkach, gdzie cześć i społeczne stanowisko obywateli zależą od wyroku. *Exempla trahunt.* A jeśli najwyższy trybunał, najwyższa państwowa, bez odwołania będąca, instancya pozwala sobie na tego rodzaju dowolności, to nie dziw, że i niższe instancye dopuszczają się także samowoli... Nawet przy oczywistych błędach w wyrokowaniu, sądy upierają się z bezduszną formalistyką na uzyskanéj już raz prawomocności, a nadto z umysłu robią dopuszczalnemu i żadnemi względami nieskrępowanemu ułaskawieniu monarszemu trudności...

W dalszym rzędzie przychodzi mianowicie sposób awansów sędziowskich. Nietylko zaszczyt wyższéj rangi, ale szczególniéj związane z nim pobory są same przez się już wystarczające, ażeby niesu-

mienne karyerowiczowstwo popychać do jak najszybszego zrobienia karyery. Stan sędziowski i niezawisłość sędziowska już z tego powodu cierpią wiele, że przy obsadzaniu posad sędziowskich funkcyonaryuszom prokuratoryi dawane jest bezwarunkowo pierwszeństwo. Prokurator, w ślepém posłuszeństwie swoim przełożonym tj. dla nadprokuratoryi państwa i dla ministeryum sprawiedliwości, ażeby tak się wyrazić: wytresowany, zapomina mieć własne zdanie i być samodzielnym, zwłaszcza, gdy u nas źle zrozumiane stanowisko oskarżyciela publicznego czyni z niego naturę przesiąkniętą na wskróś pessymizmem, do wszystkiego uprzedzoną, a odznaczającą się nadto nadmiarem gorliwości służbowéj. W rzadkich tylko wyjątkach, sędzia, mający przeszłość prokuratorską za sobą, odpowiada oczekiwanemu przez ustawę ideałowi: n i e u p r z e d z o n e g o, w o l n e g o, l u d z k i e g o s ę d z i e g o... Niedokrewność cywilno-prawna i sądowo-karna samowola nie mogą złożyć się na dobrego sędziego, a jednak stało się systemem: przeładowywać sądy wyższe i najwyższy trybunał radcami, mającymi przeszłość prokuratorską i w tém leży przyczyna wyrodzenia się, gdyż absolutnie ustawom istniejącym przeciwnego, tak zwanego obiektywnego postępowania w sprawach prasowych. To obniżanie poziomu sędziowskiéj niezawisłości wytworzyło się w Galicyi jeszcze na większą aniżeli gdziekolwiekindziéj skalę. Posunięcie na wyższy stopień hierarchii zależne jest tam jeszcze od całkiem szczególnych warunków. Najprzód należy zasłużyć sobie na prawo do otrzymania dobréj kwalifikacyi. Dojść można do tego bardzo licznemi i bardzo rozmaitemi drogami. Najlepszą próbą dobréj kwalifikacyi było i jest to, jak kogo można użyć w tak zwanym w Galicyi wschodniéj senacie prezydyalnym. Senat prezydyalny, według terminologii wschodnio-galicyjskiéj, jest to senat, zostający pod osobistém przewodnictwem prezydenta, a mający rozstrzygać w wypadkach, interesujących szczególnie samego p. prezydenta. Były prezydent wyższego sądu krajowego br. Schenk potrafił po mistrzowsku operować tym prezydyalnym senatem, a ponieważ nie wziął — (bo nie mógł) — żadnego patentu na ten wynalazek, przeto prezydenci sądów krajowych z całą przyjemnością uważali sobie za obowiązek pójść za przykładem swego przełożonego. Do tego prezydyalnego senatu, nigdy samoistnie myślących i wiernych swemu przekonaniu sędziów, jako z zasady wykluczonych, nie powoływano, i to podkopało samoistność sędziowską jeszcze bardziéj, a trybunały stały się (przynajmniéj w Galicyi wschodniéj) właściwie jednoosobowemi senatami prezydyalnemi. Wziąwszy do rąk galicyjską listę rang sędziowskich, można każdego karyerowicza, który na koszt czasu służby in-

nych zrobił karyerę, natychmiast palcem wskazać, a ten szybkonogi kontyngens stanowi więcéj niżli połowę funkcyonaryuszy sędziowskich!

Że taki urzędnik na nowéj swéj posadzie ma aż nazbyt często sposobność okazać wdzięczność swemu protektorowi — to niestety jest ludzką, ale dla wymiaru sprawiedliwości niezbyt pożądaną konsekwencyą. Atoli dobra kwalifikacya własnego jednego przewodniczącego nie była przecież dostateczną. Potrzeba było osiągnąć jeszcze korzystne wotowanie referenta ministeryalnego. Fatyga w tym kierunku ułatwiona była o tyle, o ile interesowani potentaci mieli tych samych przyjaciół w osobach szkodliwéj, we Lwowie znanéj kliki adwokackiéj, na któréj czele stoi niejaki dr. Roiński. Klika ta uzyskała z biegiem czasu nader pożądane rozszerzenie swéj władzy przez to, że do swego związku przyjęła dr. Karola Stromengera, adwokata lwowskiego, ożenionego z córką b. prezydenta wyższego sądu krajowego. Istnienie takiego stanu rzeczy musiało samo przez się bardzo podkopywać powagę sądownictwa w Galicyi. Może kiedyś zajdzie potrzeba wejść bliżéj w te stosunki; na dzisiaj nie mam tego zamiaru.

Moi Panowie! parlamentarne czynniki ustawodawcze i ministrowie, zostają co do swych czynności pod kontrolą i krytyką publiczną; tylko na polu sądownictwa czy to umyślnie, czy z zaślepienia, a może i zbytniéj wiary w siebie, utworzył się stan idyotycznego *Papua-Tabu*, rodzaj *noli me tangere*. Wyroki sądowe nie mogą być w publicystyce omawiane, albowiem przeszkadza temu osławione postępowanie obiektywne, pozwalające za rzeczy w tym rodzaju każdy dziennik konfiskować; parlamentarny zaś rozbiór nazywają brakiem patryotyzmu, jeżeli rozbiór ten kompromituje sądownictwo. I ludzie myślą, że wyświadczają przysługę konstytucyjnemu życiu państwa, jeśli milczeniem przyjmują na się część winy i omijają drogi reformy! Mniemam, że funkcyonaryusze sądowi bez względu na swój urząd, czuć to i myśléć powinni, iż za każde uchybienie ustawom i dobru obywateli, ich pieczy powierzonym, publicznie do odpowiedzialności pociągnięci być mogą i rzeczywiście będą. Tylko przeciwne ustawie, nieprawne orzeczenie sędziowskie unika światła dziennego, obawia się publicznéj dyskusyi fachowéj; kontrola w dyskusyi publicznéj przeprowadzona jest tu jedyną drogą do skutecznéj reformy na polu administrowania sprawiedliwości.

Te ogólne wywody chcę teraz oprzéć na szeregu poszczególnych wypadków, które zebrałem, ale poczuwam się do obowiązku

wyraźnie zaznaczyć, że one wszystkie—z wyjątkiem jednego—odnoszą się do czasu urzędowania wyżéj przezemnie nazwanego prezydenta sądu wyższego i że obecnie urzędujący prezydent p. Simonowicz z sumiennością i wysiłkiem pracy stara się o usunięcie zastarzałych nieprawidłowości.“

Poseł Pernerstorfer podał sporą wiązankę takich faktów, od których człowiekowi uczciwemu powstają włosy na głowie. Zbrodnie takie, jak oszustwo i nadużycie władzy urzędowéj stanowią ich główną treść. I aby go kto nie posądził, iż jeno dla czczego efektu i w zamiarze szkodzenia w opinii p. Schenkowi, wywleka brudy nigdy nie bywałe, przy każdym fakcie z osobna przytaczał nazwiska osób współdziałających. Niestety między niemi było najwięcéj adwokatów lwowskich. Nie sądzę, aby powtórzenie tych szczegółów na tém miejscu było stosowne. Są rzeczy ohydne, których lepiéj nie tykać. Pominę je zatém milczeniem i na zakończenie tego obrazu powtórzę słowa arcykonserwatywnego „Przeglądu“, który jako organ wiedeńskiego lenderbanku bliższym jest sfer rządowych niż opozycyi. Dziennik ten, wychodzący we Lwowie pod redakcyą p. Ludwika Masłowskiego, napisał w nr. 124 z r. 1888:

„Że mowa ta wywarła w kraju naszym dawno niebywałe i głębokie wrażenie, temu przeczyć byłoby prostém zaślepieniem. W tém leży właśnie cała jéj doniosłość. Słusznie ustawy są na to, aby były ściśle wykonywane i stosowane, albo lepiéj żeby ich wcale nie było. Jeżeli jednak są ustawy niedostateczne, lub jeżeli które się przeżyły, w takim razie należy je w drodze prawodawczéj odpowiednio potrzebom czasu zmienić, ale nie, jak to się niestety często dzieje, przez praktykę do potrzeb czasu naginać. Podnoszenia i publicznego omawiania czynności spełnianych w imię publicznego lub państwowego obowiązku, nie możemy nigdy zaliczać do spraw osobistych, wrzekomo wyjętych z pod prawa parlamentarnego lub publicznéj dyskusyi. Wymienianie w takim razie imion zależy od zapatrywania. Gdzie, jak i u kogo czerpał poseł Pernerstorfer swoje informacye, jest to dla sprawy saméj rzeczą zupełnie obojętną, idzie bowiem tylko o to, czy podniesione fakta są prawdziwe, czy nie. Z prawdziwą przykrością musimy jednak skonstatować, że każdy z podniesionych przez tego posła zarzutów, gdyby tylko częściowo został sprawdzonym, już najzupełniéj usprawiedliwi jego wystąpienie. To téż sądzimy, że wypowiemy tylko oczekiwanie całego kraju, jeżeli z całém zaufaniem dla p. ministra sprawiedliwości, przyłączymy się do budżetowego sprawozdawcy p. Lienbachera, że przytoczone fakta zostaną z całą bezwzględną sumiennością i bezstronnością jak najrychléj zbadane. Niepodobna bowiem

przemilczeć, że podniesione przez posła P. zarzuty, stanowią u nas tak zwaną publiczną tajemnicę. Atoli właśnie dobro sprawy publicznéj wymaga, ażeby przez najściślejsze dochodzenia słuszność lub bezzasadność takich publicznych tajemnic była koniecznie zbadaną i wyświeconą. Inaczéj postępując, wyrządziłoby się prawu i porządkowi publicznemu ciężką, niepowetowaną szkodę."

Ponieważ od mowy Pernerstorfera upłynęło już kilka tygodni, słusznie przeto mógłby mnie nie jeden zapytać, co pan minister sprawiedliwości dotąd uczynił, aby podniesione przez tego posła zarzuty bądź wyjaśnić, bądź obalić. Jako człowiek prywatny, nie mogę być wtajemniczony we wszystkie szczegóły maszyneryi biurokratycznéj, która w Austryi jest niezmiernie skomplikowana i silna; mogę więc tylko to powiedziéć, o czém we Lwowie mówią dziś powszechnie, że droga, jaką minister sprawiedliwości obrał w téj sprawie drażliwéj, nie należy do tych, które niewątpliwie do celu prowadzą. Udowadnia to najlepiéj smutna historya faktu następującego:

Przy końcu swojéj mowy, poseł Pernerstorfer wspomniał o pewnym adwokacie lwowskim, którego zasądzono wrzekomo za sprzeniewierzenie, lecz zasądzono nie po formie, tylko w b r e w u s t a w o m i p r z e p i s o m. Tym adwokatem jest dr. Felicyan Jackowski, który przez dłuższy czas był uważany w Galicyi za najzdolniejszego, prócz tego za najzuchwalszego prawnika, co u ludzi z talentem, a przytém idących przez świat przebojem, często się przytrafia. Że taki człowiek mógł sobie zrobić wielu nieprzyjaciół, czyhających na jego zgubę, to rzecz jasna. Szczególnie między kolegami nie był on popularny. Gdy przed trzema laty ktoś doniósł do sądu, że p. Jackowski wziął od jednego ze swych klientów 30.000 guldenów, która to kwota, po śmierci owego klienta znalazła się w notatkach uwidoczniona, sąd nie badał téj sprawy z należytą skrupulatnością, a że koniecznie chciał dra J. z drogi usunąć, więc miasto postawić go przed sąd przysięgłych, jak tego ustawa żąda, który byłby obżałowanego prawdopodobnie uniewinnił, gdyż ten tłómaczył się, że pobrał tylko należące mu się honoraryum, nic więcéj, powołał go przed zwykły trybunał i zasądził. Po tém pierwszém i najjaskrawszém naruszeniu ustawy, nastąpił cały szereg innych, ba! nawet trybunał najwyższy, o który w końcu ta smutna sprawa się oparła, nie okazał się dość przedmiotowym i sprawiedliwym. Gdy i on wyrok pierwszéj instancyi potwierdził, dr. Jackowski wniósł podanie do cesarza, poparte bardzo licznemi podpisami wybitnych obywateli lwowskich, w którém prosił, bądź o rewizyą procesu, bądź o ułaskawienie. Prośbę jego wręczył cesarzowi sam prezydent izby deputowanych, dr. Smolka. Monarcha przyjął ją łaska-

wie, wstrzymał wykonanie wyroku i nakazał dochodzenie. Aż dotąd rzecz się przedstawia bardzo pięknie, skoro bowiem cesarz ujął się za pokrzywdzonym poddanym, złożył tém dowód szlachetności swego umysłu i niezaprzeczonéj chęci naprawienia złego; jednakowoż na tém także wszystko się skończyło. Z gabinetu cesarskiego sprawa dostała się w ręce ministra sprawiedliwości, ten zaś idąc utartemi drogami biurokracyi austryackiéj, zapytał o opinią co do procesu p. Jackowskiego, te same instancye, które go śledziły, uwięziły i zasądziły. Trzeba być bardzo naiwnym, aby przypuścić, że one teraz oczyszczą p. J. a oskarżą siebie. Wszak sama loika powiada, że przedewszystkiém będą się starały swoje postępowanie usprawiedliwić, i aby tém łatwiéj to osięgnąć, zrobią teraz dra Jackowskiego jeszcze czarniejszym niż był u nich przedtém. Zachodzi więc pytanie, czy tak samo jak z d-rem J. nie stanie się i z innemi faktami, przytoczonemi przez posła Pernerstorfera. Dochodzenie niewątpliwie spełznie na niczém, jeżeli rzecz będzie szła według utartych szablonów, od których biurokracya austryacka niestety na krok dotąd nie odstępuje. Gdyby coś podobnego jak z adwokatem Jackowskim, wydarzyło się w Prusiech, w Anglii, we Francyi, albo téż w Rosyi, niewątpliwie zostałaby natychmiast wyznaczona komisya *ad hoc*, któraby poza wszystkiemi sądami rzecz zbadała i następnie samemu monarsze zdała z niéj sprawę. U nas o czémś podobném dotąd nie słychać. Jest to bardzo smutna strona medalu, i dla tego niech się nikt nie dziwi, jeźli opinia powszechna jest u nas w wysokim stopniu zaniepokojona i z niekłamaném zajęciem wygląda końca procesu dra Jackowskiego.

Józef Rogosz.





EMBRYOLOGIA,

JAKO NAUKA DOŚWIADCZALNA.

W szeregu nauk biologicznych embryologia zajmuje jedno z najwybitniejszych stanowisk. Dosyć jest rozejrzéć się nieco w literaturze zoologii ostatnich lat kilkunastu, by przekonać się, jak wielka ilość prac poświęcona jest badaniom embryologicznym. Nauka ta rozwinęła się bardzo silnie pod wpływem darwinizmu, a znakomite postępy zawdzięcza temu, iż opiera się na metodzie porównawczéj, iż nie poprzestaje na gromadzeniu suchych faktów, lecz objaśnia je, wyciąga z nich wnioski ogólne, tworzy hypotezy i teorye, jest jedném słowem n a u k ą we właściwém znaczeniu tego wyrazu. Od czasu, gdy teorya powstawania gatunków stała się środkiem ciężkości w naukach biologicznych, kwestya pochodzenia różnych grup świata zwierzęcego, czyli dzieje rodowego rozwoju zwierząt—zaczęła żywo zajmować umysły zoologów.

Historya rodowego rozwoju czyli filogenii zwierząt jest nadzwyczajnie dla badań trudna. Ażeby wykryć stopień wzajemnego pokrewieństwa pewnych grup zwierzęcych, określić, które z nich wystąpiły wcześniéj na widownią życia w dziejach ziemi naszéj, które zaś późniéj, które z nich uległy większéj modyfikacyi w biegu czasu, które zaś zachowały mniéj lub więcéj niezmieniony pierwotny charakter, jedném słowem, ażeby nakreślić z największém prawdopodobieństwem dzieje owéj długiéj, a niezmiernie ciekawéj drogi, po któréj kroczył rozwój świata zwierzęcego—nauka posługuje się różnemi metodami. Paleontologia poucza nas o licznych, zaginionych obecnie, formach przejściowych, które łączyły z sobą oddzielne grupy zwierzęce ogniwem pokrewieństwa. Rozpatrując kolejno postaci, znajdywane w pokładach geologicznych starszych,

a następnie formy, zawarte w warstwach młodszych, które później na ziemi wystąpiły, paleontologia mogłaby nakreślić bezpośredni obraz dziejowego rozwoju zwierząt i mogłaby napozór oddać pod tym względem znakomite usługi. Niestety jednak w rzeczywistości dostarcza ona niezmiernie szczupłego materyału do dziejów świata organicznego. Jak wiadomo, w pokładach geologicznych zachować się mogą tylko części twarde ciała zwierzęcego, jak kości, zęby, pancerze; części miękie mogą być przekazane przyszłości tylko jako mniéj lub więcéj niedokładne odciski; zresztą zachowanie się odcisku ciała zwierzęcego zależy od przypadku, od szczególnego, szczęśliwego zbiegu wielu warunków, ztąd téż stosunkowo odcisków zachowało się bardzo niewiele. Jeśli zaś przytém zważymy, że zewnętrzne części ciała (które jedynie mogą się odcisnąć w miękim pokładzie) nie dają nam jeszcze pojęcia o budowie wewnętrznéj, to zrozumiemy łatwo, dla czego tak niedostatecznemi są dane paleontologii.

Druga, daleko bogatsze dająca plony, metoda badań filogenetycznych (t. j. dotyczących rodowego rozwoju zwierząt) polega na porównywaniu z sobą organizacyi i budowy różnych grup zwierzęcych, obecnie na ziemi żyjących. Jest to zadanie anatomii porównawczéj. Nauka ta uczyniła olbrzymie postępy w ostatnich kilkudziesięciu latach; wykryła mnóstwo t. z. homologicznych czyli jednoznacznych organów u grup zwierząt, pozornie bardzo mało z sobą spokrewnionych, wykazała istnienie wielkiéj liczby organów szczątkowych u zwierząt wyższych, którym to organom u niższych ustrojów jaknajściśléj odpowiadają narządy, mające ważne znaczenie fizyologiczne; tym sposobem anatomia porównawcza, wykazując podobieństwo i różnice w budowie, daje ważne wskazówki, dotyczące stopnia wzajemnego pokrewieństwa różnych grup zwierzęcych, co dla badań filogenetycznych ma naturalnie nadzwyczajną doniosłość.

Wszelako dla genealogii zwierząt ma największe znaczenie ze wszystkich nauk embryologia porównawcza. Im ściślejszym węzłem pokrewieństwa łączą się z sobą pewne grupy, tém podobniejsze są pierwsze stadya ich rozwoju; w ten sposób badania wczesnych faz rozwoju mogą dać nader ważne wskazówki rodowodowe. Każdy organizm wyższy przebiega w osobnikowym swym rozwoju stadya, mniéj lub więcéj podobne do kolejnych postaci przodków rozwoju rodowego; rozwój osobnika od jajka aż do stanu rozwiniętego i rozwój rodowy danego gatunku od form najniższych do coraz wyższych przedstawiają szeregi mniéj lub więcéj równoległe. Łatwo więc zrozumieć, że w rozwoju osobników moż-

na wyprowadzać w wielu razach dosyć prawdopodobne wnioski filogenetyczne. Równoległość ta nie jest tak ścisłą, jak nie jeden może przypuszcza; warunkuje się to tém, iż osobnikowy rozwój jest nadzwyczajnie skrócony w porównaniu z rodowym, oraz okolicznością, iż zarodek musi się przystosować w każdym poszczególnym wypadku do warunków życia płodowego, lub téż jako swobodnie żyjąca larwa, do warunków swego otoczenia, te zaś specyalne przystosowania maskują i zmieniają w wielu razach stadya rodowe w rozwoju indywidualnym. Tak np. w jajkach zwierząt znajdujemy mniéj albo więcéj żółtka przeznaczonego do odżywiania zarodka, pewne specyalne organy, służące za zbiorniki dla żółtka tego (t. z. pęcherze żółtkowe), błony, za pomocą których zarodek przyczepia się do ciała matczynego, specyalne organy, któremi przechodzą soki odżywcze od matki do płodu i t. d.; wszystko to są utwory, wywołane wskutek przystosowania się zarodka do warunków życia płodowego i nie są naturalnie powtórzeniem stadyów rodowych. Wszystkie tego rodzaju organy noszą nazwę cenogenetycznych.

Otóż, gdyby się udało ściśléj oddzielić takie procesy późniejsze, wtórne, czyli cenogenetyczne od pierwotnych, stanowiących powtórzenie stadyów rodowych i uwarunkowanych genealogiczném pokrewieństwem danéj grupy zwierząt z innemi, — to dla filogenii wynikła by z tego korzyść niesłychanie wielka.

Jeżeli czynniki *a* i *b* wywołują ogólny skutek *c*, to aby ściśle określić udział obu tych czynników, należy w naukowych badaniach uciec się do doświadczenia; sztucznie usuwając z kolei czynnik *a* albo *b*, obserwujemy, jaka nastąpi zmiana w *c*, lub téż sztucznie modyfikując jeden z czynników, obserwujemy, o ile i jak się zmieni *c*. Gdybyśmy zatém i w danym naszym wypadku mogli sztucznie zmodyfikować w różny sposób warunki, w jakich pozostaje rozwijający się zarodek, gdybyśmy przytém dostrzegli, że pewne strony jego organizacyi ulegają przez to większym i głębszym przemianom niż inne, moglibyśmy ztąd wnosić, że te to właśnie cechy są głównie uwarunkowane p r z y s t o s o w a n i e m s i ę zarodka. Jedném słowem, zmieniając sztucznie przez dłuższy czas pewne warunki, zdołalibyśmy może zmodyfikować pewne cenogenetyczne procesy, a tém samém łatwiéj by nam było odróżnić je od procesów palingenezy, t. j. od cech pierwotnych, odziedziczonych po bardzo dawnych przodkach rozwoju rodowego. W taki więc sposób eksperyment w embryologii mógłby rozjaśnić nie jeden punkt sporny, ważny dla kwestyi pochodzenia i rodowego rozwoju gatunków.

Na inną stronę ważności eksperymentu w embryologii zwraca uwagę prof. Leo Gerlach (1), którego zapatrywanie jest następujące.

Jeśli zadamy sobie pytanie, czy wiek zwierzęcia wpływa na siłę zdolności przystosowania, tj. czy ta zdolność w różnym wieku osobnika pozostaje taką samą, czy też zmienia się — to dojdziemy naturalnie do wniosku, iż młodsze osobniki posiadają, większą zdolność „przystosowawczą“ niż starsze. W jeszcze wyższym stopniu „zdolność przystosowawcza“ jest rozwinięta w epoce embryonalnéj, przyczém tém silniéj przejawia się ona im młodszemi są zarodki i im mniéj postąpiły naprzód w stadyach, odpowiadających rodowym. Młodszy zarodek jest plastyczniejszy tak pod względem ogólnego kształtu ciała, jako téż wewnętrznéj organizacyi, nie ma on jeszcze owych stałych, niepodatnych znamion, jakie znajdujemy u zwierząt rozwiniętych. Dlatego téż zmiany normalnych warunków rozwoju, do których zarodek musi się przystosować, mogą wywrzéć wpływ nań mniéj lub więcéj głęboki i trwały.

Wynika z tego daléj, że tém snadniéj można liczyć na wywołanie u pewnego gatunku w ciągu określonego czasu jakiegokolwiek widocznego zboczenia, im dokładniéj udało by się modyfikować rozwój embryonalny przez pewien stały i w określonym kierunku działający czynnik.

Prof. Gerlach, zaznaczając z tego względu wielką doniosłość eksperymentu w badaniach embryologicznych, zapatruje się może nawet zbyt optymistycznie na ewentualne zdobycze na tém polu; sądzi on bowiem, że tą drogą udałoby się może silnie zmodyfikować pewne gatunki zwierzęce, jednem słowem, sprawdzić doświadczeniem zdolność gatunków do bardzo głęboko sięgających przemian pod wpływem warunków zewnętrznych.

Z powyższego wynika, że eksperyment w embryologii przyniósłby z wielu względów nieocenione korzyści morfologii zwierzęcéj; ściślejsze odróżnienie zjawisk cenogenezy od procesów filogenetycznych w rozwoju osobnikowym, zdolności „przystosowawcze“, stopień zboczeń u zarodka i wpływ warunków zewnętrznych na powstawanie właściwości dziedzicznych—wszystko to są niezmiernie ważne ogólne pytania biologiczne, których, jeśli nie rozwiązania, to przynajmniéj rozjaśnienia oczekiwać możemy, od embryologii eksperymentalnéj.

---

(1) Ueber neuere Methoden auf dem Gebiete der experimentellen Embryologle. Anatomischen Anzeiger, 2 Jahrg. 1887, N. 18 i 19, oraz Biologischer Centralblatt N. 19.

Aż dotąd jednak embryologia była nauką, wyłącznie prawie obserwacyjną, metody jéj badań—morfologiczne. W każdéj jednakże nauce eksperyment oddaje nadzwyczajne usługi; sztuczne usuwanie pewnych wpływów, wprowadzanie w grę nowych czynników, dowolne zestawianie pewnych warunków dla potwierdzenia lub obalenia przypuszczeń, *à priori* wypowiedzianych,—wszystko to osiągnąć można na drodze doświadczenia.

Otóż, w ostatnich kilku latach zjawiło się w literaturze zoologicznéj kilka ważnych bardzo prac z dziedziny embryologii eksperymentalnéj, jako pierwsze nieledwie w tym kierunku próby. Prace te zapowiadają cały szereg innych, nowych poszukiwań na tém polu, przedstawiającém się jeszcze aż dotąd jako *tabula rasa*. Pragniemy w niniejszym artykule zapoznać czytelników z niektóremi zdobyczami w dziedzinie embryologii doświadczalnéj i wykazać, jak są one różnorodne i jak ściśle wiążą się z najważniejszemi zagadnieniami biologii.

Najnowsze badania doświadczalne w dziedzinie embryologii dają się sprowadzić do następujących punktów: do badania wpływu czynników zewnętrznych na proces zapłodnienia i rozwoju normalnego, oraz wpływu warunków sztucznych na powstawanie form potwornych, czyli teratologicznych. W laboratoryum rolniczo-chemiczném w Lipsku pp. Rauber i Sachsse (1) przedsięwzieli jeszcze w r. 1885 długi szereg poszukiwań nad wpływem zewnętrznych fizycznych i chemicznych czynników na przebieg rozwoju jaj zwierzęcych. Uczeni ci badali wpływ temperatury, ciśnienia atmosferycznego oraz różnych substancyi chemicznych. Pomijając rezultaty poszukiwań poprzedników tych badaczy, główniejsze zdobycze zaznaczymy tylko przez nich samych osiągnięte. Co do temperatury, to okazało się, że dla jaj różnych zwierząt istnieje pewna najodpowiedniejsza temperatura (*optimum*), przy któréj jaja najlepiéj się rozwijają, oraz pewne *minimum* i *maximum* temperatury, których przekroczenie wywiera na jaja wpływ zabójczy. Otóż, to *optimum*, *minimum* i *maximum* temperatury jest rozmaite dla różnych jaj a szerokość wahań tych bywa bardzo rozmaita. Wpływ ciepła na jajko okazuje się daléj nader urozmaiconym, zależnie od tego, jak szybko następują po sobie zmiany temperatury. Interesującą jest okoliczność, iż jaja oraz zarodki różnego wieku w danym gatunku zwierząt zachowują się prawie zupełnie jednakowo wobec zmian temperatury otaczającéj.

---

(1) Ueber den Einfluss äusserer Einwirkungen auf die Entwicklung tierischer Eier. Sitzungsberichte der naturforschenden Gesellschaft zu Leipzig. Jahrgang X, S. 55.

Nadzwyczaj ciekawe są doświadczenia powyższych badaczy nad wpływem ciśnienia atmosferycznego. Pewną ilość jaj łososia poddano przy temperaturze + 10 °C ciśnieniu trzech atmosfer (czyli przewyższającemu o dwie atmosfery zwykłe ciśnienie) w ciągu trzech dni. Okazało się, że w ciągu tego czasu rozwój był powstrzymany, lubo jajka nie uległy zagładzie. Większość jaj zachowała zdolność do dalszego rozwoju, lecz nie posunęły się one w nim daleko i wkrótce po doświadczeniu zamarły. Jeźli jednak wpływ powiększonego ciśnienia nie był czasowym, lecz działało ono stale przez cały ciąg rozwoju, to nie zabijało zarodków i nie powstrzymywało rozwoju, lecz tylko opóźniało takowy i prócz tego, rzecz ciekawa, wpływało w wysokim stopniu na przemianę kształtów ciała. Tak np. jeśli zarodki, znajdujące się na stadyum zamykania rurki nerwowéj, pozostawały w ciągu sześciu dni pod ciśnieniem dwóch atmosfer, to przykształcały się w formy o znacznie mniejszéj długości niż zwykle, a natomiast znacznie wyższe i szersze. Tego rodzaju doświadczenia, przeprowadzone na większéj ilości najrozmaitszych zwierząt wodnych, pozwoliły by nam może zrozumiéć owe interesujące postaci ryb, zamieszkujących ogromne głębie oceanów i w ostatnich czasach poznane.

Wreszcie różne substancye chemiczne: tlen, wodór, roztwory soli kuchennéj, amoniaku, kwasu siarczanego, salicylowego i t. d. zależnie od natężenia roztworu oraz długości działania albo nie okazywały żadnego wpływu na rozwój, lub téż powstrzymywały zarodki na różnych stadyach rozwoju; np. w roztworze kwasu siarczanego 1/16 na tysiąc części wody jaja żabie rozwijały się aż do stadyum powstawania skrzel; jednoprocentowego zaś roztworu soli kuchennéj nieprzenosiły ani zarodki żab, ani ryb.

Co do wpływu światła, to w ostatnich czasach położył na tém polu niemałe zasługi Emil Yung (1) z Genewy. Zbadał on wpływ rozmaitych promieni świetlnych na rozwój jaj żabich, jaj pstrągów i mięczaków. Skonstatował on, że promienie fioletowe przyśpieszają w znacznym stopniu wzrost i rozwój zarodka; w mniejszym stopniu sprawiają to promienie błękitne, a jeszcze mniejszy wpływ na wzrost okazują promienie żółte i białe. Światło czerwone i zielone wstrzymuje lub opóźnia rozwój, ciemność zaś opóźnia lecz nie powstrzymuje rozwoju. Różnéj łamliwości promienie światła dadzą się więc, według poszukiwań uczonego genewskiego, ułożyć

---

(1) E. Yung. Influence des lumières colorées sur le développement des animaux. Comptes Rendus, XCI, 440—441.—E. Yung: Influence des différentes couleurs du spectre sur le dével. des animaux. Archives de zool. expér. Lacaze-Duthiers'a, VII, 251—282.

w następującym szeregu, co do sprzyjającego wpływu na rozwój: fioletowe (najbardziéj sprzyjające) błękitne, żółte, i białe, czarne, czerwone i zielone (dwa ostatnie przeszkadzają rozwojowi).

W ostatnich kilku latach zajmowano się także bardzo kwestyą wpływu siły ciężkości na procesa embryonalne, a specyalnie na kierunek płaszczyzn, w których następuje podział jajka.

Uczony niemiecki prof. E. Pflüger pierwszy zwrócił uwagę na wpływ siły ciążenia na dzielenie się jajka żabiego. To ostatnie jest kuliste i składa się z dwu połów: mniejszéj, ciemnéj z powodu nagromadzenia się tutaj ciemnego barwnika, oraz większéj, jasnéj. Jeśli połączymy w myśli linią prostą biegun ciemny z jasnym, to otrzymamy t. z. oś jajową. Gdy zapłodnione jajko leży swobodnie w wodzie, oś jajowa przyjmuje zawsze mniéj lub więcéj pionowe położenie, przyczém biegun ciemny, zwany zwierzęcym zwraca się do góry, jasny zaś, czyli roślinny ku dołowi. Środek ciężkości jajka żabiego nie znajduje się w środku, lecz bliżéj roślinnego, w skutek tego właśnie jajko zwraca się biegunem ciemnym do góry. Otóż, dwie pierwsze płaszczyzny podziału przechodzą prostopadle do siebie przez oś jajową, a więc w kierunku pionowym; wskutek tego jajko dzieli się na cztery jednakowéj wielkości części, z których każda opatrzona jest częścią ciemną, górną i jasną dolną. Trzecia płaszczyzna podziału przechodzi w kierunku poziomym czyli prostopadłym do dwóch pierwszych lecz nie przez równik, ale bliżéj bieguna zwierzęcego; wskutek czego jajko składa się z czterech części większych, jasnych, i czterech mniejszych ciemnych. Dalsze płaszczyzny podziału jajka żabiego obecnie nas nie interesują.

Otóż Pflügerowi (1) udało się zauważyć zboczenie od powyżéj opisanego, naturalnego sposobu segmentacyi czyli dzielenia się jajka żabiego. A mianowicie uczony ten przymocowywał jajko sztucznie w rozmaitych położeniach, tak że oś jajowa (łącząca biegun ciemny z jasnym) nie miała kierunku pionowego, lecz poziomy lub skośny. Otóż, okazało się, że bez względu na położenie osi, dwie pierwsze płaszczyzny dzielenia przechodziły zawsze w kierunku pionowym, tak że jeśli np. oś jajowa zajmowala położenie poziome, to dwie pierwsze płaszczyzny podziału były do osi téj prostopadłe. Z faktów tych Pflüger wyprowadził wniosek, że widocznie siła ciążenia, działająca, jak wiadomo, w kierunku pionu, wywiera wpływ na dzielenie się jajka, i że pod jéj działaniem pierwsze płaszczyzny

(1) E. Pflüger, Ueber. d. Einfluss der Schwerkraft auf die Theilung der Zellen. Archiv. f. die ges. Physiologie. Bd. XXXI.—E. Pflüger, Ueber den Einfluss der Schwerkraft auf die Theilung der Zellen und auf die Entwicklung des Embryo. Archiv. f. d. ges. Physiologie. Bd. XXXII.

przechodzą stale w kierunku téj siły. Spostrzeżenia Pflügera zwróciły na siebie natychmiast uwagę całego świata naukowego. Bo rzeczywiście, gdyby siła ciążenia miała okazywać bezpośredni wpływ na proces przewężania się jajka, to znaczyłoby, że kształtowanie się zarodka pozostaje w bezpośredniéj zależności od warunków zewnętrznych, że takowe warunkują sobą postać morfologiczną, że jednym słowem istota procesów rozwojowych znajduje się w ścisłym związku z pewnemi bodźcami zewnętrznemi. Wkrótce też po ogłoszeniu pracy Pflügera, inni uczeni podjęli poszukiwania nad tą, wielkiéj wagi biologicznéj, kwestyą.

G. Born (1) doszedł do przekonania, że w jajkach żabich, przytwierdzonych w sztucznéin i nienormalném położeniu, odbywa się przemieszczenie różnych części substancyi jajowéj; części gatunkowo lżejsze zajmują miejsce wyższe, części zaś cięższe—niższe. Ostatecznie więc substancye jajka układają się zawsze jednakowo, bez względu na położenie jajka, zupełnie tak samo, jak w kuli zapełnionéj np. oliwą i wodą, oliwa zawsze wypływa na wierzch. W jajku żabim plama twórcza, skupiona przy biegunie zwierzęcym wraz z jądrem jajowém, zajmuje stale, jako lżejsza, górne położenie.

Tak więc wobec takiego zapatrywania się na rzeczy, siła ciążenia nie okazuje żadnego specyalnego wpływu na procesy embryonalne, jak to sądził Pflüger. Pod jéj działaniem ma miejsce tylko przemieszczenie substancyi jajowych, różnéj ciężkości gatunkowéj, a ponieważ przemieszczenie to, bez względu na położenie jajka w przestrzeni, zawsze jest jednakowém (ulegając ogólnemu prawu ciążenia), to nie dziw, że pierwsze płaszczyzny podziału jajka, zależne od sposobu rozmieszczenia plazmy jajowéj oraz jądra, przechodzą zawsze w tym samym kierunku, a mianowicie specyalnie u żaby, w kierunku pionu. Myśl tę rzeczywiście stwierdził uzasadnił i uogólnił prof. Oskar Hertwig, jeden z najwybitniejszych embryologów współczesnych. Zanim atoli do pracy Herwiga przystąpimy, dodamy, że prócz Borna i ostatnio wymienionego badacza inni jeszcze zoologowie pracowali także w tymże okresie czasu nad kwestyą wpływu siły ciążenia na procesa embryonalne, tak że w nauce nagromadziła się w ostatnich kilku latach cała literatura tego niezmiernie ciekawego i ważnego przedmiotu.

I tak uczony niemiecki Wilhelm Roux (2) zadał sobie pytanie, czy jajka żabie, usunięte z pod kierującego wpływu siły ciążenia,

(1) G. Born, Ueber den Einfluss der Schwere auf das Froschei. Verhandlung. der medizin. Section der schlesisch. Gesellschaft. f. vaterländ. Cultur, 1884.—(2) Wilhelm Roux Ueber die Entwicklung der Froscheier bei Aufhebung der richtenden Wirkung der Schwere. Bresl. ärtzl. Zeitschr. 1884.

mogłyby się normalnie rozwijać; rozumie się, iż rezultat powinienby być ujemny, gdyby rzeczywiście siła ciążenia kierowała rozwojem. Otóż umieścił on skrzek żabi w wilgotnéj macie na przyrządzie odśrodkowym (centryfugalnym), którego kierunek i szybkość obrotu tak były regulowane, iż osi jajowe podczas obrotu aparatu przyjmowały położenie rozmaitego nachylenia do pierwotnego. Tém nie mniéj atoli okazało się, iż jajka rozwijały się tak samo dobrze i tak samo szybko, jak znajdujące się w warunkach normalnych. Okazało się, że i w tym razie, bez względu na położenie osi jajowéj w przestrzeni, dwie pierwsze płaszczyzny podziału przez nią przeszły, pierwsza zaś pozioma płaszczyzna, z małemi wyjątkami, przechodziła, jak normalnie, bliżéj bieguna ciemnego. Roux wyprowadza ztąd wniosek: „że siła ciążenia nie jest niezbędną dla rozwoju, że nie wywiera ona żadnego koniecznego, kierującego i różnicującego wpływu“, że raczéj „zapłodnione jajko zawiera samo w sobie wszystkie kształtujące siły, niezbędne do normalnego rozwoju“.

Prof. Rauber (1) wykonał także szereg doświadczeń nad wpływem siły ciążenia na rozwój jaj żab, oraz pstrągów. Skłania się on do zapatrywań Pflügera, iż sile ciążenia przypada pewne kierujące działanie na rozwój, wszelako wywody jego nie są bynajmniéj przekonywające, a fakta dadzą się objaśnić w taki sposób, w jaki Born i inni tłómaczyli sobie powyżéj opisane wyniki spostrzeżeń Pflügera.

Poszukiwania prof. O. Hertwiga ostatecznie dowiodły, że przypisywanie sile ciążenia bezpośredniego wpływu na procesy embryonalne jest błędném. Hertwig obserwował dzielenie się przezroczystych jaj szkarłupni (*Echinodermata*) i przekonał się, że przy różném położeniu jaj pierwsza płaszczyzna podziału nie przechodziła stale w kierunku pionowym, lecz pod kątem różnego nachylenia, że w ten sposób kierunek siły ciążenia nie znajduje się w żadnym związku z kierunkiem płaszczyzn podziału. Według Hertwiga, siła ciążenia nie wywiera bezpośredniego wpływu na dzielenie się komórek jajowych, nie rządzi téż ona żadnym ogólniejszym i nieznanym prawem organizacyi. W doświadczeniach swoich Hertwig, prócz powyższego rezultatu ujemnego, doszedł także do następującego wniosku pozytywnego. A mianowice, przekonał się, że płaszczyzny podziału komórek jajowych przechodzą zawsze w kierunku pionowym do osi jądra jajowego. Objaśnijmy to nieco bliżéj. Otóż, jądro jajowe, które zazwyczaj jest kulistém, przyjmuje w chwili rozpoczęcia dzielenia się jajka postać wydłużoną, wrzecionowatą; warunkuje się to

---

(1) W. Roux, Beiträge z. Entwicklungsmechanik des Embryo. Zeitsch. f. Biologie, Bd. 21. Breslauer ärtzl. Zeitschr. 1885.

bardzo złożonemi przemianami, jakie zaczynają się wtedy w jego wnętrzu odbywać i które znane są pod nazwą karyokinezy. Wrzeciono to układa się długą osią, czyli jak mówimy wprost, osią swoją w takim kierunku, iż końce wrzeciona zwracają się ku okolicom największego nagromadzenia plazmy twórczéj w jajku; Hertwig objaśnia to pewną siłą przyciągania, jaka istnieje pomiędzy biegunami wrzeciona i plazmą otaczającą. Tak więc, jądro przyjmuje w jajku zapłodnionem pewne określone położenie, które warunkuje się sposobem rozmieszczenia i skupienia w jajku plazmy twórczéj, jednem słowem, przyjmuje ono położenie zależne od wewnętrznéj budowy jajka. Ale oto kierunek pierwszéj płaszczyzny podziału jajka zawisły jest od położenia jądra, przechodzi ona bowiem zawsze, jak powiedzieliśmy, w kierunku pionowym do wrzeciona, czyli do osi jądra i to zupełnie niezależnie od położenia jajka w przestrzeni. Tak więc poszukiwania Hertwiga doprowadzają do nader ciekawego i ważnego rezultatu, bo procesy dzielenia się jaja, a tem samem wogóle procesy embryonalne znajdują się w ścisłéj zależności od budowy samego jajka, od sił wywiązujących się skutkiem wzajemnego na siebie oddziaływania jądra i plazmy jajowéj. Co się tyczy wyjaśnienia doświadczeń Pflügera, to Hertwig tłomaczył je także pośrednim tylko wpływem siły ciążenia, fizycznem jéj oddziaływaniem na rozmieszczenie w jajku dwóch substancyi różnego ciężaru gatunkowego (tj. plazmy twórczéj i odżywczéj, skupionych przeważnie dokoła ciemnego i jasnego bieguna w jajku żabiem).

Z innych zdobyczy na polu embryologii eksperymentalnéj zasługują na uwagę niezmiernie interesujące dane, dotyczące zapłodnienia jajka. Samo wyjaśnienie procesu zapłodnienia stanowi jednę z najpiękniejszych zdobyczy najnowszéj morfologii, a tem ciekawsze są jeszcze eksperymentalne w tym kierunku poszukiwania, które pozwoliły nam przeniknąć głębiéj do istoty tego tajemniczego zjawiska.

Ażeby czytelnik mógł zrozumiéć poniżéj podane fakty, musimy w krótkości zapoznać go naprzód z morfologiczną stroną zapłodnienia. Od czasu, gdy zaczęto za pomocą mikroskopu badać budowę jajka i nasienia, oraz przekonano się, że to drugie zawiera liczne t. zw. ciałka nasienne, to jest męskie komórki płciowe, wyobrażano sobie, że zapłodnienie polega na przenikaniu wielkiéj ilości tych ciałek do jajka i całkowitem ich zlewaniu się z niem. Ale dopiero w ostatnich latach, dzięki niestrudzonym badaniom Fola, v. Benedena, a nadewszystko braci Hertwigów, zrozumiano należycie istotę tego procesu. Otóż wiadomo, że w każdéj komórce organicznéj odróżniamy zarodź, czyli plazmę, oraz jądro, część

gęstszą, wewnątrz plazmy umieszczoną. W jajku zwierzęcém czyli w żeńskiéj komórce rozrodczéj odróżniamy bardzo wyraźnie obie te składowe części; jądro nosi tu nazwę pęcherzyka zarodkowego, plazma—żółtka.

Ponieważ ciałka nasienne mają bardzo swoiste kształty, przedstawiając najczęściéj długą nić, zakończoną główką, zoologowie nie pojmowali przez długi czas morfologicznego znaczenia różnych ich części; okazało się atoli na zasadzie badań nad rozwojem ciałek nasiennych, że główka stanowi jądro, a nić plazmę zmodyfikowanéj w ten sposób komórki. Otóż, w zapłodnieniu biorą udział normalnie dwie tylko komórki, przyczém główną rolę odgrywają tu jądra komórkowe. Gdy ciałko nasienne styka się z jajkiem, główka jego czyli jądro przenika do wnętrza jajka i zlewa się tam w jedną całość z jądrem jajowém; nić zaś czyli plazma komórki nasiennéj do jajka nie przechodzi, w zapłodnieniu tedy udziału nie bierze. I tak w zwykłych normalnych wypadkach jajeczko zapładnia się jednéin tylko ciałkiem nasiennéin, a istota zapłodnienia polega na połączeniu jądra jajka z jądrem ciałka nasiennego. Oprócz tego, normalnie jajko danego gatunku zapłodnione bywa wyłącznie przez ciałko nasienne tego samego gatunku zwierząt.

Zboczenia zatém od normy mogą miéć miejsce w dwóch kierunkach: po pierwsze, zamiast jednego mogą przeniknąć liczne ciałka nasienne do jajka: nienormalność ta zowie się polyspermią—wielonasiennością; po drugie, zapłodnienie może być dokonane przez ciałko nasienne obcego gatunku zwierząt, byłaby to tak zw. hybridyzacya. Jeżeli normalnie nie ma miejsca ani jedno, ani drugie, to należy przypuścić, że w komórce jajowéj, a może i nasiennéj, spoczywają pewne siły, dążące do przeciwdziałania tym nienormalnościom. Otóż, aby dowiedziéć się, jakiego to rodzaju są owe siły i w jaki sposób działają, należy uciec się do eksperymentu; należy umieścić sztucznie komórki rozrodcze w takich warunkach, aby umożliwić polyspermią i hybridyzacyą, czyli zawiesić na pewien czas działanie owych sił. Szereg niezmiernie interesujących doświadczeń w tym kierunku wykonali niestrudzeni bracia Hertwigowie.

Rozpatrzmy naprzód wyniki ich eksperymentalnych poszukiwań nad warunkami hybridyzacyi (1). Każdy, kto zna w ogólnych

---

(1) O. u. R. Hertwig. Experimentelle Untersuchungen über die Bedingungen der Bastardbefruchtung. 1885. — E. Pflüger. Die Bastardzeugung bei d. Batrachiern. Arch. f. d. Ges. Physiol. Bd. XXIV. — E. Pflüger. Untersuchungen über Bastardirung d. anuren Batrachier, und die Principien d. Zeugung. Arch. f. Physiol. Bd. XXXII.

chociażby zarysach zasady teoryi Darwina, wié o tém, jak wielkiéj wagi naukowéj nabrała w ostatnich czasach kwestya krzyżowania z sobą różnych pokrewnych gatunków zwierząt; prawa hybridyzacyi czyli krzyżowania gatunków są jednak dotąd mało bardzo znane. Warunki hybridyzacyi badano dotąd, że tak powiem, nie u źródła, lecz w dalszym przebiegu. Zastanawiano się nad tém, jakiego stopnia pokrewieństwa gatunki mieszać się mogą, jakie czynniki wpływają na sprawność hybridyzacyi osobników, ale mało bardzo zwracano dotąd uwagi na to, iż najbliższa przyczyna wszelkich objawów téj właściwości spoczywać musi w naturze komórek płciowych, w akcie zapłodnienia, który jest przecie najistotniejszym i najważniejszym procesem w rozmnażaniu się zwierząt. Dlatego téż wszelkie pytania będą mogły być postawione jasno i w sposób określony wtedy dopiéro, gdy pozostawimy na uboczu wszystkie wtórne momenty, sprzyjające lub przeszkadzające krzyżowanemu zapłodnieniu i gdy ograniczymy się do zdolności hybridyzacyjnéj samych komórek płciowych.

W roku 1882 Pflüger przedsięwziął szereg doświadczeń nad krzyżowaniem żab z ropuchami *(Rana fusca* i *Bufo vulgaris)*, różnych gatunków żab pomiędzy sobą *(Rana fusca* i *esculenta)*, różnych gatunków trytonów pomiędzy sobą, oraz żab z trytonami *(Rana fusca* i *Triton alpestris*, oraz *T. taeniatus)*. Okazało się, że nasienie żab wpływa energicznie na jaja zwyczajnéj ropuchy, tak, iż zapłodnione niém prawidłowo się dzielą i dochodzą aż do stadyum moruli, późniéj atoli giną wszystkie; naodwrót jednak nasienie ropuchy nie okazuje żadnego wpływu na jajka żabie. Taki sam fakt jednostronnéj hybridyzacyi zauważył téż Pflüger pomiędzy różnemi gatunkami żab. Okazało się daléj, że krzyżowanie pomiędzy sobą różnych gatunków trytonów nigdy się nie udawało, co jest tém ciekawsze, iż nasienie trytonów zapładniało jaja żabie, jakkolwiek te ostatnie ulegały bardzo nienormalnemu dzieleniu się i wcześnie umierały; hybridyzacya w kierunku przeciwnym (t. j. zapładnianie jaj trytonów nasieniem żab) było niemożliwe.

Pflüger zauważył daléj inny jeszcze nader interesujący fakt; znalazł on mianowicie, że krzyżowanie pomiędzy żabami i trytonami nie udaje się w każdéj porze roku, że przed 23 kwietnia wszystkie doświadczenia dawały rezultat dodatni, po 23-m zaś żadne się nie udało. Wnioskuje on z tego, że 23 kwietnia jaja osiągają najwyższy punkt swego rozwoju, że od tego czasu stopień fizyologicznéj ich dzielności zaczyna się zmniejszać, skutkiem czego tracą one zdolność do hybridyzacyi.

Nie mniéj ciekawe rezultaty osiągnął Born (1) z doświadczeń swych nad krzyżowaniem żab i ropuch; sądzi on, że różne wypadki hybridyzacyi zależą przeważnie od różnéj zdolności ciałek nasiennych do przenikania w obce jaja. W późniejszéj pracy swojéj Pflüger doszedł po części do podobnego wniosku.

Bracia Hertwigowie robili doświadczenia nad krzyżowaniem różnych gatunków szkarłupni. Doszli oni do niektórych wniosków, zgodnych z rezultatami spostrzeżeń Pflügera i Borna, lecz najważniejsze wyniki ich badań różnią się od dotychczasowych i niezmiernie są interesujące. W następujących trzech punktach, co do praw hybridyzacyi, Hertwigowie zgadzają się z Pflügerem i Bornem: 1) Udatne lub nieudatne krzyżowanie nie zależy wyłącznie od stopnia pokrewieństwa krzyżowanych gatunków; widzieliśmy, że np. gatunki trytonów nie mieszają się z sobą, gdy tymczasem trytony zapładniają jajka żab, czyli zupełnie różnych rodzajów; do pewnego atoli stopnia pokrewieństwo odgrywa tu ważną rolę, wiadomo bowiem, że nie podobna otrzymać mieszańca z tak odmiennych zwierząt, jak np. z ssaka i gadu, albo płazu. 2) W krzyżowaniu dwóch gatunków nie ma bardzo często wzajemności, to jest nasienie jednego gatunku zapładnia jaja innego, lecz nie na odwrót. 3) Udatne, lub nieudatne krzyżowanie zależy od właściwości w danym czasie produktów płciowych, użytych do krzyżowania; w produktach płciowych (jajku i ciałku nasiennem) daje się zauważyć zmienna jakby dyspozycya do hybridyzacyi.

Pod powyższemi trzema względami obserwacye Hertwigów zgadzają się, jak powiedzieliśmy, z spostrzeżeniami Pflügera i Borna. Co do innych atoli punktów wyniki ich obserwacyi różnią się, a Hertwigowie używszy ściślejszych metod badania, doszli do następujących ciekawych rezultatów. Przedewszystkiém zjawia się pytanie, który z dwóch produktów płciowych jest zmienny i kiedy produkty te nadają się najbardziéj do hybridyzacyi?

Według Pflügera i Borna, produkty płciowe dają się najłatwiéj mieszać czyli hybridować wtedy, kiedy znajdują się na wysokości rozwoju swego i posiadają tym sposobem największą energią życiową. Obaj ci uczeni różnią się atoli pomiędzy sobą w tém, że według Pflügera dla hybridyzacyi ma największe znaczenie energia życiowa jaj, według Borna zaś — energia życiowa nasienia, że we-

(1) Born. Beiträge zur Bastardirung zwischen d. einheim. Anurenarten. Arch. f. Physiol. Bd. XXXII. — Born. Ueber die inneren Vorgänge bei d. Bastardbefruchtung der Froscheier. Bresl. ärztliche Zeitschr. 1884.

dług pierwszego stan jajka, według drugiego zaś stan nasienia bardziéj sprzyja, lub nie hybridyzacyi.

Płazy, nad któremi robili doświadczenia obaj powyżsi uczeni, przedstawiają z wielu względów materyał niedogodny do tego rodzaju poszukiwań. Niezaprzeczoną wyższość mają pod tym względem szkarłupnie. Płazy są płciowo dojrzałe tylko w pewnéj porze roku; w każdym zaś czasie znaleść można płciowo dojrzałe szkarłupnie, ponieważ u zwierząt tych co kilka tygodni dojrzewają komórki płciowe, przyczém można znaleść różne gatunki w jednym i tym samym czasie płciowo dojrzałe, co wszystko ułatwia doświadczenia nad hybridyzacyą.

Otóż rezultaty eksperymentów Hertwigów, którzy właśnie wybrali sobie szkarłupnie (jeże morskie), jako przedmiot badań są następujące.

Dobry lub zły rezultat hybridyzacyi zależy prawie wyłącznie od stanu jaj. Otóż jaja tylko-co wydalone z jajnika nie pozwalają się zapłodnić przez obce ciałka nasienne, lecz dopiéro po dziesięciu, dwudziestu, lub trzydziestu godzinach przyjmują te ostatnie do swego wnętrza. Rezultat ten nie mógł zależéć w danym wypadku od różnic w nasieniu, ponieważ we wszystkich doświadczeniach nasienie było brane w stanie świeżym natychmiast po wyjściu z jąder, a tym sposobem, jak twierdzą Hertwigowie, wynik ten był ciągle stałym, a rozmaitość rezultatów mogła tém samém zależéć tylko od drugiego czynnika, t. j. od stanu jaj. Im później po opuszczeniu jajnika zapładniano jaja, tym łatwiéj dawały się zapłodnić obcém nasieniem; w ten sposób można było znaleść pewne *optimum* hybridyzacyi, po za którém zdolność hybridyzacyjna znów się zaczęła zmniejszać. I tak: *a)* jeżeli zapłodnienie miało miejsce po przeciągu $1/4$ godziny (od czasu, gdy jaja opuściły jajnik), tylko bardzo mała ilość jaj pozwoliła się obcém nasieniem zapłodnić,—był to stan *minimum* hybridyzacyi; *b)* z jaj zapłodnionych po $2 1/4$ godzinach, 10% rozwijało się normalnie; *c)* z jaj zapłodnionych po $6 1/4$ godzinach, 60% rozwijało się normalnie; *d)* z jaj zapłodnionych po $10 1/4$ godzinach—wszystkie prawie (95%) jaja rozwijały się,— był to stan *optimum*; *e)* gdy zaś jaja zapłodniono po jeszcze dłuższym przeciągu czasu, ilość rozwijających się jaj zaczynała się już zmniejszać.

Widzimy zatém, że rezultat, do którego doszli Pflüger i Born jest przeciwny rezultatowi doświadczeń Hertwigów. U płazów komórki płciowe miały największą zdolność hybridyzacyjną, gdy ich energia życiowa była największą, u szkarłupni zaś, jak widzimy, rzeczy mają się wprost przeciwnie: „ze zmniejszającą się energią życiową jajka, wzrasta zdolność do za-

p ł a d n i a n i a s i ę p r z e z n a s i e n i e o b c e g o g a t u n k u.“ Rozpatrując krytycznie doświadczenia Pflügera i Borna, Hertwigowie dochodzą do wniosku, że i u płazów istnieją prawdopodobnie takie same stosunki, jak u szkarłupni, że i tam jajka, znajdujące się w stanie największéj dzielności życiowéj, odpierają obce ciałka nasienne, czyli sprzeciwiają się hybridyzacyi. W każdym razie, w obec tego, że Hertwigowie posługiwali się licznemi doświadczeniami i używali metody bez porównania ściślejszéj, aniżeli poprzednicy ich, oraz otrzymywali bez wyjątku rezultaty nie dwuznaczne i pewne — wynikom ich poszukiwań oddać musimy niezaprzeczone pierwszeństwo.

Hertwigowie tłómaczą bardzo dobrze znany fakt, iż gatunki zwierząt hodowanych i roślin uprawnych daleko łatwiéj dają się hybridyzować, aniżeli gatunki, żyjące dziko na łonie natury. Wiadomo bowiem, że nienormalne warunki życia istot oswojonych wpływają w wysokim stopniu na modyfikacyą organów płciowych i ich produktów, osłabiając te ostatnie. Otóż zgodnie z wynikami poszukiwań Hertwigów, jaja tych zwierząt, jako odznaczające się mniejszą dzielnością życiową, powinny się dać łatwiéj zapładniać przez obce nasienie, co téż rzeczywiście ma miejsce, jak tego fakta dowodzą.

Dotąd uważaliśmy stan nasienia w sprawie hybridyzacyi jako czynnik stały. Jednakże możemy sobie zadać pytanie, czy tak jest rzeczywiście, czy energia życiowa nasienia nie wpływa téż w równym stopniu jak i dzielność jajka na proces hybridyzacyi? Otóż Pflüger i Born upatrują tu w saméj rzeczy ścisły związek przyczynowy. Pflüger podaje grube, mechaniczne wyjaśnienie, przypuszczając, że oprócz stanu jaj kształt nasienia, a zwłaszcza główki ciałka nasiennego ma również dla kwestyi hybridyzacyi znaczenie niemałe. Pflüger zauważył, że u płazów otwór w błonie jajka t. zw. mikropyle, przez który ciałko nasienne przenika do wnętrza jaja‘ jest zastosowany w każdym gatunku do kształtu i wielkości główki ciałka nasiennego; jeśli otwór jest bardzo wąski, to ciałka nasienne u tego gatunku mają główki zaostrzone i wąskie, u gatunków zaś, u których mikropyle jest szersze, i główki ciałek nasienne są grubsze. Zauważył on daléj, że ciałka nasienne żaby *Rana fusca*, mające główki cienkie i zaostrzone, zapładniają jaja wszystkich innych gatunków (np. jaja żaby zielonéj, polnéj, ropuchy); gdy przeciwnie grubogłówkowe ciałka nasienne żaby zielonéj nie przenikają do jaj *R. fusca*: podobnych faktów udało się Pflügerowi zaobserwować więcéj. Sądzi on tedy, iż kształt ciałek nasiennych jest przyczyną tego, że hybridyzacya może miéć miejsce lub téż nie. Born przyj-

muje również doniosłe znaczenie w tym względzie kształtu ciałek nasiennych i sądzi, że kształt ten warunkuje zdolność ciałek nasiennych do przenikania przez galaretowate osłony jaj, rozmaicie zbudowane w jajach różnych gatunków.

Hertwigowie dochodzą do zupełnie odmiennych wniosków. Ich zdaniem wpływ nasienia jest całkiém drugorzędny (1), a zdolność do hybridyzacyi spoczywa głównie w jajach. Co zaś do przypuszczeń Pflügera i Borna, że jeśli jedne gatunki mogą się mieszać, a inne nie, to zależy to od kształtu ciałek nasiennych, Hertwigowie zbijają ten pogląd doskonałemi doświadczeniami. A mianowicie, wszystkie gatunki jeżów morskich, nad którymi wykonywali doświadczenia, mają ciałka nasienne zupełnie jednakowego kształtu i jednakowéj wielkości, tak, że pod mikroskopem nie podobna ich odróżnić od siebie przy najsilniejszych nawet powiększeniach. A zresztą, gdyby nawet były pomiędzy niemi jakieś niedostrzegalne różnice w budowie, to nie miałyby one w tym wypadku żadnego znaczenia, albowiem jajka szkarłupni pozbawione są t. zw. mikropyle, to jest owych drobnych otworków, przez które zwykle ciałko do jajka przenika; u szkarłupni ciałko nasienne może w każdém miejscu przebić błonę jajka i do wnętrza się przedostać.

Na zasadzie wszystkich swoich doświadczeń Hertwigowie dochodzą do ważnego wniosku, że wewnętrzna konstytucya produktów płciowych, a głównie jajka, sprzyja lub nie jego zapłodnieniu przez obce nasienie; że do substancyi produktów płciowych przywiązane są pewne siły regulujące i rządzące procesem zapłodnienia i że siły te mogą osłabnąć, gdy energia życiowa jajka się zmniejsza; jajko nie może wtedy okazywać dostatecznéj odporności i pozwala się zapłodnić przez ciałka nasienne gatunków, którym kiedyindziéj stawiało opór. Do jakiéj części jajka przywiązane są te siły, na to Hertwigowie wahają się dać stanowczą odpowiedź, lecz na zasadzie ich późniejszych poszukiwań eksperymentalnych, do których niebawem przystąpimy, oraz na zasadzie innych teoretycznych rozumowań, należy z wielkiém prawdopodobieństwem przypuścić, iż siły te przywiązane są do jądra komórki jajowéj, iż ono rządzi zatém przebiegiem owego tajemniczego procesu, jakiém jest zapłodnienie.

Tak więc widzimy, iż w sprawie hybridyzacyi, nowsza embryologia, dzięki eksperymentalnéj metodzie badania, doszła do wniosków, nie małego znaczenia ogólno-biologicznego.

---

(1) Hertwigowie nie mieli zresztą dotąd sposobności przekonania się, jaki jest ów nieznaczny wpływ nasienia w sprawie hybridyzacyi.

Kwestya hybridyzacyi wiąże się bardzo ściśle z polyspermią, nad którą w ostatnich czasach pracowano również za pomocą eksperymentalnéj metody badań i na téj drodze otrzymano nadzwyczajnie ciekawe rezultaty. Normalnie, jak już wiemy, jajeczko zapładnia się przez jedno tylko ciałko nasienne, przyczém główka tego ostatniego czyli jądro przenika do wnętrza jaja i zespala się tam z jądrem komórki jajowéj w jedną całość; na tym procesie zespalania się dwóch jąder komórek płciowych polega istota zapłodnienia. Niekiedy atoli zdarza się taki nienormalny wypadek, iż nie jedno lecz kilka ciałek nasiennych naraz do jajka przenika i jądra wszystkich zlewają się z jądrem komórki jajowéj. Jest to t. z. wielonasienne zapłodnienie, czyli polyspermia. Uczony szwajcarski Herman Fol, który położył w nauce niespożyte zasługi na polu badań embryologicznych, wypowiedział hypotezę, że zapłodnienie jajka przez większą ilość ciałek nasiennych powoduje rozwój zarodków o zdwojonych, lub strojonych częściach ciała; hypoteza ta, jakkolwiek bardzo prawdopodobna, dotąd jednak nie została stwierdzona faktami. Otóż bracia Oskar i Ryszard Hertwigowie (1) zdołali na drodze doświadczalnéj wykryć, w jakich warunkach polyspermia ma miejsce, w jakich okolicznościach jajko pozwala się zapłodnić, zamiast—jak to bywa normalnie—jednemu, wielu ciałkom nasiennym; wykryli téż oni głębsze przyczyny tego nienormalnego procesu.

Ponieważ w wypadkach normalnych jajko pozwala się zapłodnić przez jedno tylko ciałko nasienne, nie widzimy zaś ze strony nasienia żadnéj przeszkody, która nie pozwalała by kilku ciałkom naraz do jajka przeniknąć (albowiem liczne ciałka nasienne atakują ze wszystkich stron jajko), *à priori* więc już przypuścić musimy, że w samém jajku istnieje zdolność do zapobiegania wejściu większéj ilości ciałek nasiennych do jego wnętrza. Hertwigowie przekonali się, że jeżeli jajka szkarłupni umieścić w wodzie, do któréj dodano pewną ilość jakiegobądź alkaloidu (np. nikotyny, strychniny, morfiny, chininy, kokainy i t. d.), lub téż jeżeli ogrzewać je w różnym stopniu, w takim razie im dłużéj będziemy na jajko czynnikami tymi działali, lub téż im silniejszymi będą te czynniki (np. im będzie gęstszy roztwór owych alkaloidów, albo im wyższą będzie temperatura), tém łatwiéj jajko ulegać będzie polyspermii. Okazuje się przytém, że jeżeli jajko pod wpływem słabego bodźca chemicznego (np. słabego roztworu nikotyny) pozwala się zapłod-

(1) O. u. R. Hertwig. Ueber den Befruchtungs- und Teilungsvorgang des tierischen Eies unter dem Einfluss äusserer Agentien. 1887.

nić przez dwa ciałka nasienne, to jeśli bodziec ten będzie silniejszym, więcéj téż ciałek do wnętrza jego przeniknie. Widzimy zatém, że jajko pod wpływem pewnych bodźców szkodliwych, zbyt silnie działalność jego paraliżujących, traci stopniowo coraz bardziéj zdolność opierania się polyspermii. Jakżeż objaśnić sobie to działanie alkaloidów? Otóż zauważono, że w jajkach szkarłupni (i wielu innych zwierząt), po zetknięciu się pierwszego ciałka nasiennego z powierzchnią plazmy jajowéj, dokoła téj wydziela się specyalna błonka, nie pozwalająca już następnym ciałkom przenikać do jajka. Podobnie jak każdy gruczoł wydziela pod wpływem pewnego bodźca, tak też, przypuszczają Hertwigowie, że i jajko wydziela ową błonkę bezpieczeństwa, ochraniającą je od polyspermii, pod wpływem zetknięcia się z pierwszém ciałkiem nasienném; ciałko nasienne stanowi więc pewien specyficzny bodziec dla jajka, wywołujący w niém pewne stałe objawy. Jeżeli jajko pod wpływem alkaloidów jest osłabione i pobudzalność jego zmniejszona, w takim razie naturalném jest, że zetknięcie się jednego ciałka z jajkiem stanowi bodziec zbyt słaby; może więc wtedy przeniknąć bezkarnie większa ilość ciałek nasiennych, np. dwa lub trzy i dopiéro pod wpływem tych kilku ciałek jajko wydziela błonkę, tamującą już dalszą polyspermię. Pojmujemy więc, że im silniejsze działanie bodźca, im większe znieczulenie jajka, tém większa polyspermia. W taki sposób te eksperymentalne poszukiwania Hertwigów prowadzą nas do wniosku, że podobnie jak co do hybridyzacyi, tak téż i co do polyspermii, w samém jajku spoczywają pewne siły, regulujące proces zapłodnienia.

Pod wpływem chloralu jądro ciałka nasiennego, które przenikło już do wnętrza jajka, nie zespala się tam z jądrem jajowém; a ponieważ chloral, jak wykazały inne doświadczenia, działa paraliżująco na plazmę komórki jajowéj, możemy ztąd wnosić, że spotkanie się i zlanie jądra ciałka nasiennego z jądrem jajowém zależy od pewnych specyalnych sił, właściwych plazmie; plazma kurczy się w pewien swoisty sposób i sprawia ów zadziwiający ruch obu jąder ku sobie, tak, że się z sobą zetknąć muszą.

Niezmiernie ciekawy jest wpływ różnych tych czynników na jajko, które już zostało zapłodnione. Otóż pewne bodźce, jak np. morfina, strychnina, nikotyna nie okazuje żadnego specyalnego wpływu na proces rozwoju zapłodnionego jaja, o ile wogóle nie działają zabójczo na życie jajka. Inne znów, a mianowicie chinina i chloral wielkiéj są wagi, ponieważ nie tylko opóźniają proces przewężania się jajka zapłodnionego, lecz nawet zmuszają jądro przygotowujące się do podziału i wydłużone w postaci wrzeciona—

do powrotu ku stanowi pierwotnemu; jądro traci włóknistą budowę znów się zaokrągla i przedstawia pęcherzyk, jak przed początkiem dzielenia. Wszelako gdy jajko po takiém podrażnieniu, znów do normalnego powraca stanu, jądro rozpoczyna znów dzielenie i rozpada się nie jak zwykle na dwie części lecz zrazu na 4 lub więcéj, tworząc uprzednio cztery lub więcéj wrzecion, układających się w czworobok, dalszy podział następuje już prawidłowo: taki podział jądra zrazu na cztery lub więcéj części daje się także zauważyć w jądrze jajowém, zapłodnioném przez kilka ciałek nasiennych, czyli w polyspermii.

Nad mechaniką rozwoju pracowali daléj w ostatnich czasach eksperymentalnie W. Roux (1), i O. Schultze (2). Pierwszy z tych uczonych w szeregu kilku obszernych prac starał się określić wpływ różnych czynników zewnętrznych na rozwój i rozwiązać ważne pytanie, o ile w plazmie jajowéj lokalizowane są zawiązki dla różnych organów i właściwości budowy przyszłego zwierzęcia. Roux zadał sobie przedewszystkiém pytanie, czy rozmieszczenie substancyi, wchodzących w skład jajka, pozostaje po zapłodnieniu takie same, jak przed zapłodnieniem. To ważne pytanie Roux rozwiązał za pomocą doświadczenia. Pogrążywszy uprzednio jajka żabie w nasieniu, umieszczał je natychmiast w cieczy o odpowiedniéj ciężkości gatunkowéj, tak że swobodnie pływały. Otóż okazało się, że jajko po wstąpieniu do jego wnętrza nasienia, zmieniało swoje położenie w cieczy, uległo dość znacznemu obrotowi (nieraz przeszło 90°), z czego wynika, że pod wpływem zapłodnienia musiało nastąpić przemieszczenie substancyi różnego ciężaru gatukowego, wchodzących w skład jajka. Roux wykonał jeszcze trudniejsze i ciekawsze doświadczenie. Za pomocą cienkiéj rureczki wprowadzał on nasienie do jajka żabiego w miejscu, jakie dowolnie wybierał (przebijając otwartym końcem rureczki galaretowatą osłonę jajka). Takie lokalne zapłodnienia przekonały go, że zależnie od tego, w którém miejscu było dokonane, substancye wewnątrzjajowe rozmieszczały się w odpowiedni sposób, albowiem pierwsza płaszczyzna dzielenia się jajka przypadała stale na południku, w którym miało miejsce owo sztuczne, lokalizowane zapłodnienie. O. Schultze zarzuca Roux'owi, że nie można przypuszczać, aby od kierunku, w jakim

---

(1) W. Roux, Ueber die Zeit der Bestimmung der Hauptrichtungen des Froschembryos. Leipzig. 1883.—W. Roux, Beiträge zur Entwicklungmechanik des Embryo. Bresl. ärztliche Zeitschr. 1885. — (2) O. Schultze, Zur ersten Entwicklung des braunen Grasfrosches. Leipzig 1887 (w „Gratulationszeitschrift für A. v. Kölliker).—O. Schultze, Ueber Axenbestimmung des Froschembryo. Biol. Centr. N. 19, 1887.

zespala się jądro jajka z jądrem męzkiém, zależało rozmieszczenie substancyi wewnątrzjajowych, ponieważ w jajkach dzieworodnych w których ma miejsce również pewne stałe rozmieszczenie plazmy w jajku, a które rozwijają się, jak wiadomo, bez zapłodnienia, należy szukać zupełnie innéj tego przyczyny. Wszelako, zdaje nam się, nie ulega wątpliwości, że czynnik ten ma pewne znaczenie w sprawie rozmieszczenia w jajku składowych jego części; kierunek zapłodnień nie jest wyłącznym momentem w tym razie, lecz bez wątpienia dosyć ważnym. Ostatecznie więc, wraz z Roux, musimy zgodzić się na ten fakt iż lokalizacya substancyi jajowych zależna jest w znacznym stopniu od biologicznych właściwości i odbywa się pod wpływem sił wewnątrzjajowych. Do podobnych wniosków doszedł, jak widzieliśmy wyżéj, O. Hertwig.

Roux zadał sobie daléj pytanie, czy w chwili pierwszych stadyów przewężania się jajka, są w niém zlokalizowane zawiązki przyszłych organów ciała, czyli innemi słowy, czy z pewnych części substancyi jajowéj, położonych w pewnych określonych miejscach, rozwijają się stale pewne tylko części ciała? Pytanie to Roux starał się rozwiązać następującą metodą doświadczalną. Ostrzem igły robił nakłucia w różnych punktach przewężającego się jajka, wskutek czego z miejsc tych wyciekała pewna ilość substancyi jajowéj. Otóż gdyby z każdéj części plazmy jajka miały się pewne tylko organy rozwijać, to stale przy nakłuwaniu niektórych punktów jajka i wypływaniu części plazmy z tych właśnie okolic, osobnik z jajka takiego się rozwijający powinien by posiadać jakiś defekt stale w określoném miejscu ciała swego. Doświadczenie wykazało jednak, że po większéj części tak nie jest: przy nakłuwaniu jednego i tego samego miejsca przewężającego się jajka, defekty zjawiały się w bardzo różnych miejscach. Wszelako w niektórych wypadkach rezultat był inny; wskutek nakłucia jajka w pewném określoném miejscu pierwszéj płaszczyzny przewężnéj, defekt zjawiał się także u zarodka w pewnéj określonéj okolicy (po za środkiem pierwotnéj rurki nerwowéj). Widzimy zatém, że kwestyi téj nie można dotąd ze stanowczością rozwiązać; w każdym razie jednak liczne doświadczenia w tym kierunku ściśle przeprowadzone pozwoliłyby określić dokładnie prawa owéj lokalizacyi i czas, w którym następuje wyróżnicowanie się pewnych zaczątków w jajku podczas rozwoju.

Badania eksperymentalne ostatnich kilku lat wykazały także, że pewne określone potworności w rozwoju kurczęcia można wywołać przez lokalne drażnienie, a zwłaszcza przypalanie pewnych okolic zarodka. Wielką zasługę położyli na tém polu Fol i Waryń-

ski (1). Dla eksperymentalnéj metody badań jajka kurze wogóle bardzo się nadają, już przez to samo, że stanowią materyał, będący pod ręką. Wszelako doświadczenia nad zarodkiem kurzym uciążliwe są z tego względu, że otwieranie skorupy rozwijającego się jajka bez zaszkodzenia życiu zarodka niezmierne nastręcza trudności. Jeszcze Beguelin (1749) zdejmował w pierwszych dniach rozwoju część skorupki na tępym biegunie jajka i dorabiał pokrywkę ze skorupki innego jajka. Pokrywkę tę zdejmował on dowolnie, ilekroć razy pragnął przyjrzéć się biegowi rozwoju. Metoda ta okazała się jednak niepraktyczną, ponieważ rozwijała się wkrótce pleśń na powierzchni zarodka i sprowadzała jego śmierć.

W późniejszych czasach (2) zadawalniano się tém, iż robiono małe otworki na skorupie w okolicy równikowéj i zakrywano je innemi kawałkami skorupki (Valentin, Schrohe) lub téż pokrywkowemi szkiełkami, które kitowano za pomocą wosku (Scymkiewicz). Wszelako żadnemu z tych badaczy nie poszczęściło się osiągnąć szczelnego zamknięcia, tak, że według L. Gerlacha, już z tego jednego względu zarodki nie mogły się długo rozwijać normalnie wewnątrz jaja i po większéj części wkrótce umierały.

W ostatnich czasach doszli do lepszych rezultatów Fol i Waryński, którzy postępowali w taki sposób: wycinali kawałek skorupy: obnażywszy zarodek dokonywali nad nim pewnéj określonéj operacyi i następnie tenże kawałek skorupki umieszczali na dawném miejscu, zalepiając szczeliny listkami złota.

Leo Gerlach posunął jeszcze daléj metodę eksperymentalnego badania zarodka ptasiego; wymyślił on specyalny przyrząd, który nazwał embryoskopem. Zasada jego polega na tém, iż na skorupie jajka przymocowuje się pierścień metalowy; część skorupy, mieszcząca się na wewnątrz pierścienia, zostaje otworzona, a blaszka szklana, szczelnie do pierścienia przylegająca, może zamykać ten otwór; przyczém zostają zachowane ostrożności antyseptyczne. Ponieważ pokrywę szklaną łatwo podnosić i znów zamykać, możliwém jest wykonywanie na zarodku najrozmaitszych doświadczeń.

Doświadczenia te mają dotyczyć wpływu bodźców termicznych, mechanicznych oraz chemicznych na rozwijający się zarodek. Co do pierwszych, to właśnie Fol i Waryński z dobrym skutkiem używali téj metody, a mianowicie przez lokalny wpływ por-

(1) Warynski et Fol. Recherches expérimentales sur la cause de quelques monstruosités simples et de divers processus embryogeniques. 1883. — S. Warynski. Recher. expérim. sur le mode de formation des omphalocéphales. 1884. — Patrz także „Ateneum“ tom II z r. 1886. „O sztucznem wywoływaniu potworów o sercu podwójném“ podług badań St. Waryńskiego. — (2) Leo Gerlach. Ueber neuere Methoden auf dem Gebiete der experimentellen Embryologie. Biologisches Centralblatt, N. 19, 1887.

mieniującego ciepła na różne okolice ciała zarodka osiągali oni zatrzymanie się rozwoju tych części; w ten sposób zdołali oni wyjaśnić przyczynę niektórych nieprawidłowości w rozwoju, np. przypuszczają, że występująca dosyć często potworność, zwana heterotazyą (szczególnego rodzaju wykręcenie zarodka), pochodzi z zatrzymania się rozwoju zarodka ze strony lewéj, lub téż zbyt silnego rozrostu ze strony prawéj. Oprócz tego przy udoskonalonéj metodzie otwierania jaj można było wykonywać doświadczenia nad wpływem bodźców mechanicznych, np. lokalnego ucisku zarodka. Tą drogą udało się np. Waryńskiemu sztucznie otrzymać potworność, zwaną omfalocefalią, która polega na tém, iż głowa przegina się pod kątem prostym do poziomu tyłomóżdża *(postencephale)* i zagłębia się prostopadle w żółtko. Potworność ta, jak pokazał eksperyment, powstaje wskutek ucisku na wyniosłość głowy, który to ucisk w naturze może być wywołany przez skorupę jajka. Okazuje się przytém, że jeżeli ucisk ogranicza się do głowy, powstaje omfalocefalia o sercu pojedyńczém, jeśli zaś ucisk ten rozpościera się w tyle po za głową, oprócz omfalocefalii występuje także zdwojenie serca.

Widzimy zatém, że i teratologia (nauka o potwornościach) może stanąć na właściwym gruncie, opierając się na eksperymencie, jedynie bowiem drogą doświadczenia możemy się przekonać, jakie są przyczyny najrozmaitszych potworności, występujących w rozwoju zarodków. Rzecz naturalna, że korzyści z tego mogą być nie tylko natury czysto teoretycznéj, lecz i praktycznéj medycynie mogą niemały okazać pożytek, ponieważ ogólne procesy rozwoju embryonalnego tak są podobne w zarodku ptasim oraz ssaków (a tém samém ludzkim), że z doświadczeń nad zarodkiem ptasim można z wielkiém prawdopodobieństwem wnosić także o wpływie różnych bodźców lokalnych na zmiany w zarodku ssących, a tém samém poznać przyczynę niektórych potworności i nienormalności, jakim podlega płód ludzki w łonie matki.

Tak więc widzimy, iż pomimo nadzwyczajnéj swojéj młodości, embryologia eksperymentalna zdołała zdobyć nie jeden ważny fakt ogólnego znaczenia biologicznego. Nie ma wątpliwości, iż umysł ludzki wkroczywszy raz w tę tajemniczą i nową dziedzinę, nie ulęknie się trudności, jaką ona przedstawia, lecz doskonaląc coraz bardziéj metody, zdoła wznieść z czasem z embryologii doświadczalnéj równie wspaniały systemat faktów i teoryi, jaki dotąd osiągnął na drodze embryologii obserwacyjnéj, która zadawalnia się spostrzeganiem przemian rozwojowych, zachodzących w warunkach naturalnych.

Dr. Józef Nusbaum.



JĘZYKI NATURALNE I SZTUCZNE.

(VOLAPÜK I LINGVO INTERNACIA).

Olbrzymi pożytek, mogący wyniknąć z istnienia jednego wspólnego dla wielu narodów języka, rzuca się w oczy każdemu: łatwość porozumienia się z cudzoziemcami, oszczędzenie drogiego czasu, którego dziś tyle poświęcamy na naukę mnóstwa języków obcych, znakomite rozszerzenie literackiego i naukowego horyzontu każdego człowieka dzięki dokonywaniu tłómaczeń ze wszystkich języków na ten jeden wspólny, silniejsza cyrkulacya w sferze handlowéj itp. są to owoce, którym pożyteczności zaprzeczyć trudno.

Tymczasem, gdy jedni uznają tę ideę za *pium desiderium* ludzkości, inni natomiast zalecają dla stosunków międzynarodowych jeden z bardziéj rozpowszechnionych języków naturalnych, nakoniec inni jeszcze głosują za jakimś nowym *ad hoc* utworzonym. Dwie pierwsze kategorye drwią sobie z trzeciéj: wytykają palcami wyznawców „sztucznego żargonu“, śmieją się ironicznie wobec książki Schleyera lub broszurki Esperanta, bawią się nazwiskami „robicieli“ języków, gramatycznych sztukmistrzów, prawodawców „gwary“ powszechnéj. Z pierwszą kategoryą—ludzi „praktycznych“—rozprawiać nie warto: wszelkie niespełnione jeszcze marzenie nazywają oni mrzonką; lubią „przychodzić do gotowego“—i przyjdą! Natomiast zamierzamy usunąć uprzedzenia tych, którzy do pełnienia funkcyi języka międzynarodowego nie chcą dopuścić „indywidualnego fabrykatu“ i oświadczają się za używaniem w tym celu jednego z istniejących języków naturalnych.

Pomijamy ważny argument natury negatywnéj, mianowicie, że żaden naród nie pozwoli, aby międzynarodowym był obcy, a nie jego język; postaramy się pozytywnie dowieść, że języki sztuczne mają poniekąd wyższość nad naturalnemi.

Przy téj sposobności okażemy, że nowy język (d-ra Esperanto), który niedawno zjawił się w Warszawie, naszém zdaniém, posiada większą wartość praktyczną i teoretyczną niż rozgłośny Volapük Schleyera.

Od obietnic przechodzimy do rzeczy. Przestępujemy próg laboratoryum sztucznego języka. Nie będziemy nużyli czytelnika pedantycznym rozbiorem mnóstwa nasuwających się pytań, nie będziemy go wciągali w lingwistyczną głębię, pokażemy tylko na jakich zasadach wspiera się budowa języka sztucznego.

Weźmy np. kwestyą rodzajów: Dla czego „stół“ w języku naszym jest rodzaju męskiego, kiedy po francusku przybiera płeć żeńską (*la table*)? Dla czego polski „liść“ mógłby iść do ołtarza z francuską „la foliole”, kiedy znów w języku niemieckim, jako bezpłciowe „das Blatt“, musi zrzec się wszelkich matrymonialnych zamiarów? Dlaczego „das Band“ ma oznaczać wstążkę, a „der Band“— tom, „der Heide“ ma być poganinem, a „die Heide“ stepem; dlaczego rodzaj rozstrzyga tu między różnemi pojęciami o jednéj nazwie? Zkąd wreszcie taka nielogiczność, jak „das Weib“ (kobieta) w niemieckim, podczas gdy język francuski nie zna znów wcale rodzaju nijakiego?...

Wszystko to jest właśnie skutkiem nieświadomego tworzenia się języków; przyzwyczajenie stawało się sankcyą najwyższą. Zobaczmy teraz, jak sobie w danéj kwestyi postępuje z naturą sztuka, wsparta logiką oraz porównawczemi studyami nad językami naturalnemi. Twórca „świadomego“ języka zapytuje: po co ten dziwny chaos rodzajów? gdzie sens w tych sprzeczkach, czy „kometa“ jest męskiego, czy żeńskiego rodzaju? Rodzaj gramatyczny winien zależéć od płci. A przeto przedmioty martwe, uczucia, pojęcia abstrakcyjne itp. są z natury rodzaju nijakiego, samce—męskiego, samice—żeńskiego. A że istoty żyjącéj niepodobna zmieszać z przedmiotem martwym, uczuciem, abstrakcyą, więc cała kwestya rodzajów sprowadza się do odróżniania samców od samic. W języku polskim wyrazy: „ojciec i matka, syn i córka, kogut i kura“ od różnych pochodzą pierwiastków; lecz posiadamy za to cały szereg wyrazów o wspólnym źródłosłowie, które wskazują płéć odmiennemi zakończeniami, tak np. kot i kotka, osioł i oślica, kupiec i kupcowa itp. Daléj jeszcze są wyrazy, które obejmują obie płcie; do takich dla odróżnienia dodają się słowa: samiec i samica (np. kanarek, żaba etc.). Te trzy sposoby rozróżniania płci napotykamy prawie we wszystkich językach. Jakiż z nich jest najdogodniejszy, a przeto najodpowiedniejszy dla języka sztucznego. Oczywiście, że nie pierwszy, który obciąża pa-

nięć nowemi niepotrzebnemi pierwiastkami. Pozostaje tedy wybór między drugim i trzecim. Dr. Esperanto obrał drugi, Schleyer—trzeci. Schleyer wyrazy fat—ojciec, son—syn itp. poprzedza przystawką ji (=szi po ang. ona, zastępujące w języku angielskim w tym samym wypadku słowo samica) i tym sposobem otrzymujemy wyrazy: ji-fat—matka, ji-son—córka. Esperanto używa przyrostka *in*: amiko, amikino—przyjaciel, przyjaciółka, filo, filino—syn, córka, patrino—matka. Przyrostek *in* wzięto z języków żywych: podstoli—podstol*ina*, der Graf—die Gräfin (hrab*ina*), dziewcz*yna* itp. Oba te sposoby są dobre, naturze bynajmniéj nie przeczą, wprowadzają tylko pewną regularność gramatyczną, oraz ekonomią w słownictwie. Jeżeliby nas zapytano, który z tych sposobów jest lepszym, oświadczylibyśmy się raczéj za dobitném *in* niźli za Szleyerowskiem ji, mogącém ujść uwagi naszego ucha, jako wypowiadane przed wyrazem, do którego się stosuje. Istotna jednak wyższość Esperanta w danéj kwestyi polega na tém, że nie zmusza on nas do gramatycznego rozróżniania rodzaju nijakiego, identyfikując go jakoby z męskim. Tak np. u Schleyera fat sag*om* (ojciec mówi) i git sag*os* (prawo mówi); u Esperanta zaś: pato diras ilego diras. Rozróżnianie, jak sam przykład polskiego języka wskazuje, zupełnie zbyteczne; Schleyer wyraża się w danym razie: prawo, ono mówi. Dobitnie, nieprzeczymy, ale że to gramatyki nie ułatwia—rzecz widoczna.

Przerzucamy się do innéj kwestyi, zwracamy uwagę na złożone orzeczenia. Mówimy: „ten chłopiec jest dobry, ta dziewczyna jest dobra, to dziecko jest dobre.“ Ale wszakże w niemieckim przy każdym z tych rzeczowników mówimy: „ist gut“ przymiotnika nie zmieniając. Twórca języka, który w uproszczonéj gramatyce używa tylko najniezbędniejszych form, powié sobie: chcę wyrazić, że chłopiec, dziewczyna, dziecko, posiadają sumę tych właściwości, które nazywamy dobrocią, lecz czyż w każdym z danych wypadków dobroć się zmienia, raz staje się męską, drugi raz żeńską to znowu nijaką? Wszak nie! W saméj rzeczy tedy trzeba przyjąć tę regułę, któréj trzyma się język niemiecki, nie obawiając się wcale nie jasności. Toż samo rozumowanie stosuje się i wówczas, gdy przymiotnik użyty jest jako określenie (bona patro, bona patrino, gudik fat, gudik ji-fat), aczkolwiek w polskim i tu przymiotnik nagina się do rodzaju, a i niemiecki niekiedy przestaje być konsekwentnym (po *ein*). Lecz i tutaj gramatyka Esperanta łatwiejsza i konsekwentniejsza: dzięki artykułowéj deklinacyi, drugi i trzeci przypadek nie wymaga zmiany przymiotnika; u Schleyera przymiotnik przybiera zakończenia, — może ich jednak nie przybierać, gdy stoi za rzeczownikiem.

Obecnie, gdy czytelnik zrozumiał już niektóre wytyczne zasady „robicieli języków“, możemy szerzéj rozejrzéć się w etymologii. Przedewszystkiém jednak zwracamy uwagę czytelnika na mnóstwo form, zakończeń, t. z. nieprawidłowości w językach fleksyjnych: We francuskim języku np. według obliczenia Don Sinibalda de Mas, twórcy ideografii,—samych zakończeń dla czasów zwyczajnych 10-ciu prawidłowych koniugacyi jest 310, a 1755 dla 39 nieprawidłowych koniugacyi, 200 zaś dla słów posiłkowych, co razem stanowi 2265—ogromny balast dla pamięci. Podobnyż balast w językach niemieckim, angielskim, włoskim itp. Czém-że jest wobec tego nader szczupła ilość gramatycznych zakończeń w Volapüku i nieledwie że kilkanaście wszystkich w języku Esperanta!!...

Ze strony etymologii językom sztucznym zarzucają ich n i e f l e k s y j n o ś ć (tj. niezmienność źródłosłowów); uważają je za wytwór usiłowań, cofających mowę naszą wstecz, od najwyższego stopnia rozwoju językowego ku fazie niższéj, aglutynacyjnéj (1). Zarzut ten jednak traci na powadze wobec tego faktu, że znakomity lingwista Maks Müller nie przypisuje wielkiego znaczenia „drabinie językowéj“ Schlegla; przy różnicy morfologicznego ustroju dwóch rozmaitych języków dostrzega on niekiedy jedność fonetycznych procesów, któréj przypisuje ważniejsze znaczenie w klasyfikacyi języków; klasyfikuje on języki według danych geograficznych. Daléj, są lingwiści, którzy przyznają wyższość pewnym właściwościom języków aglutynacyjnych nad odpowiedniemi właściwościami języków fleksyjnych; języki aglutynacyjne są mniéj zawiłe pod względem budowy gramatycznéj: istnieje tu większa prawidłowość; przyrostki (sufiksy) mają stałe znaczenie etc. (2). Te właśnie najlepsze właściwości języków aglutynacyjnych przejęli językotwórcy, zważywszy, że fleksyjność jest właśnie najgłówniejszą przyczyną trudności języków aryjskich.

(1) Według językoznawców, język przechodzi przez trzy fazy: *monosylabiczną aglutynacyjną* i *fleksyjną*. Chiński język skamieniał na pierwszéj fazie: nie posiada on zakończeń dla części mowy, nie ma form dla wyrażania stosunków. Tak np, pojęcie „jadłem“ wyrażam przy pomocy trzech jednosylabowych słów: „ja jeść przedtém“; kamyk= dwóm wyrazom: „kamień dziecię“. Języki turańskie zatrzymały się na fazie aglutynacyjnéj: skupiają one (tj. łączą) różne części mowy z małą zmianą samogłosek. Najgiętsze atoli są języki fleksyjne (indoaryjskie i semickie) w których prócz właściwości pierwszych dwóch faz, zauważamy trzecią: zmianę samych źródłosłowców: tu najlżejsza zmiana nadaje inną treść wyrazowi.

(2) Właściwą wadę języków aglut. stanowi narastanie słów bez końca, a skutkiem tego ich niezmierna długość. Jako przykład weźmiemy z języka Esperanta wyraz: aptekarz—*sanilajisto*: składa się on ze źródł. san=zdrowie, przyrostków: il (sanilo—lekarstwo), j (saniluje—apteka) ist (=zajmujący się czémś) i końcówki gramatycznéj *o*.

Narody indo-aryjskie dzięki ustrojowi narządów głosowych, bądź dzięki innym przyczynom, tkwiącym w ich charakterze, były bardziéj od innych narodów skłonne do zmian fonetycznych, skutkiem których słowa coraz to inszą przybierały postać. Właściwie pierwszym impulsem do wprowadzenia zmiany źródłosłowów (fleksyi) była potrzeba rozróżnienia pojęć, dotąd wadliwie oznaczanych jednym wyrazem: przez zmianę źródłosłowu otrzymywało się nowy wyraz. Późniéj uczyniono toż samo i dla rozróżnienia form gramatycznych, a raczéj oznaczonych przez nie pojęć. Lecz zapytujemy, czy gdyby od *gehen* czas przeszły był *gehte* (a nie *ging*),—czy forma ta, utworzona prawidłowo, byłoby mniéj zrozumiałą. Bezwątpienia niejednokrotnie inne formy, utworzone prawidłowo, fonetycznie byłyby gorsze od dzisiejszych nieprawidłowych; dla tego to w biegu czasu uległy zmianie (od *leiden*—imperf. *litt.* a nie *leidte*). Lecz to nie może stosować się do języków sztucznych, które zbierają już owoce tego fonetycznego procesu, źródłosłowy, sufiksy i zakończenia dobierają oni tak, aby te, skupiając się, nie wymagały fonetycznych przemian (1). Pomyślne wywiązanie się z tego zadania stanowi właśnie zasługę Schleyera i Esperanta.

Gdyby ilość fleksyi stanowiła o wyższości języka, to najwyżéj należałoby chyba postawić język Basków, który posiada takie mnóstwo form koniugacyjnych, że skłoniło to aż księcia Ludw. Luc. Bonapartego do poświęcenia oddzielnéj monografii temu przedmiotowi (Le verbe Basque). Z drugiéj strony, i niezmienność źródłosłowów, nie przemawia na niekorzyść języków sztucznych, gdyż bądź co bądź, nawet w językach fleksyjnych, źródłowy, o ile na to pozwalają reguły fonetyczne, zachowują swoję pierwotną formę. Maks Müller z tego powodu mówi o jakiejś naturalnéj „sile źródłosłowów". Naszém zdaniem, właśnie nieznaczna ilość form, oraz niezmienność źródłosłowów, ułatwiając gramatykę i słownictwo języków sztucznych, stawiają je ponad językami Europy przy wyborze języka międzynarodowego. Pod tym względem Esperanto poszedł daléj, niż Schleyer; jego język stanowi poniekąd najwyższy stopień rozwoju języka aglutynacyjnego (2).

---

(1) Odmienność form: „módz, mogę, może, mógłbym"—jest koniecznością fonetyczną. Lecz formy: povi, povas, povis, povus (Esper.) nie wymagają żadnych zmian, a łatwiejsze są od koniugacyi łacińskiéj (posse), francuskiéj (pouvoir) etc.

(2) W razie przyjęcia się języka sztucznego Esperanta, prawdopodobną jest rzeczą, że pewne dłuższe słowa ulegną skróceniu za sankcyą jakiejś akademii (Volapük posiada już podobną akademią). W każdym razie chociażby wówczas język ten stał się nieco trudniejszym, to nie byłoby to dlań ze szkodą, wobec tego że wszedłby już w życie.

Poprzedzające wyjaśnienie rzuci pewne światło na kwestyą konjugacyi w języku sztucznym. Weźmy np. czas teraźniejszy słowa ruszać: ja rusz*am*, ty rusz*asz*, my rusza*my* itp. Zmieniamy tu końcówkę gramatyczną zależnie od tego, czy mówimy o osobie 1-széj, 2-giéj lub 3-éj, czy osoby téj używamy w liczbie pojedyńczéj, czy w mnogiéj. Ależ z punktu logicznego sam fakt ruchu pozostaje we wszystkich tych razach jakością niezmienną. Jeżeli przy zaimkach osobowych zaznaczymy jedynie istnienie jakiejś czynności obecne, przeszłe lub przyszłe, to najzupełniéj to nam wystarczy. Prawda, że istnienie osobowych końcówek pozwala nam pomijać zaimki (ruszam, ruszasz), co skraca mowę, ale że brak tych końcówek nie jest bynajmniéj czemś nie naturalném i niewygodném, dowodzi tego przykład rosyjskiego, (ja płakał, ty płakał, oni płakał). Prawidło to jednak zarzuca poniekąd i ten język, używając nowéj końcówki dla trzech osób liczby mnogiéj (my, wy, oni płakali—podobnie i w angielskim). Oczywista, że jasność myśli nie straciłaby nic, gdyby każdy czas posiadał tylko jedną końcówkę. Języki naturalne dopuszczają się nowéj niekonsekwencyi, oznaczając rodzaj w koniugacyi: ja płakał*em*, ja płakał*am*, on płakał, ona płakała. Że jest to najzupełniéj zbytecznėm, okazuje brak rodzajowych końcówek w tych-że językach w czasie teraźniejszym i przyszłym (on, ona—płacze; on, ona—zobaczy). Czynność jest niezależną od płci, niezmienną; dość tedy, gdy płeć wyrazimy w osobie trzeciéj przez *zaimki*: on i ona; zaznaczanie zaś płci w osobie pierwszéj i drugiéj (ja, ty), jest zgoła zbytecznėm, gdyż płeć tych osób, jako, że tak powiemy, obecnych przy rozmowie, rzuca się w oczy.

Wyszedłszy z przedstawionych założeń, Esperanto dla trzech czasów: teraźniejszego, przeszłego i przyszłego, daje trzy tylko końcówki: *as*, *is*, *os*; zaimek osobowy wskazuje zawsze osobę. Oto koniugacya słowa vidi—widziéć.

Sing.	Mi	vidas, vidís, vidos.
	Vi	
	Li (ŝi-ona)	
Plur.	Ni	
	Vi	
	Ili	

Natomiast Schleyer czyni uwagę, że końcówka osobowa częstokroć jest właśnie zaimkiem (*my* rusza*my*); jest to właściwie prawem w językach aglutynacyjnych (tatarskie: *men* ata*men*—ja strzelam). Idąc w ślad tego prawa, (a zresztą może samodzielnie wpadłszy na tę myśl), Schleyer zamiast końcówek używa wszędzie zaimków osobowych. Słowa löfön—kochać ma czas teraźniejszy w liczbie

pojed. löf-*ob*, löf-*ol*, löf-*om* (masc.). Liczba mnoga löf-*obs*, löf-*ols*, löf-oms, löf-ofs (1). Dla oznaczenia tedy czasu przeszłego i przyszłego, aby nie naruszyć końcówek używa on przybranek (na wzór greckiego augmentum). Imperf. przybiera ä (älöfol), perf.—e, plusquamp.—i, futur. prim.—o, futur. sec. u. Tu Schleyer odstąpił od ekonomii gramatycznéj, dał się pociągnąć wzorom germańsko-romańskim. Tymczasem urodzony na glebie słowiańskiéj *Lingvo Internacia*, na wzór języków słowiańskich, mniéj posiada czasów, ze względu na to, *że* cieniowanie ich nie jest zawsze konieczném, gdyż wiele tu mówi logika; dla odróżnienia zaś w koniecznych wypadkach ciągłości czynności, lub téż dokonania jéj w czasie przeszłym lub przyszłym, używa się tu przyrostka ad—w pierwszym razie, w drugim zaś przybranki ek: vid*ad*is—widywałem, *ek*vidis—zobaczyłem, *ek*vidos—zobaczę. Jeżeli tedy konjugacya u Schleyera jest bardziéj matematycznie zbudowaną, to konjugacya Esperanta jest łatwiejszą.

W „Volapüku" przybranki e i ä trudne są do odróżniania dla Słowian; końcówki al, ol, om, of, ok (zaimek zwrotny się), os (ono), i on (francus. vous) dopuszczają łatwe wylanie się w mowie i na piśmie. Zbyteczne bogactwo téj konjugacyi również jest wadą; na cóż np. istnieje forma aoristu (äilöfol—kocham stale)?! Gdybyśmy nie bali się utrudzić czytelnika, przeprowadzilibyśmy dalszą paralelę, z któréj okazałoby się, że Esperanto ciągle trzyma się tychże samych prawideł (np. w imiesłowach), gdy tymczasem Schleyer, pragnąc mieć wszystkie formy w swoim języku, dopuszcza się dziwolągów, nie dających się łatwo zrozumiéć przy prędkiéj mowie (löfol-li-la-nó = mogęż nie kochać?). Następnie Schleyer jest wielokrotnie nienaturalnym: całą bierną stronę formuje on przez dodanie *pa* (pierwszą sylabę słowa *pa*ssivum), przechodzącego w imperf. w *pä*, w perf. w *pe*, w fut. (1 i 2) w *pu* i *pi*.

Zakończymy nasz rozbiór gramatyki obu języków rozbiorem deklinacyi. Schleyer formuje takową przez dodanie kolejnych samogłosek do źródłosłowu: fat (ojciec), fata, fate, fati; liczba mnoga przybiera spółgłoskę s: fats, fatas, fates, fatis. Deklinacya Esperanta mniéj sztuczna, ale téż i mniéj konsekwentna, niźli u Schleyera: 2-gi i 3-ci przypadek naśladuje artykułową konjugacyą włoską, 4-ty kończy się na n: patro, de patro, al patro, patron; liczba mnoga przyjmuje j: patroj, de patroj, al patroj, patrojn. Narzędnik (6-ty przypadek) w obydwóch językach wyraża się przy pomocy przedimka: u Esp. kun, w Volap.—sa, ko ke.

---

(1) Akcent na ostatniéj sylabie.

Porównywając konjugacyą i deklinacyą obu języków sztucznych z odpowiedniemi formami w językach naturalnych, będziemy musieli się zgodzić, że gramatyka Volapüku i Lingvo jest o wiele łatwiejszą, niż jakakolwiek inna; w językach naturalnych bowiem istnieje zawsze prócz massy wyjątków po kilka wzorów deklinacyi i konjugacyi.

Po etymologii, która jest szkieletem języka, należałoby przejść do słownictwa, lecz rozbiór jego zmuszeni jesteśmy poprzedzić rozbiorem innéj kwestyi: fonetyki języka sztucznego; zanim bowiem poznamy słowa, musimy poznać składowe ich dźwięki.

Z téj strony właśnie padają najsilniejsze razy na ideę języka powszechnego. Krytycy wskazują olbrzymią różnorodność głosowych narządów ludzkości; przegląd języków naszéj kuli poucza, że niektóre (większa część języków australijskich) składają się zaledwie z 8-miu dźwięków; wielu narodom brak takich dźwięków, jak r, k, t, m, d, f...

A że bogactwo naszych pojęć nie da się wyrazić za pomocą jedynie 8-miu dźwięków, okazuje się tedy, że idea języka wspólnego całemu światu jest mrzonką, nie możebną do urzeczywistnienia; nazwa Volapük (język świata), nadana przez Schleyera, bynajmniéj nie jest ścisłą.

Czyż jednak obniża się skutkiem tego znaczenie popieranéj przez nas idei? Naszém zdaniem, gdyby sama tylko Europa posiadała jeden język dla stosunków międzynarodowych (1), byłoby to już bardzo wiele. Stosunki z Polinezyjczykami, piłującymi sobie zęby i skutkiem tego tracącymi zdolność wymawiania wielu dźwięków, bynajmniéj się nam nie uśmiechają.

Ale, zdaniem niektórych krytyków, nawet sama Europa nie może posiadać jednego wspólnego języka. gdyż ma temu przeszkadzać różnica narządów głosowych Anglika, Francuza, Polaka etc. Oczywiście ci, co tak mówią, zapominają, że już dziś uczymy się najróżnorodniejszych języków mimo ich odmiennéj fonetyki. Polak przy pewnym wysiłku nabyć może wymowy angielskiéj, przynajmniéj do tyla, aby być zrozumianym; Niemiec potrafi mówić po polsku, mimo naszego „nieszczęsnego“ ł.

---

(1) Niektórzy uważają ideę języka powszechnego za szkodliwą ze względu na to, że język taki mógłby usunąć na drugi plan język ojczysty, a z czasem i zastąpić go. Są to obawy próżne. Żaden naród w domowém swojém życiu nie wyrzeknie się nigdy własnego języka; nawet wyrzec się nie może, jak nie może zrzec się swojego charakteru, obyczajów etc., słowem swojéj natury.

Jeżeli tedy zjawia się człowiek, który za podstawę fonetyki sztucznego języka przyjmuje wykluczenie pewnych dźwięków indywidualno-narodowych (np. polskiego ł, ang. th), toć przecie człowiek taki tylko zwiększa możność porozumienia się ludów. Języki Esperanta i Schleyera dlatego właśnie mają wyższość nad językami żywemi w zastosowaniu do stosunków międzynarodowych, że obydwaj twórcy nie użyli ani jednego dźwięku, którego nie mogłyby wymówić jakiekolwiek europejskie usta. Schleyer jednak nie jest tutaj bez grzechu: użyte przez niego e, ä ö, aczkolwiek wymawialne dla Słowian, wymagają od nich pewnego wysiłku w rozmowie; również i słuch Słowianina odróżnia je z trudnością, co może być powodem nieporozumień, zwłaszcza że zgłoski te grają ważną rolę w gramatyce (imperf. przybiera ä, perf. e). Z drugiéj strony, Słowianie z trudnością rozróżnią w rozmowie podobnie brzmiące słowa, zakończone na *d* i *t*, *g* i *k*, *b* i *p*: läd, lät, led, let, lab, lap, mak, mag i t. p.

Widzimy tedy jak mało uwzględnił Słowian ten sam Schleyer, który z godną największego podziwu pracą przerabiał każde słowo germańskie, ażeby uprzystępnić swój język dla jaknajwiększéj liczby ludów: r zmieniał na l, gdyż Chińczycy r nie wymawiają; starannie unikał zbiegu trzech lub dwóch spółgłosek, nie istniejącego u wielu ludów etc.

Stronnicy Volapüku, opierając się na tém ostatniém, dowodzić będą, że język Schleyera ma większe szanse przyjęcia się na całym świecie, niż język Esperanta. Naszém zdaniem, twierdzenie to jest mylne. Przedewszystkiém zauważymy, że sam Schleyer zaszedł nie bardzo daleko w kierunku fonetycznego ułatwiania swojego języka; musiał i on przyjąć pewne granice, inaczéj przyszłoby mu utworzyć język z 8-miu dźwięków, język odpowiedni tylko dla najniższego szczeblu rozwoju ludzkości. Użył on mnóstwa dźwięków niewymawialnych dla wielu ludów; nawet r nie wyrugował zupełnie; zapomniał, że Arabowie nie wymawiają p, Finnowie i Mongoły—f; zapomniał, że Japończycy odwrotnie, niż Chińczycy, zamiast l używają r; zapomniał, że téż same ludy, które nie znoszą zbiegu dwóch spółgłosek, nie zniosą również zakończonych spółgłoską słów Volapüku (1).

Zapomniał wiele, a jednak, naszém zdaniem, jeszcze za wiele pamiętał! Sądzimy, że niepotrzebnie czerpał on ze swojéj głębokiéj wiedzy lingwistycznéj, niepotrzebnie opracował wiele szczegółów, gdyż kierujący się raczéj zmysłem praktycznym Esperanto,

(1) Kafrowie np. angielskie kirk przerobili na ikerike.

mimo mniejszéj wiedzy i mniejszego opracowania, jednakowe ze Schleyerem szanse posiada nawet po za granicami Europy, nawet u Chińczyków, o których tak dbał Schleyer. Nie jest to paradoks, jest to przypuszczenie oparte na danych naukowych, a pobijające przeciwników idei powszechnego (1) języka.

Oto co pisze Maks Müller w swojéj „Nauce o języku“: „Ja sam widziałem Mohawka z łatwością wymawiającego dźwięki wargowe; nauczył się on tego, czego nie potrafi żaden z jego ziomków. Praktyka przyzwyczai i Hawajczyka do wymawiania dźwięków *k* i *t*, obecnie zastępowanych jakimś środkowym między *k* i *t* dźwiękiem.“

Faktem jest daléj, że Finnowie nauczyli się z czasem wymawiać kilka skupionych spółgłosek: *pr*, *sp*, *str*, dzięki stosunkom z ludami aryjskiemi. Słowianie dawniejsi nie potrafili zapewnie wymawiać dźwięku *f*, gdyż takowy nie spotyka się w żadnym czysto słowiańskim wyrazie. Tak więc narządy głosowe mogą się zmieniać, przystosowywać. Więcéj jeszcze powiemy: uczeni zbyt pochopnie uważają alfabet za miarę wymawianych przez naród dźwięków; sądząc z abecadła, nam, Polakom, możnaby odmówić możności wymawiania takich dźwięków, jak *sz*, *cz*, które w abecadle czeskiém i rosyjskiém mają osobne znaki. Niemiec, nie posiadający w rodzinnym języku *ś* i *ć*, z łatwością je wymawia; przy pewnym wysiłku wymówi nawet *ł*.

Przyswajając sobie nowy język, uczymy się nowych dźwięków. Przypuśćmy jednak, że Chińczyk żadną miarą nie wymówi *r*, że zastąpi je zawsze dźwiękiem *l*. Lecz czyliż to nie rozumiemy naszych dzieci, gdy zamiast „robak“, mówią „lobak.“ Porozumieniu się z ludźmi nie przeszkadzają bynajmniéj takie idyosynkracye, jak zamiana *k* na *t*, lub *l* na *r*. Z pierwszém tedy śmiało spotkamy się u Hawajczyka, z drugiém u Chińczyka. Dzisiejsi Chińczycy uczą się angielskiego języka mimo jego fonetycznych trudności; nauczą się tedy i języka Esperanta, który w fonetyce uwzględnił tylko Europę: nauczą się go, jeżeli stanie się on językiem Europy; krótka praca sowicie się im wówczas opłaci.

Ze strony fonetyki inny jeszcze stawiają zarzut językowi powszechnemu. Krytycy twierdzą, że jeżeli nawet przyjmie się taki język, to z czasem musi się zindywidualizować; w ludzkości bowiem istnieje pod tym względem pewna siła różniczkowania: indo-aryjskie języki rozbiegły się z jednego pnia; każdy język rozpada się na kilka dyalektów....

---

(1) Zwracamy uwagę czytelnika, że słowa „powszechny“ używamy nie ściśle, nadając mu zawsze pewne granice, tak np. wykluczamy Polinezyjczyków,

Zarzut ten nie wytrzymuje krytyki. Języki aryjskie kształciły się w epoce koczowania ludów; każdy z tych ludów wziął ze wspólnéj kolebki tylko podstawy przyszłéj swojéj mowy, bardzo mało jeszcze wyrobioną naówczas; późniéj, po osiedleniu narodów, języki aryjskie oddalały się coraz bardziéj od wspólnego źródła a indywidualne przyjmowały cechy tylko pod wpływem tego, że nie było wówczas dzisiejszych środków komunikacyi oraz stosunków międzynarodowych. Lecz dziś, gdy dzięki kolejom i telegrafom krańce świata zbliżyły się ku sobie, zmiany podobne nie mogą zajść tak łatwo. Kontrolującym czynnikiem może być tu z czasem jakaś akademia, jeżeli nie wystarczy sama literatura, która zawsze pewną jedność utrzymywać będzie (1).

Napróżno także obawiają się niektórzy, że każdy naród zastosuje do nowego języka swoje prawa fonetyczne (2), swoje idyosynkrazye, że jeden słowa skróci, a drugi przedłuży, jeden będzie dodawał dźwięki, a drugi je wyrzucał. Narody postępowały tak, ale tylko w granicach własnego języka, urabiającego się nieświadomie. Lecz któż słyszał, aby Polak, nauczywszy się języka niemieckiego, przerabiał go według praw mowy rodzinnéj? Czyliż wygodny Anglik, lubiący krótkość, nie mówi po francusku „histoire“, chociaż po swojemu wyraża się „story“? Czyż Francuz dodaje do łacińskiego „sperare“—*e* dla tego, że łatwiéj mu wymówić „esperer“; czyż od krótkiego „père“ nie wraca do bardziéj nużącego „pater“, ucząc się łaciny? Jeśli indywidualne i trudne języki: angielski i francuski, są dzisiaj po części językami „konwersacyi międzynarodowéj“, to i język sztuczny z czasem może posłużyć w tym celu, a dzięki ułatwionéj fonetyce najbardziéj się do tego nadaje (3).

Przechodzę do najważniejszéj części, do słownictwa i na tém polu właśnie najdowodniéj okażę, jak znaczną przewagę mają języki sztuczne nad naturalnemi pod względem pamięciowym; zauważyć jednak należy, że słowa: „języki sztuczne“ użyte są tutaj bardziéj *in abstracto*, oraz w zastosowaniu do języka Esperanta.

---

(1) Prawda, że Anglicy, Francuzi, Polacy etc. po swojemu czytają łacinę, ale dzieje się tak tylko dla tego, że nikt napewno nie wié, jak czytali istotnie Rzymianie. Inaczéj ma się rzecz z językiem żywym. A choćby nawet czytanie i wymowa zindywidualizowały się, to już istnienie jednego powszechnego pisma nie jest rzeczą drobną, a że to możebne, widzimy to chociażby ze wspólnéj ideografii mnóstwa azyatyckich narodowości.

(2) Według prawa Grimma, tam gdzie Grek używał kh (χ), tam Got wymawiał g, a starożytni Germanowie k i t. p.

(3) Jeżeli sądząc z powyższego rozbioru, Volapük pod tym względem może liczyć na szersze poparcie po za granicami Europy, to „Lingvo Internacia“—naszém zdaniem—posiada większe szanse na gruncie europejskim, między narodami słowiańskiemi.

Schleyer bowiem na tém polu grube poczynił błędy, a są one tylko konsekwentnym wynikiem jego poglądów na fonetykę języka „powszechnego.“

Słownik jego wprawdzie posiada tylko 2600 wyrazów,—liczba nader mała w porównaniu z olbrzymiém mnóstwem słów każdego z języków cywilizowanych; nie ma w nim chaotyczności źródłosłowów, wyrażających pojęcia jednoznaczne, jak to się dzieje w językach żywych; nie ma utrudniających naukę fleksyi, ani mnóstwa zakończeń gramatycznych; nie ma niestałości w sufiksach ani zbytecznéj ich różnorodności; nie ma całego szeregu dwuznaczności (1), napotykanych w językach naturalnych. Usunięcie tych wszystkich „nie ma“ jest podstawą słownictwa języków sztucznych, ale nie dość, że Schleyer pod tym względem dał się prześcignąć dr. Esperanto (jak obaczymy niżéj), — popadł on w inny błąd: wprowadził do swego słownika mnóstwo słów jednozgłoskowych, podobnie brzmiących, niecharakterystycznych, które poprostu „wykuć“ potrzeba. Oto drobna garstka przykładów: nad—igła, nag—potém, näg—blizko, net—naród, nek—nigdy, nög--jajko, nök—wuj, nog—jeszcze, not—wieść, nöt—orzech i t. p. W obec tego najmniejsza zmyłka w piśmie, lub w mowie może zatrzéć myśl całego zdania. Jak tu odróżnić num—liczba i nüm—numer, mid—mięso na ciele i mit—mięso na pokarm?

Inny błąd Schleyera polega na tém, że prawie całkowicie rozerwał łączność między swym językiem, a językami romańskiemi i germańskiemi. Pomimo że te ostatnie (najgłówniéj zaś angielski) obrał sobie za podstawę przy tworzeniu słownika, to jednak nawet zdolny lingwista, znający dobrze języki europejskie, nie zdoła zrozumiéć bez słownika ani urywku, napisanego Volapükiem. Kto w „gat“ odkryje garten, w „döl“—idea, w „mot“—matka? Napróżno będziemy się domyślali w słowie: globik—„okrągły“, oznacza ono bowiem „gruby“; wyraz „klugik“, który przypomni nam niemieckie „klug“ (mądry), oznacza „krzywy“; „monitön“, podobne do „monitować“, tłómaczy się przez „jeździć konno“.

Czemu to nienawidziéć, franc. haïr, angiel. to hat, niemieckie hassen, w Volapüku brzmi „cetön“? Czemu łacińskie „facilis“—lekki, jako „fikulik“—oznacza „ciężki“?

---

(1) W słowniku francuskim spotykamy np. wyrazy: *ver* — robak, *vers* — wiersz *verre*—szklanka, *vert*—zielony, *vair*—miech (rozmaite słowa o jednakowém brzmieniu); w niemieckim: *leiten*—prowadzić, *lauten*—dźwięczą, *Leuten*—ludziom. Franc. *bas*=nizki, dolna część, nizko, pończocha.

Ale największém dziwactwem Volapüku jest przekręcanie źródłosłowów i całych wyrazów, wspólnych wielu narodom, a przeto z natury swojéj „powszechnych“: matematyka—gletav, minister—dünal (przy dünel—sługa), ewangelia—gospel, Afryka—Fikop, Irlandya—Kilän. Wszystkie nazwy miejsc i narodów zmienione do niepoznania. Nawet naukowe terminy nie są wzięte, jakby należało z łaciny, ale utworzone samodzielnie: miedź—„koped“ nosi prócz tego chemiczną nazwę „kupin“, srebro—„silef“, chemicznie—„silin“! Człowiekowi, nieobeznanemu z zasadami fonetycznemi, na których opierał się Schleyer (unikanie litery *r*, zbiegu spółgłosek i t. p.), wyda się, że to jakiś szał przekręcania ogarnął autora Volapüku, że staraniem jego było właśnie jaknajwiększe obciążenie pamięci uczniów. Nie dziw téż, że (pominąwszy uczonych i entuzyastów, oraz najbardziéj obecnie zainteresowanych w téj sprawie kupców), słownik Volapüku, pełny dziwolągów, nieharmonijny, wszystkim zarówno obcy, spotyka w szerszych kołach społeczeństwa szyderstwo i chłód. Schleyer sam zabił praktyczną wartość swego słownika! Ważniejszy jednak zarzut polega na tém, że nie trzymał się on stale, przy tworzeniu wyrazów, pewnych wytycznych zasad, odkrytych przez lingwistykę (1); stosował je, lecz dowolnie (2). W obec tego upada i naukowa wartość „Volapüku“, o którą Schleyer dbał przedewszystkiém i na którą powołują się jego zwolennicy.

Naukowym nie można téż nazwać słownika dra Esperanto; jest to mieszanina wyrazów romańskich i germańskich, przy wyborze których autor kierował się głównie pewném „poczuciem“ odpowiedniości, lub nieodpowiedniości danego wyrazu: jego dźwięcznością i zdolnością do naginania się w kierunku etymologicznych reguł „Lingvo Internacia“. Powtóre, starał się on do pewnego stopnia „skokietować“ dla swego języka narody zachodniéj Europy: trochę wziął z francuskiego, trochę z niemieckiego, trochę z angielskiego; język jego, dzięki niektórym zakończeniom (np. *o*), oraz częstemu zbiegowi spółgłosek *r*, *n*, *s* i *t* najbardziéj przypomina włoski; niektóre słowa, zda się, wprost pochodzą z włoskiego (na włoskim

---

(1) Jeżeli Chińczycy słowo Chrystus (Kristus) przekręcili na Ke-li-sse-tu, to „imperator“ zastąpiliby czémś w rodzaju „imepela“ (od źródłosłowa imper), lub téż przez ipatola (dźwiękowe zepsucie wyrazu „i(m)p(er)ator“, z dodaniem ułatwiającéj wymowy samogłoski na końcu). Schleyer bezzasadnie imperator zastąpił przez „limep“ (imper = impel; ztąd limpe (?); dla uniknięcia zbiegu spółgłosek: limep). Wogóle odrzuca on spółgłoski, przestawia je, lub przenosi na początek wyrazu, według kaprysu.

(2) Wogóle Schleyer nadużywa analogii: zendel—południe, więc vendel— wieczór. Liczebniki: jeden, dwa, trzy etc. zastępuje wymyślonemi przez siebie: bal, tel, kil. fol etc.

wzorowaną jest i deklinacya); wiele słów wzięto z łacińskiego, nie oglądając się na ich późniejsze przeobrażenia w językach romańskich. Zapożyczania się u łaciny uważamy za słuszne, gdyż łacina była niegdyś międzynarodowym językiem cywilizowanych klas społeczeństw, a i dzisiaj, z jednéj strony, jest poniekąd językiem nauki, z drugiéj strony, w klasycznym systemie wychowania cieszy się pewném rozpowszechnieniem śród uczącéj się młodzieży europejskiéj. Zapożyczanie się zaś Esperanta u różnych języków żywych ma także praktyczną doniosłość, gdyż słownik jego w pewnéj części przemówi po swojsku do każdego narodu i może zachęcić go do przyjęcia „Lingvo internacia" (1). Szkoda tylko, że Esperanto nie osiągnął całkowicie celu swoich starań, aby i „wilk był syty i owca cała": ponieważ bowiem romański pierwiastek został najbardziéj uwzględniony, zachodzi tedy obawa, że zawistny germański wilk (vide: pruski) poczuje się nasyconym za mało. Z tém wszystkiém jednak, słownik Esperanta, pomimo że z natury swéj jest zlepkiem, stanowi pewną całość, dzięki wcale umiejętnemu doborowi wyrazów; nie razi sztucznością, jak obcy wszystkim zarówno słownik Volapüku; dla człowieka, znającego cokolwiek język francuski i niemiecki, lub angielski, jest kompletnie zrozumiałym; harmonijnością swoją robi miłe wrażenie (2), co w danym razie nie jest rzeczą drobną. Widzimy tedy, że posiada on wielkie znaczenie praktyczne (3).

---

(1) Pewną zręczność okazuje Esperanto, dobierając te źródłosłowy, które brzmią podobnie we wszystkich aryjskich językach. Jego „strato" — ulica (pochodzące z łacińskiego stratum), wyda się przekręceniem swojskiego słowa zarówno Anglikowi (street), Włochowi (strada) i Niemcowi (Strasse). Garden (dżarden — ogród) pisownią swoją przypomina jednoznaczne słowo angielskie i niemieckie, dźwiękiem francuzkie. Z języków słowiańskich wzięto parę wyrazów.

(2) Dla porównania przytoczymy tu dwa urywki: jeden z „Volapüku," drugi z „Lingvo Internacia." *Volapük* (przypominamy, że akcent leży zawsze na ostatniéj sylabie): „ämekom klebön su yani doma oma zöti sukōl: „Cems pernöbōl poföködutoms!" — *Lingvo Internacia* (akcent na przedostatniej sylabie): „Je la komenco Dio kreis la teron kaj la czielon. Kaj la tero estis senforma kaj dezerta, etc."

(3) Prawdziwie naukowy słownik języka sztucznego powinienby się opierać na wspólnych europejskim językom źródłosłowach aryjskich. Ale dwa względy stoją tutaj na przeszkodzie: 1) Słownik taki, jako niezrozumiały ogólnie (czas na różnych miejscowościach rozmaicie pozmieniał te źródłosłowy), nie miałby znaczenia praktycznego, byłby równie obcym jak „Volapük"; 2) fundament aryjski nie ustrzegłby bynajmniéj twórcy takiego słownika od dowolności; z jednéj strony bowiem źródłosłowy aryjskie, jako składające się przeważnie ze spółgłosek, dozwalałaby na dopełnienie samogłoskowe wedle kaprysu twórcy; z drugiej strony, do woli jego pozostawałoby pójść w dalszych zmianach źródłosłowów aryjskich bądź drogą Greków, bądź Gotów, bądź starożytnych Germanów, a późniéj jakiegokolwiek z języków romańskich. Przyłącza się tu jeszcze ta okoliczność,

Ale nie na tém kończy się praktyczna wartość słownika Esperanta i tutaj dopiero zaczyna się jego wartość poniekąd naukowa. Odpowiednio do 2600 słów (1) Volapüku, Lingvo internacia posiada ich tylko 900 (2)! Napozór wydaje się nie prawdopodobném, aby ta drobna liczba mogła zastąpić chociażby w połowie bogaty zapas wyrazów w językach żywych. Jednakże bliższe rozejrzenie się w słowniku Esperanta zmusza nas wyznać, że autorowi udało się to w znacznéj części. Odszukał on główne twórcze źródłosłowy, z których na mocy końcówek gramatycznych i umiejętnie dobranych przyrostków i przystawek (nagłosów), naśladujących częstokroć wcale dobrze naturę, łatwych do zapamiętania i utworzonych tak, aby w zespoleniu ze źródłosłowami nie wymagały zmian fonetycznych,—można uformować kilka tysięcy słów (3). Jest-to poniekąd urzeczywistnienie myśli Leibnitza, który o czeém podobném marzył w „De arte combinatoria". Zbyt wiele czasu zabrałoby nam szczegółowe dowodzenie wyrażonéj tu myśli; ciekawych tedy odsyłamy do źródła (4); tu zaś poprzestaniemy na kilku przykładach. Kierując

że źródłosłowy aryjskie są nader ekspansywne w swoich znaczeniach i mają one prawie zawsze po kilka znaczeń, upodobnionych do siebie za pomocą metafory (źródłosł. „mra"— od którego pochodzą słowa: „śmierć, mord" ma pierwotne znaczenie: trzéć, mléć — ztąd ścierać w proch nieprzyjaciół, uśmiercać). Zresztą pierwotne znaczenia niektórych aryjskich źródłosłowów nie są nam znane.

(1) Jeżeli zważymy, że przeciętny człowiek używa zaledwie 3—4,000 słów, to okaże się, że Schleyer nie ulżył tak znacznie pamięciowej pracy swoim zwolennikom.

(2) Rozumie się, że w téj liczbie brak wielu mniéj używanych słów. Schleyer dopełnia ciągle swój słownik. Jeżeli dr. Esperanto nie chce, aby język jego był tylko praktyczną próbką, winien on wstąpić w ślady swego poprzednika i spełnić obietnicę wydania kompletnego słownika, o czém wspomina w swéj broszurce.

(3) W językach naturalnych przyrostki nie mają stałego znaczenia, bywają nader różnorodne, a częstokroć na ich miejscu spotykamy nowe źródłosłowy, skutkiem czego pamięć uczącego się nie może znaleźć kierowniczéj nici i mocno jest obciążoną. „Sze*wc*, kuch*arz*, naucz*yciel*," jako nazwy ludzi zajmujących się pewnym fachem, w języku Esperanta wyrażają się słowami pochodzącemi od wyrazów: „but, gotować uczyć," przy pomocy przyrostka ist (=zajmujący się czemś)=botisto, kuiristo, instruisto... Suffiks *ist* naśladuje języki żywe (okul*ist*a). O przyrostku *in* mówiliśmy wyżej. W języku polskim przy słowie „latać" mamy wyraz „skrzydło"; u Esper. flugilo od flugi, gdyż „il" oznacza narzędzie pewnej czynności (kudrilo—igła, od kudri—szyć). Podczas gdy Esperanto umieścił w słowniku z objaśnieniem znaczenia pewną ilość przyrostków, a tym sposobem za podstawę wzbogacenia słownictwa przyjął logikę ludzką (dar kombinacyjny), Schleyer oparł się raczej na pamięci. W „Volapüku" przyrostków mniej (ztąd znacznie więcej źródłosłowów), nie są one tak niezmiennie, logicznie stosowane tak, pozend*el* (południe) przy „el" [=zajmujący się czemś]. Jest to *gruby błąd*.

(4) „Język międzynarodowy" d-ra Esperanto. „Przedmowa i podręcznik kompletny." Napróżno autor broszurkę swoję nazywa podręcznikiem kompletnym. Dla przeciętnego czytelnika nie jest ona wystarczającą; potrzebuje on przykładów, aby mógł nabyć wprawy w tworzeniu słów. Nie wystarcza podręcznik ten tem bardziéj, że nie poruszo-

się zasadami dra Esperanta, z pierwiastku „mort“ otrzymujemy następujące wyrazy: morto—śmierć, morta—martwy, morti—umierać, mortigi—zabijać, mortidżi—zabijać się, morteco—śmiertelność, mortigisto—kat, mortulo—trup, mortula—trupi, mortulujo—grób etc. Za dobrą stronę słownika uważamy jego giętkość znacznie wyższą niż w Volapüku Schleyera: z każdego wyrazu przez dodanie odpowiedniéj końcówki otrzymać możemy rzeczownik (końc. o), przymiotnik (końc. a), słowo (końc. i) itp.; imiesłów łatwo przechodzi w słowo rzeczowne; słowo czynne w bierne i naodwrót (przez dodanie ig lub idż); pojęcie konkretne zmienia się w abstrakcyjne (przez dodanie ec) itp. Dzięki temu systemowi można tu formować neologizmy, wyrażające pojęcia określone, i nawet w językach żyjących nieposiadające odpowiednich słów [na wzór rideti—uśmiechać się], otrzymujemy wyraz ŝanĝeti (= szandżeti)—zlekka zmieniać się; ridegi—śmiać się głośno, tubalnie (1); przy malaudanta—głuchy (źle słyszący) mamy malaudanto (rzeczownik). Synonimika, ta Achillesowa pięta języków sztucznych, u Esperanta stosunkowo dość jest rozwinięta: doktoro=saniganto=sanigisto=kuracanto=kuracisto. Najważniejszy zarzut, jaki spotka tego rodzaju system tworzenia słów polega na tém, że ciągłe powtarzanie się jednych i tych samych przyrostków i nagłosów czyni język monotonnym, pozostawia w nim szwy po gabinetowéj robocie.

W każdym jednak razie słownikowi dra Esperanta musimy oddać pierwszeństwo przed słownikiem Schleyera. Ludziom wykształconym pod względem językowym jest on prawie całkiem znany; nie znającym francuskiego i włoskiego daje jakoby wstępne wiadomości; zmuszając do kombinowania wyrazów ze źródłosłowów i odpowiednich przyrostków, stanowić może pożyteczne ćwiczenie logiczne dla młodzieży. Tymczasem Volapük, wprowadzony w gimnazyum Monachijskiém, wobec nie usunięcia nauki innych języków, stał się tylko jednym więcéj przedmiotem i obciążył młode główki, co wcale nie było zamiarem Schleyera.

Nie najmniejszy sęk w rozbieranéj przez nas kwestyi porozumienia się ludów, stanowią składnia i stylistyka. Rozmaite ludy nader odrębnie wyrażają swoje myśli, mają one swoje metafory, zwro-

---

no w nim i nie wyjaśniono *wielu* kwestyj. (Co znaczy „um“? W jakim porządku należy dodawać przyrostki, jeżeli ich kilka się podaje, etc.).

(1) Sufiksy eg — dla odznaczenia wzmocnienia i et — osłabienia (zmniejszenia), są wybornie pomyślane: mano — ręka, manego — łapa, maneto — rączka, manegeto — łapka, maneteto — rączynka. Natomiast mal dla wyrażenia kontrastu razi swojém dziwactwem: malseka — mokry (? źle suchy?). Sufiksy „uj“ i „ej“ zbyt podobne, co może być powodem pomyłek.

ty, których niepodobna tłómaczyć wprost na Volapük lub „język międzynarodowy“, jeżeli chce się być zrozumianym przez wszystkich. Otóż na teraz oba języki wymagają jak najprostszego wyrażania swoich myśli, zupełnéj odpowiedniości między myślą a słowem, bacznego przestrzegania, aby do mowy nie przedarł się jakiś idyotyzm językowy (1). Bezwarunkowo jest to krępującym warunkiem, ale należy pamiętać, że jest to warunek niestały, który z czasem ustąpić musi. Wierzymy, że wobec jednorodności logiki ludzkiéj uda się wycisnąć kwintesencyą wspólnéj składni i stylistyki, jak to się udało z etymologią: należy tylko wykluczyć wszystko co zawilsze, trudniejsze, mniéj logiczne, jako utworzone świadomie i dowolnie (2). Wobec tego, że język Schleyera wyrabia już praktyka w tym kierunku, od dra Esperanta sama jego sprawa wymagałaby podania wskazówek w kwestyi składni i stylistyki. Co do składni, to sądzimy, że wzorować by ją należało na łacinie, oraz na prostszych pod tym względem, niż zachodnie, językach słowiańskich: z przykładów podanych przez Esperanta uważamy już pewien ruch w tym kierunku (np. Ĉu (czy) zamiast wyrażania pytań na wzór niemieckiego lub francuskiego przestawiania zaimka na drugie miejsce, za słowem). Kwestya ta tedy może być szczęśliwie rozwiązaną; toć nawet jeżeliby język powszechny posiadł z czasem swoję własną składnię, to nie byłoby trudniéj nauczyć się téj jednéj składni, niż składni kilku języków europejskich. Co się zaś tyczy stylistyki, to zauważyć musimy, że nawet niezbyt surowe przestrzeganie zasady unikania metafor i idyotyzmów nie usuwa możności wzajemnego rozumienia się rozmawiających; ponieważ zawsze mają one swoją logiczną podstawę, logika tedy pozwoli odgadnąć ich znaczenie, gdy tylko wszystkie słowa będą wiadome. Z czasem zaś, gdy język powszechny wejdzie w użycie, potrafi on drogą naturalną przyswoić sobie całe bogactwo metafor dzisiejszych języków, pod piórami dobrych stylistów może się szybko rozwinąć; znaczenia wielu idyotyzmów i przenośni nauczy nas literatura, oczytanie: nie inaczéj poczynamy je pojmować w mowie ojczystéj, a szczególnie w poezyi.

---

(1) „Comment vous portez-vous“ dosłownie: jak się pan nosisz, będzie niezrozumiałem dla nie-Francuzów, jak również może być niezrozumiałem dla innych narodów polskie: „jak się pan masz“? Należy pytać: jak pańskie zdrowie?

(2) Tym, którzy zachwycają się logicznością języków naturalnych, przypominamy zwyczaj „ti pi“, istniejący na wyspie Tahiti. Szacunek dla króla nie pozwala tam, aby sylaby, wchodzące w skład imienia „królewskiego,“ poniewierały się w zwykłych wyrazach. Gdy wstąpił na tron król Tu, zgodnie z prawem tém zmieniono np. wyraz „fetu“ (gwiazda) na „fetia,“ Podobnych zasad, nie zakrawających bynajmniéj na organiczne, spotykamy mnóstwo w innych językach. (M. Müller).

Rozbiór nasz zakończymy słowami Müllera, wypowiedzianemi przezeń jeszcze w 1868 r., podczas lekcyi w królewskim instytucie. „Miałem zamiar wykazać—mówi on— że stworzenie języka sztucznego nie zawiera w sobie nic niemożliwego dla ludzi, którzy przywykli mówić językiem naturalnym. Nie dość na tém: twierdzę, że taki sztuczny język może być daleko prawidłowszy, doskonalszy, łatwiejszy do nauczenia się, niż jakibądź z języków naturalnych ludzkości.“

To, co przeczuł znakomity lingwista, to dzięki Schleyerowi, a bardziéj jeszcze dzięki dr. Esperanto, z krainy mrzonek przechodzi w sferę rzeczywistości.

Któryż z tych języków stanie się językiem międzynarodowych stosunków? Wiemy, że wielu na to pytanie odpowiada: „żaden“. Imiona Schleyera i Esperanta—powiadają—utoną w fali zapomnienia, jak tylko przejdzie ten modny szał, ta „powszechno-językomania“; zasypie je piasek czasu, jak zasypał dziesiątki imion ich poprzedników!

To jednak, w czém widzą dowód kruchości idei powszechnego języka, nam się wydaje świadectwem na korzyść téj idei. Ciągłe zjawianie się ludzi, pracujących w tym kierunku, bez względu, że poprzednicy ich zostali wyśmiani i zapomniani, wyraźnie okazuje że idea języka międzynarodowego jest ideą żywotną; że zaś nie jest ona bezpłodnym wysiłkiem mózgu, dowód tego mamy w tém, że praca w tym kierunku coraz to świetniejsze daje rezultaty. Ci, których pochłonęła fala zapomnienia nie byli to właściwie twórcy języków, ale pazigrafii i ideografii (powszechnego pisma); próby ich zapomniano, gdyż okazały się niepraktycznemi. Schleyer, pierwszy, dał język skończony i dziś zbiera on owoce swéj pracy i poklask uczonych, poparcie kilku rządów i uniwersytetów (1), kongresy Volapükistów, kilkanaście gazet Volapük'skich—to nie drobnostki; a mówią one mocno na korzyść saméj idei. Jeszcze doskonalszym i praktyczniejszym jest język Esperanta; zjawiwszy się jednak późniéj, staje on wobec groźnego współzawodnika. Obecna sytuacya zarysowuje się pod postacią walki między dwoma temi językami (2).

---

(1) W Madryckim i Wiedeńskim uniwersytecie wprowadzono kursa „Volapüku.“ Według rozporządzenia rządu włoskiego, urzędnicy pocztowi muszą posiadać ten język. Handlowe domy Francyi i Ameryki trzymają subiektów i korespondentów obeznanych z tym językiem. Nawet w Bejrucie wychodzi jedna gazeta Volapükska.

(2) Zarodek śmierci dla języka międzynarodowego upatrują w przypuszczalném zjawieniu się nowych języków międzynarodowych. Przedwczesne to obawy. Wydaje się nam nader trudném stworzenie języka, opartego na zupełnie *nowych* zasadach. Sądzimy, że raczej odpowiednie siły skierują się ku ulepszeniu już istniejących. A jeżeli nawet

Z jednéj strony stoi Volapük, mający za sobą opinią uczonych, część prasy, kilkanaście tysięcy zwolenników; wyszedł on z potężnych Niemiec, szerzy się w wielu krajach, poniekąd nawet i do nas zawitał. Dzięki temu, że używany jest przez kupców, podróżnych, a częścią i przez literatów, przebył on już pewną drogę rozwoju, wykształcił się i wzbogacił do pewnego stopnia.

Z drugiéj strony, naprzeciw niemu, staje nieznany, niewyrobiony dotąd „Lingvo Internacia". Jego warszawski rodowód może mu być policzonym za grzech w oczach silnych tego świata. Tu, na miejscu, wyśmiany w wielu dziennikach, marzy on o podbiciu obcych: Francyi, Niemiec, Anglii! (1)

Cóż ma on za sobą?

1) Niezwykłą łatwość słownika, jego stosunkową dostępność, dowcipną konstrukcyą języka (rozczłonkowanie słów na źródłosłowy, sufiksy, końcówki gramatyczne i pomieszczenie takowych w słowniku, dzięki czemu nawet wcale nie znający gramatyki Esperanta, jedynie przy pomocy słownika, może z łatwością odcyfrować sens całych zdań). Wszystko to mówi na korzyść użycia języka Esperanta w stosunkach międzynarodowych (dla porozumienia się podróżnych, dla sfer handlowych etc.); jako praktyczniejszy od Volapüku, może on stać się niebezpiecznym dla tego ostatniego konkurentem.

2) Język Esperanta z łatwością może stać się językiem nauki; naukowe terminy przechodzą doń bowiem z łaciny, zaledwie po lekkiéj zmianie gramatycznéj końcówki. Natomiast fonetyczne reguły Volapüku zmuszają do przerabiania wszystkich bez wyjątku terminów naukowych; jest to olbrzymia praca, dająca nadto pole samowoli: któż jest prawomocnym w tego rodzaju twórczości?

3) Dźwięczność i giętkość języka Esperanta, przewyższające niezmiernie Volapük, pozwalają przypuszczać, że po pewném „wyrobieniu", może on stać się nawet językiem literatury pięknéj. Wprawdzie całego bogactwa synonimów, barwnéj różnorodności końcówek, charakterystycznych zwrotów języków żywych nie zastąpi on nigdy, (a przynajmniéj dotąd, dopóki nie utraci swéj łatwości). Jednakże reguły, na których się opiera, (nadewszystko ła-

---

zjawią się języki nowe, to w takim razie otrzyma palmę zwycięstwa najłatwiejszy, najlepszy, który zwolenników poprzednich języków przeciągnie na swoję stronę.

(1) Dr. Esperanto winienby przedstawić projekt swego języka do oceny akademiom, gimnazyom, prasie europejskiej, oraz kongresom volapükistów. Plebiscyt, za pomocą którego dr. Esperanto pragnie rozpowszechnić swój język, jest raczéj zabawką, niż poważnym środkiem, prowadzącym do celu. Nie łatwo to zebrać 10,000,000 głosów, a wielka jeszcze kwestya, czy na zebrane liczyć można.

twość tworzenia nowych słów) wróżą mu pomyślny rozwój na téj drodze. Jeżeli zważymy wreszcie, że przy odmienności synonimiki różnych języków, przy rozmaitości ich stylowych zwrotów, wogóle zupełne oddanie skarbów jednego języka w drugim jest niepodobieństwem, to będziemy musieli się zgodzić, że język Esperanta może dość zadawalniająco już dzisiaj pełnić funkcyą swoję przy tłómaczeniu dzieł literatury pięknéj rozmaitych narodów. Próbki wierszy, podane przez Esperanta, dają w tym względzie bardzo pochlebne świadectwo jego językowi.

Wszystko to upoważnia nas do twierdzenia, że o rezultacie walki między Volapükiem i Lingvo internacia dziś jeszcze przesądzać niepodobna i mimo, że pierwszy stał się już poniekąd językiem międzynarodowym, szala zwycięstwa może jednak przechylić się jeszcze na stronę Esperanta. W każdym razie ciekawy rezultat téj walki jest jeszcze bardzo dalekim.

Leop. Bl.





ARCHIWUM KROLESTWA
W MOSKWIE.

Komisye rządowe krzątają się, podając do publicznéj wiadomości opisy aktów archiwalnych i porządkując archiwa, zawierające cenne materyały do dziejów państw i narodów, weszłych w skład imperyum Rosyjskiego. Z polecenia rządu wydał b. metrykant Metryki Litewskiéj p. Stan. Ptaszycki: „Opis ksiąg i aktów Lit. Metr. S. Petersburg 1887“, podając w głównych rysach historyą metryki i opisując szczegółowo bogaty materyał tam zawarty. Powitać należy tę publikacyą jako taką, która zdoła stworzyć szereg publikacyi tego rodzaju i zainteresować badaczy do studyów nad materyałami, o których dokładniejsze mamy wiadomości.

Nie uprzedzając bynajmniéj podobnych zamiarów, których doniosłości dla nauki nie można dość ocenić, chcę podać tutaj notatkę o aktach archiwalnych Metryki koronnéj, które się po dziś dzień w archiwum ministeryum spraw zagranicznych w Moskwie znajdują. Dzięki uprzejmości dyrektora tego archiwum, miałem sposobność przejrzéć w ciągu stycznia 1882 r. akta i dokumenta, zanotować ważniejsze, chociażby tylko najgłówniejsze daty, nakreślone więcéj dla wiadomości własnéj aniżeli publicznéj. Dzisiaj ogłaszam tę notatkę drukiem dla tego, aby chociaż w głównych rysach podać wiadomość o materyach archiwum koron., a daléj aby wskazać na ścisły związek, zachodzący między opisaną z inicyatywy rządu tak zwaną Metryką litewską a archiwum królestwa.

Oddział XIV archiwum ministeryum spraw zagr. w Moskwie zawiera archiwum królestwa Polskiego. Akta i dyplomata mieszczą się w 27 szafach, z których pierwsze 21 szaf i połowa 22 są mniéj więcéj uporządkowane, tak, iż akta podzielone są na oddziały

i znajdują się bądź w kartonach, bądź w księgach, reszta aktów, w 5 i pół szafach zawarta, oczekuje na uporządkowanie.

Połowa aktów znajdujących się tutaj ma charakter dyplomatyczny i odnosi się do stosunków zewnętrznych królestwa Polskiego; druga połowa do ostatnich lat rzpospolitéj, do podziałów Polski i do rewolucyi Kościuszkowskiéj. Przejrzyjmy szafy a zarazem i działy archiwum.

Sz. 1 zawiera: *Acta magni ducatus Lithuaniae* od 1488—1681 r. w trzynastu księgach (N. 1—13) (*); są to księgi Metryki Lit., z których pierwsze księgi głównie do stosunków dyplomatycznych Litwy z w. ks. Moskiewskim się odnoszą, znane w części z publikacyi ks. Obolenskiego i Daniłowicza p. t. „*Posolskaja kniga.*“ Do tejże metryki należą i dwa kartony (1 — 2), zawierające dyplomata na pergaminie i papierze od 1554—1748 r., a wreszcie i jeden karton aktów, odnoszących się do województwa Kijowskiego.

Sz. 1—2 *Metryka koronna*, składająca się: *a)* z 38 ksiąg (I—XXXVIII) od r. 1502 do 1745, a mianowicie ks. 1—3 lata 1502—1504; ks. 4—11 lata 1512—1530, 1517—1526, 1537—1544; ks. 12—18 lata 1549 - 1559; ks. 19 — 20 *libri legationum* z r. 1569; ks. 21 z lat 1577—78; ks. 22 zawiera instrukcye dla posłów i listy z 1526—28; ks. 23 zawiera Tomiciana; ks. 24 z r. 1558—1559; ks. 25 z r. 1669—1673; ks. 26 zawiera *Turcica*; ks. 27 do r. 1598; ks. 28 do r. 1596 zawiera instrukcye dla posłów; ks. 36 do r. 1713; ks. 37 i 38 do roku 1745. Do ksiąg Metryki koron. należy i *b)* 11 ksiąg rejestrów archiwum król. Pol. (1—11) i wreszcie *c)* Akta dyplomatyczne obejmujące jedną księgę N. 98 i jeden karton z lat 1775—1793. W téjże szafie 2-éj pomieszczone są i akta, dotyczące stosunków dypl. Polski z Austryą, jak *a)* pisane na pergaminie w ośmiu kartonach (1—8), obejmujące lata 1412—1776 r.

W szafie 3 ciąg dalszy stosunków Polski z Austryą, jakoto: *b)* 16 kartonów aktów pisanych na papierze (1—16) z lat 1613—1793; *c)* noty dyplom. z ministeryum Wiedeńskiego i odpowiedzi na nie z r. 1775—1788 w 16 księgach; numera ksiąg 34[a], 34[b], 34[c]—42 i 222[a], 222[b], 222[c], 222[d] i 222[e]. Jest więc tu 11 ksiąg not dypl. i 5 ksiąg wyciągów, a mianowicie 222[a] — 222[e].

Sz. 4 zawiera ciąg dalszy, a mianowicie: *d)* korespondencyą departamentu spraw zagr. z posłami rzpospolitéj w Wiedniu z roku 1775—1788 w siedmiu księgach N. 111—117; *e)* Akta odnoszące się

(*) Księgi 1—4 zawierają materyał do stosunków Litwy z Rosyą od 1488 roku; ks. 5 odnosi się do takichże stosunków za króla Stefana, ks. 6—9 za Zygmunta III, ks. 10 odnosi się do 1650 r.; ks. 11—13 do stosunków z Rosyą do roku 1681 włącznie.

do wyznaczenia granic pomiędzy Polską a Galicyą z 1773—1776 w dwóch księgach i jedna księga map, N. 220, 221 i 59; *f)* Akta odnoszące się do tegoż przedmiotu w dwóch kartonach.

W tejże szafie znajdują się akta do stosunków Polski z Anglią: *a)* trzy kartony aktów z 1683 — 1794, *b)* korespondencya z 1775—1788 w pięciu księgach N. 78—82; daléj 1 karton aktów do stosunków z Armenią z 1632—1644, pisanych również na papierze.

Sz. 5. Tu mieszczą się: *a)* akty na pergaminie do stosunków z Bawaryą w dwóch kartonach z 1460—1544 i *b)* jeden karton aktów na papierze do tegoż przedmiotu z 1764—1790; karton aktów papierowych do stosunków z Badenem z 1788 — 1789; karton aktów perg. do stosunków z Bessarabią r. 1389—1411; karton aktów pergam. do stosunków z Czechami 1395—1527. Do stosunków z Brunświkiem mamy tu: *a)* karton aktów na papierze z 1424 — 1558 i *b)* siedm kartonów aktów, pisanych na papierze z 1592 — 1765. W końcu do stosunków z Węgrami jest tu ośm kartonów aktów pergam. z 1355—1657 i dwa kartony aktów na papierze z 1385—1658.

Sz. 6. Do stosunków z Wenecyą mamy jeden karton aktów pergam. z 1464—1777. Daléj idą akta z 1768 r., objaśniające stosunki rzpolitéj z Hamburgiem, Lubeką i Bremą w jednym kartonie na papierze pisane; jeden karton aktów na pergaminie i papierze z 1761—1778 do stosunków z Genewą. Do stosunków z Holandyą odnoszą się: *a)* akta pergam. w jednym kartonie z 1671 r.; *b)* akta na papierze w pięciu kartonach (w kartonie piątym znajduje się księga N. 301) z lat 1656—1794. Stosunków z Danią dotyczą: *a)* akta pergam. jeden karton z 1419—1657, *b)* akta na papierze w trzech kartonach z 1656—1794. Do stosunków z Gdańskiem odnosi się 7 ksiąg, zawierających korespondencye z roku 1783—1788 pod N. 71—77. Tu należy téż księga pod N. 92 z 1785 r., wyłuszczająca stosunki handlowe z Gdańskiem, Elblągiem, Hamburgiem, Chersonem etc. Następują dwa kartony do stosunków z Hiszpanią z 1615—1794; wszystkie akta pisane na papierze; jeden karton aktów papierowych do stosunków z Kałmukami z r. 1653 i jeden karton aktów dyplom. z 1764—1784, dotyczących stosunków rzplitéj z elektorem Kolońskim.

Szafa 7 obejmuje karton aktów na papierze do stosunków polskich z Kurlandyą z 1766—1783; karton takichże aktów do stosunków z księstwem Lotaryńskiém z 1764 r.; karton do stosunków z elektorem Mogunckim z 1764—1787; dwa kartony aktów, na papierze do stosunków z Kozaczyzną z 1610 — 1664, jeden karton aktów pergamin. i papierowych do stosunków z Maltą

1765—1787; jeden karton aktów perg. do stosunków z Meklenburgiem 1524—1562. Do stosunków z Mołdawią i Wołoszczyzną mamy dwanaście kartonów aktów z 1387 — 1553, tudzież dwa kartony aktów papierowych z 1653—1767. Do stosunków z Neapolem odnosi się siedm kartonów aktów na pergaminie i na papierze z 1517—1733; dyplomatyczne stosunki z papieżami z 1641—1793 objaśniają bulle i akta, pisane tak na papierze i pergaminie w czterech kartonach. Wreszcie stosunki z Persyą z 1618—1630 objaśniają akta na papierze w jednym kartonie, a stosunki z Portugalią, z 1664—1713 akta papierowe w jednym kartonie.

Szafy 8—10 zawierają akta dypl. do stosunków z Prusami: *a)* akta pergam. z lat 1773—1793 jeden karton; *b)* dziewięć kartonów aktów na papierze z 1604 — 1793; *c)* noty dypl. wymieniane z ministeryum pruskiém w roku 1775—1786, w dwunastu księgach, N. 43—53 i N. 57; *d)* noty dyplom. z 1786—1788 w trzech księgach, N. 54—56; *e)* korespondencye z 1775—1788 w jedenastu księgach, N. 103—110 i 118—120; *f)* ogólna taryfa clowa z 1775 r. w jednéj księdze N. 171; a wreszcie *g)* wyciągi z not dyplom. 1 księga N. 223.

W tejże szafie 10-téj mieszczą się akta dotyczące stosunków z elektorem Reńskim, a mianowicie jeden karton aktów na papierze z 1764—1780 i zaczynają się akta do stosunków dypl. z Rosyą, obejmujące i jedenastą szafę. Akta te mają następujące oddziały: *a)* 3 kartony aktów pergam. i papierowych z 1635—1793; *b)* 14 kartonów aktów na papierze z 1634—1794. W jedenastéj szafie *c*) noty dyplom. wymieniane z ministeryum rosyjskiém z 1775—1788 w jedenastu księgach, N. 23—33; *d)* korespondencye z 1775—1788 w dziesięciu księgach, N. 61—65, 212 i 66—69; *e)* Akta demarkacyjne z 1778—1781 w dwóch księgach, N. 89—90 i *f)* księga N. 58 z r. 1776, zawierająca granice królestwa z Rosyą.

Sz. 12 zawiera jeden karton aktów na pergaminie i papierze do stosunków z Saksonią z 1496—1790; jeden karton aktów papierowych do stosunków z Sardynią z 1763—1781; jeden karton do stosunków z Siedmiogrodem z 1553 r.; jeden karton aktów papier. do stosunków z Sycylią z 1766—1790 r.; daléj ośm kartonów aktów pap. do stosunków z Tatarami Krymskimi z 1514—1780 r., jeden karton do stosunków z w. księstwem Toskańskiém z 1765—1766 i w końcu jeden karton, a właściwie drugi z porządku do stosunków z Siedmiogrodem z 1649—1750.

W szafie 12 mamy najprzód jeden karton aktów do stosunków z elektorem Trewirskim z 1764 — 1775, a daléj idą *Tur-*

c i c a zajmujące 13 szafę i część szafy 14, a w szczegóności: *a*) 35 kartonów aktów na papierze od 1384—1791, w części i w tureckim języku z ozdobnemi cyframi sułtańskiemi i *b*) siedm ksiąg (N. 121—124 i 83—85) zawierających korespondencye z 1775—1788.

Dalszą część szafy 14 zapełniają akta, dotyczące stosunków z F r a n c y ą, w następującym porządku: *a*) jeden karton aktów na pergaminie i na papierze z 1663—1691; *b*) 4 księgi korespondencyi z 1753—1792 N. 375—377 i jedna księga bez numeru; *c*) korespondencya z Jakubowskim z 1759—1784 w dwóch księgach; *d*) pisma rozmaitych osób do pełnomocnika we Francyi z 1788—1793 w jednéj księdze i jednym kartonie; *e*) akta dotyczące spadkobierstwa Maryi Leszczyńskiéj w Polsce z 1749—1793. Mamy tu daléj i akta dotyczące stosunków z S z w a j c a r y ą z 1764—1770 w jednym kartonie a wreszcie dwa kartony aktów pergam. do stosunków ze S z w e c y ą z 1505—1629. Dalszy ciąg aktów objaśniających stosunki ze Szwecyą znajduje się w 15 szafie a mianowicie 7 kartonów aktów na papierze z 1618—1793 poczém idą dwa kartony różnych aktów kończących dział dyplomatyczny aktów archiwalnych.

Odtąd zaczyna się inny dział a mianowicie dwa kartony dotyczące wewnętrznych spraw rzpltéj; szafa 15—16 zawiera papiery i korespondencyą króla Stanisława Aug. w sześciu kartonach a mianowicie księgi N. 226, 359, 154, 201—204, 70, 264, 263, 262, 266, 265, 267—269, 378, 190, 178, 182 i 186. Następuje część biblioteki tego króla, składająca się z dwóch kartonów rękopismów, 25 ksiąg *in folio* drukowanych, sześciu takichże ksiąg in 4^0 i wreście trzech in 8^0 wypełniających 17 szafę. Daléj idą księgi dotyczące spraw departamentu spraw zagr. z 1791—1794 r. a mianowicie księgi NN. 169, 170, 191, 189, 188, 160, 179; księga N. 200 zawiera materyały do oświaty narodowéj z 1793—95; księgi N. 158, 163, 198 i 199 akta zarządu wojennego z 1794 r.; księgi N. 153, 161 i 194 księgi rady najwyższéj, daléj z tegoż czasu księgi N. 185 i 167 departamentu sprawiedliwości; ks. N. 181 księgi zarządu komisyi zdrowia z 1791; daléj ks. N. 149, 150—152, 162, 174, 180, 175, 172, 157 i 177 departamentu policyi z lat 1791—94.

W szafie 18 mieszczą się najprzód księgi N. 196, 156 i 159, dotyczące administracyi m. Warszawy; ks. 197 zawiera rozmaite akta z 1715—1748.

Dalszą część szafy 18 wypełniają daléj kopie rozmaitych traktatów, daléj papiery z 1684—1784; akta dotyczące stosunków handlowych z 1744—1781, zapełniające trzy księgi (N. 86, 87 i 88); sprawozdania deputacyi wysyłanych za granicę z 1789—1791 składające

jednę księgę N. 91; Dyaryusz sejmu r. 1792 w jednéj księdze N. 93; sprawy konsulatu chersońskiego z 1784—1787 stanowiące księgę N. 94; dziennik Rady nieustającéj z 1792 r. obejmujący ks. N. 205; listy Kickiego w sprawie długów królewskich i innych sprawach finansowych z r. 1797, obejmujące księgę N. 206, a w końcu i rozmaite mowy królewskie, miane na sejmach, obejmujące księgę N. 207.

Szafę 19 wypełniają protokóły uchwał komisyi policyjnéj i ekonomicznéj z r. 1791 w księdze N. 208; takież postanowienia z r. 1792 w księdze N. 209; protokóły sekretne komisyi policyjnéj z r. 1794 w księdze N. 210; akty dotyczące handlowych stosunków z 1771—1776 w księdze N. 211; zbiór ustaw z 1775 r. (8 tom Vol. leg.) w księdze N. 213; *exposé*, pretensye dworów Wiedeńskiego, Rosyjskiego i Berlińskiego do Polski w 1773 r. i odpowiedzi ze strony rzpltéj w księdze N. 214; ustawodawstwo sejmu z 1776 (8 tom Vol. leg.) w jednym tomie księga N. 216; ustawy i uchwały sejmów z 1778 i 1780 r. (7 tom Vol. leg.) w jednym tomie, księga N. 217; uchwały i ustawy sejmu Warszawskiego od października 1788 do paździer. 1790, w jednym tomie, księga N. 219.; traktaty z trzema dworami i inne akta dotyczące téj materyi z 1768 r. księga N. 224.; konwencye dotyczące granic z trzema dworami z 1781—1786 w księdze N. 225.

Szafa 19 zawiera akta i dokumenty sądowe w sprawach cywilnych z 1791—1794 w dziewięciu księgach N. 232—240; akta sądowe i papiery Rady Najwyższéj narodowéj z 1794 r. w dziewięciu księgach (N. 241—249). Papiery rewolucyjne komisyi wojennéj obejmują jedenaście ksiąg N. 250—260.

W szafie 20 mieszczą się pisma ks. Prozorowskiego do ks. Repnina z 1767—1769 w księdze N. 261; listy Kościuszki i Zakrzewskiego z 1794 r. N. 270; sprawy dotyczące wyznań z dawnych lat pod N. 271; rewolucyjne pisma magistratu z 1793—1794, pod N. 273; raporty wojenne i papiery policyi wojennéj z 1794 r. pod N. 274; papiery dotyczące straży bezpieczeństwa Warszawy z 1794 r. w trzech księgach N. 275—277; akta departamentu spraw zagr. z 1794 r. pod N. 278; z tegoż czasu raporta i sprawozdania pod N. 279; zarys pospolitego ruszenia pod N. 280; wiadomości dotyczące siły zbrojnéj powstania 1794 r. pod N. 281; decyzye i postanowienia naczelnika pod N. 282 z września, i października 1794 r. pod N. 283; rozkazy i zlecenia naczelnika pod N. 284; akta departamentu skarb. N. 285; sprawozdania i rozkazy rozmaitych władz pod N. 286; listy, raporty i odpowiedzi pod N. 287; akta departamentu wojen. pod N. 288; akta dotyczące zaprowiantowania wojsk pod N. 289; proklamacye, rezolucye i odpowiedzi pod N. 290; prośby wznoszone do naczelnika, N. 291

Do roku 1794 odnosi się i znaczna część aktów, zawartych w szafie 21, i tak: akta dotyczące wewnętrznego zarządu pod N. 292; akta departamentu wojennego, sprawozdania i rewersy pod N. 293; raporta o przyjezdnych i odjeżdżających pod N. 294; akta intendentury wojennéj pod N. 295; polecenia i rozmaite akta pod N. 296, 297; N. 298 zawiera akta z 1772 r.; N. 299 akta z lat 1772—1789; N. 300 listy do Szembeka z 1708—1714; N. 301 listy do plenipotenta w Anglii z lat 1788—1793; N. 302 zawiera dziennik instygatora z 1792 r.; N. 303 dziennik magistratu Warsz. z 1794 r.; N. 304 protokół wniosków i memoryałów przedstawionych Radzie Narodowéj w 1794 roku; N. 305 protokół posiedzeń ekspedycyi tymczasowéj; N. 306 żurnal postanowień ekonomicznych departamentu policyi z 1792 r.; N. 307 sprawy sądowe z 1792 r.; N. 308 dziennik departamentu policyi z 1793 r.; N. 309 i 310 żurnal postanowień ekonom. departamentu policyi z 1792 r.; N. 311 zawiera dziennik instygatora z 1787 r.; N. 312 takiż z 1789 r. a téż same akta instygatorskie znajdują się pod N. 313 i N. 314 ostatni r. 1788; N. 315 zawiera protokóły deputacyi i zakładów dobroczynnych litewsk. z 1792 r.; N. 316 protokóły komisoryackie z 1794, a N. 317 protokół trzeciego okręgu miasta Warszawy z tegoż roku.

Księga N. 320 zawiera akta dymisyonowanych wojskowych; N. 321 protokóły memoryałów prezesa Rady Najwyższéj; N. 322 uchwały ekonomiczne komisyi policyjnéj z 1792 r.; N. 323 pisma i raporta otrzymane przez króla w 1794 r.; N. 324 dziennik dep. policyi z 1793 r.; N. 325 papiery dotyczące powstania Kościuszkowskiego; N. 326 protokóły komisyi celem uwolnienia Warszawy od kwaterunku z 1784 r.; N. 328 księga protokółów patentów wojskowych z 1794 roku; N. 329 rejestr bydła rogatego przypędzonego do Warszawy z tegoż czasu; N. 330 protokóły komisyi w sprawie koszar wojskowych z 1784 r.; N. 331 protokół listów z 1794 r.; N. 332 protokół patentów dla pospolitego ruszenia województw; N. 333 wykaz długów królestwa; N. 334—340, zatém 7 ksiąg, zawierają bruliony relacyi z 1739—1763 r. — Szafa 22: N. 341 wzory patentów na prawa krążenia statków; N. 342 zawiera część pierwszą rejestru dochodów kwarcianych z dóbr starościńskich koron., a N. 343 zawiera część drugą tegoż rejestru; N. 355 zawiera korespondencyą króla z lat 1764—1798; N. 356 wyciągi ustaw z lat 1766—98 (?); N. 357 patenta rozmaite z r. 1780—1797; N. 358 korespondencyą Middeltona z 1791—1795; N. 360 listy króla, odnoszące się do konfederacyi Targowickiéj i sejmu Grodzieńskiego z 1792—1793, a takież listy z 1793—97 mieszczą się w księdze N. 361; N. 363 zawiera prośby podane królowi w latach 1794—98; N. 364 o pretensyach polskich

do sum neapolitańskich. W dalszéj księdze mamy materyały odnoszące się do wstąpienia króla na tron, listy Siwersa pod N. 368 Rozmowę w królestwie umarłych.

Do konstytucyi 3 maja odnosi się księga N. 379 z r. 1790—1792; pisma do sejmu Grodzieńskiego się odnoszące 1791—93 pod N. 380. Pod dalszym N. 381 mamy prośby i rozmaite pisma Zakrzewskiego z 1792 r.; dalćj pod N. 382 rachunki i rewersa z 1792—93; pod N. 383 raporty brygadyera Nowickiego z 1793 r. Pod N. 383 i 384 poselstwa rozmaitych osób, wysyłanych do dworu rosyjskiego z poleceniami z lat 1762—1769 część pierwsza i druga; N. 387 opisy o przyjęciach posłów polskich na rozmaitych dworach w 1670 — 1775. N. 388 raporta wojskowe z 1794, a w końcu protokół o furażowaniu wojska z tego roku.

Dalsze akta mieszczące się w końcowych 5 i pół szafach nie są jeszcze uporządkowane, a odnoszą się również do ostatnich lat rzeczypospolitéj.

Wielka część dokumentów pergaminowych znana jest z wielkiéj lecz nieodpowiadającéj wymogom naukowym publikacyi Dogiela. Jak z dorywczego porównania wypływa, nie wszystkie pergaminy weszły do téj publikacyi; opuszczano niektóre, gdyż uznano je za mniéj ważne, inne zaś ze względów politycznych pomijano, jak np. tranzakcye króla Ludwika W. z Kazimierzem W. z lat 1350, 1355 i 1364 ze względu na pretensye korony Węgierskiéj do Rusi, i innych wiele. Niektóre działy, a nawet bardzo obszerne, jak *Turcica*, stosunki z Tatarami i t. p. nie weszły wcale w skład publikacyi Dogielowskiéj, jak wiadomo nie zupełnéj. Zdaje się, że podział tego działu archiwum jest ten, jaki był za czasów Dogiela, a państwa i kraje reprezentowane są w porządku alfabetycznym, któréj to zasady tak ściśle przestrzegano, że np. akta dotyczące Siedmiogrodu raz są w kartonie *sub S*, drugi karton z innych lat *sub T*, gdyż łacińską nazwą kraju jest *Transsilvania*.

Najstarsza księga metryki koronnéj rozpoczyna się z 1502 r. Zasługuje ona, jakoteż trzy następne na szczegółowy opis, który podam w inném miejscu. W księdze trzeciéj *liber. legat III*, *p. 63* znajduje się, pod tytułem *Origo regis Jagyelo et Wytholdi ducum Lithuaniae*, łacińskie tłómaczenie znacznego ustępu pierwszéj kroniki litewskiéj, znanéj z wydań Daniłowicza i Popowa, a tłómaczenie to dokonano z pełniejszego i dokładniejszego rękopisu aniżeli mieli ci wydawcy i posłużyło swego czasu Długoszowi do jego historyi, jak się to z porównania tekstów dowodnie przekonać można.

Z powyższego pobieżnego spisu materyałów widoczna, że oddział pierwszy tegoż, owych kilka tysięcy dokumentów pergamino-

wych i pisanych na papierze, opatrzonych pieczęciami w 208 kartonach, to Dogiel z rozmaitemi opuszczeniami i dodatkami; drugi oddział podaje materyał główny do ostatnich lat rzplitéj, a w znacznéj części obejmuje w sobie także księgi metryki koronnéj. Do tego drugiego oddziału należą i księgi koronne dzisiejszéj Metryki Litewskiéj, a mianowicie *libri inscriptionum* w liczbie 30 ksiąg, dwie bowiem niewłaściwie do tychże zaliczano (ob. Ptaszycki. Opis Metryki lit. p. 27), daléj trzy księgi koronne sądowe, księgi koronne *transactionum publicarum* w 43 numerach z lat 1539—1790; 31 ksiąg koron. *lustrationum*; 7 ksiąg kopii z metryk koron., stanowiących V oddział dzisiejszéj Metryki Litewskiéj; 197 ksiąg Rady nieustającéj i materyałów odnoszących się do ostatnich lat rzplitéj, a w końcu 14 tomów inwentarzów i 165 ksiąg tak zwanych nowych, tudzież wszystkie dyplomata i akta na pergaminie pisane, z wyjątkiem 15 pergaminów, stanowiących część integralną Metryki lit. Widoczna więc, że komisya z 1798 r. wyznaczona do posortowania materyałów metryk tak polskiéj jak i litewskiéj, systemu oddzielenia ksiąg i aktów, dotyczących spraw wewnętrznych od aktów dotyczących spraw zewnętrznych nie przeprowadziła, i że większa część dzisiejszéj tak zwanéj Metryki litewskiéj należy do opisanego Archiwum koronnego, jak z drugiéj strony bardzo mała część tegoż archiwum, gdyż tylko 13 ksiąg i 2 kartony *Actorum M. D. Lith.*, należy właściwie do Metryki Litewskiéj.

Antoni Prochaska.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Rozmowa o pogodzie. — Szkoły! — Powtórzenie dawnych uwag. — Stare nałogi i dawne porządki. — Klasycyzm wobec fachowości. — Matematyczne obliczenie prawdopodobieństwa co do ziszczenia rachub rodzicielskich. — Szczególne wiadomości z „Wieku" o szkołach prywatnych. — Reformy ogólne i pensye. — V zjazd przyrodników. — Najważniejsza jego strona. — Artykuł prof. Hoyera o metodach naukowych. — Poemacik na rzecz kolonij letnich. — Założenie kamienia węgielnego pod dom dla obłąkanych w Tworkach.

Mówmy o pogodzie. Fatalna!

Czy może być w téj chwili lepszy temat do rozmowy? Najprzód, jestem pewny, że zostanę doskonale zrozumiany, że biadania moje odczują wszyscy czytelnicy. Powtóre, jest to sprawa paląca. Żniwa i zbiory wymagają tak gwałtownie pogody, jak Warszawa ukończenia kanalizacyi, miejsc ustępowych publicznych i znośnych mieszkań letnich. Sprawa paląca jest tém samém zajmującą.

Pogoda, jako przedmiot rozmowy, ma jednę tylko stronę słabą — prędko się wyczerpuje. Kronika dopiero u początku, a ja mogę dodać chyba pobożne westchnienie, aby prędzéj słońce objęło sklepienie niebieskie w niepodzielne posiadanie.

— A szkoły, szkoły! kłopoty rodziców, którzy tracą sen i apetyt, jak się lipiec kończy a sierpień nadchodzi — pomyśli lub zawoła ojciec, mający 10-letniego syna.

— Dobrodzieju, pisałem już o tém i...! Nie tak to łatwo napisać o szkołach, jak się wydawać może. Sięgnij pamięcią po za kilkanaście kronik, a przekonasz się, że nie łatwo.

Cóż jednak robić, spróbuję powtórzyć w krótkości te uwagi, jakie usiłowałem zakomunikować czytelnikom akurat dwanaście miesięcy temu.

Zamożni rodzice dawnemi laty słusznie sądzili, że najwłaściwszą drogą edukacyi syna jest oddanie go do gimnazyum, aby, ukończywszy je, przeszedł do uniwersytetu i mógł potem zająć w społe-

czeństwie stanowisko przewodnie, a dające przytem kawał pewnego chleba. Dziś się wszystko zmieniło. Z praktyki i drukowanych postanowień można było najzupełniéj dowodnie przekonać się, iż rola gimnazyum w państwie, a przez to i rola uniwersytetu jest inną. Nieuznawać tego, negować, napierać się, wskutek nabytego pędu, zapewnienia szczęścia przez ustrojenie syna w srebrne galony— jest poprostu zaślepieniem, nierachującém się okolicznościami.

Dziś patent kandydata jakiegokolwiek wydziału nie jest już jak dawniéj magicznym kluczem do sezamu posad. Pokierowanie dziecka na tę drogę nie równa się wcale zapewnieniu mu bytu, daniu środków przebijania się przez życie. Chyba że w tém dziecku pewne właściwości umysłu i serca przygłusza żyłka do odległych podróży. W każdym innym wypadku utarta dotychczas dróżka karyery do celu nie prowadzi.

Państwo chce — i to najzupełniej odpowiada naszym, tutejszym potrzebom — aby znaczna część młodzieży od wykształcenia klasycznego zwróciła się do szkół fachowych. Opieranie się temu prądowi byłoby szkodliwym uporem. Człowiek, co z domu wyniesie wyszlachetnione uczucia, wyższe dążenia życiowe i społeczne, a przytem rozwinięty umysł, i posiędzie przez wykształcenie pewną niezależną od podmuchów pozycyą materyalną, powinien być w téj chwili najdoskonalszym typem obywatela. Przytém takiemu człowiekowi jedynie dobrze dziać się może.

Jedném z najważniejszych względów, który często powstrzymuje rodziców od sprzeniewierzenia się nałogowi i od kształcenia synów w sposób odpowiedniejszy wymaganiom bieżącym jest wzgląd na wojsko. Skończenie chociażby 6-ciu tylko klas daje już bardzo ważne ulgi, wzgląd jest więc zupełnie słuszny. Chodzi jednak o to, jak wielkie jest prawdopodobieństwo osiągnięcia pożądanych świadectw.

Ponieważ zaledwie $1/3$ pragnących dostaje się do gimnazyum: a z wstępujących $1/4$ lub nawet $1/5$ kończy 6-tą klasę (a liczby te maleć nieustannie będą), więc istnieje $1/15$ lub najwyżéj $1/12$ prawdopodobieństwa dopięcia celu. Egzamin zaś z 4 klas dla otrzymania trzeciéj kategoryi ulg może zdawać każdy. Egzamin to łatwy, biorąc go bezwzględnie, a z trudnościami odpowiedniej liczby corocznych promocyj porównać się nie da nawet. Pchając więc syna do szkoły jedynie w widokach uzyskania przywilejów w wojsku, w najlepszym razie wygrywa się parę lat służby szeregowéj, a z $14/15$ prawdopodobieństwa naraża się chłopca na ten przykry obrót rzeczy, iż wyjdzie gdzieś z niższéj klasy niedouczony, zmarnowawszy prawie zupełnie kilka bardzo cennych lat życia. Trzeba być ślepym najzupełniéj, żeby nie spostrzedz, iż rozum w głowie i najodpowiedniejsze przy-

szykowanie do walki o byt zawsze równoważą dyplom, przy pewnych zaś warunkach mają wartość bez porównania odeń większą.

Nie mogę tu rozwinąć każdego z potrąconych względów, zamiarem moim było zwrócić uwagę rodziców na stan rzeczy. Rozważywszy to wszystko, niewątpliwie niejeden ojciec zgodzi się, iż cisnąc się uporczywie do drogi wskazanéj przez rutynę, wyrządził by krzywdę zarówno dziecku własnemu jak i społeczeństwu.

Jeżeli jednak rodzice błądzą przy wyszukiwaniu dróg najodpowiedniejszych dla wykształcenia syna, to dziwić się bardzo nie można, gdyż w sprawach wychowania panuje pewne zamieszanie, które utrudnia objęcie okiem całości a w skutek tego i decyzyą.

Naprzykład w 163 nrze „Wieku" wyczytać można taką wiadomość:

„W myśl decyzyi władz rządowych wszystkie szkoły realne, utrzymywane przez gminy, instytucye, towarzystwa lub prywatne jednostki, w których posady zajmują osoby zatwierdzone przez władzę naukową, *posiadają przywileje zakładów naukowych rządowych*, kończącym zaś te szkoły przysługują *prawa równe kończącym szkoły, utrzymywane kosztem skarbu.* Te zaś szkoły realne, w których personel nauczycieli nie jest zatwierdzony przez rząd, pozostają na prawach prywatnych zakładów naukowych."

Osoba, udzielająca czytelnikom powyższéj informacyi, albo sama powinna była poinformować się dokładniéj co do tych spraw, albo, jeżeli to niepotrzebne, dodać o ile to wszystko stosuje się do warszawskiego okręgu naukowego.

U nas wszystkie szkoły prywatne podlegają prawom z r. 1841. Reforma Wielopolskiego przekształciła jedynie szkoły rządowe, instytucye wychowawcze prywatne widocznie wtedy odgrywały tak mizerną rolę, że zapomniano o nich zupełnie. Późniéj gimnazya objęte zostały ogólnymi przepisami wszechpaństwowymi i wszystkie zmiany, jakie zachodziły w Cesarstwie, stosowały się i do Królestwa Polskiego. Tak zwane pensye, czyli szkoły prywatne, przez ten cały czas nie doczekały się żadnéj reformy. Prawo z 1841 r. nosi na sobie wyraźnie piętno surowéj epoki, w któréj zostało wydane. Wszyscy nauczyciele prywatni, guwernerzy, korepetytorzy muszą mieć świadectwo z kancelaryi Kuratora, dozwalające im dawać lekcye w ogóle, a prócz tego muszą być w każdym oddzielnym wypadku osobno zatwierdzani przez dyrektora gimnazyum rządowego na prowincyi, przez inspektora szkół miasta Warszawy w Warszawie. Prawa te były nie tylko jak najściśléj stosowane dotąd, ale nawet w ostatnich kilku latach wzmocniono je pewnemi obostrzeniami. Musiały zostać

wydane nowe rozporządzenia (gazety o nich nigdy najmniejszéj nie podały wzmianki), w skutek których w pewnych wypadkach p. Kurator, w innych p. Inspektor (mówię o Warszawie) nie zatwierdzali lecz wprost mianowali nauczycieli do szkół prywatnych. A więc w tutejszym okręgu mowy być nie może o szkołach prywatnych z osobami, niezatwierdzonemi przez rząd. Takich szkół nikt u nas nie widział, nikt o nich nie słyszał. Przyjęcie nauczyciela chociażby ze świadectwem, ale bez osobnego mianowania pociąga za sobą (według prawa z 1841 r.) pierwszym razem w szkołach czteroklasowych i wyższych karę 60 rs. (płaci taką sumę i przełożony i uczący), w szkołach niższych 22 rs.; za drugim razem zwierzchnik naukowy oddaje sprawę sądom.

Można byłoby wnioskować, że na mocy nowego rozporządzenia wszystkie szkoły prywatne w Królestwie nabędą praw zakładów rządowych. Jest to jednak więcéj niż bardzo wątpliwe. Świeżo, bo zaledwie przed miesiącem uczniowie dwu sześcioklasowych szkół realnych w Warszawie zdawali egzaminy rządowe nietylko wedle dawnego porządku, ale nawet z pewnemi nowemi obostrzeniami.

Faktem ważnym w życiu naukowém naszém jest świeżo odbyty V-ty zjazd przyrodników i lekarzy polskich we Lwowie i urządzona przy téj okoliczności wystawa. Dokładnych wiadomości o jedném i o drugiém nie ma jeszcze.

Drukowały już wprawdzie dzienniki długie korespondencye o przebiegu posiedzeń i zabaw, ale ponieważ sprawozdawcy nasi są w takich wypadkach bardzo skłonni do uniesień i rozczulenia, więc trzeba czekać jeszcze, aż głos zabiorą spokojniejsi znawcy. Najpoważniejszą tymczasem wiadomością o zjeździe jest telegram, podpisany przez p. Bronisława Znatowicza i zamieszczony w n-rze 30 „Wszechświata". Brzmi on: „Zjazd świetny. Uczestników 600. Wystawa bogata i zajmująca."

W tymże samym „Wszechświecie" (nr. 29) znajdujemy artykuł prezesa Akademii krakowskiéj, dr. Józefa Majera o przyszłym (wtedy jeszcze) zjeździe. Parę zdań i garstka danych zwróciły moją uwagę, podzielę się więc niemi z czytelnikami.

Myśl urządzenia zjazdów takich zrodziła się w Krakowie 19 już lat temu, została odrazu urzeczywistnioną i zbiegiem czasu nie tylko nie poszła w zapomnienie, nietylko nie zmarniała, lecz przeciwnie zamieniona w czyn, w téj formie wciąż potężniała, rosła, i co do rozmiarów i co do wpływu. Świadczy to, iż nie opierała się ona na fikcyi. Zjazdy nie były czczą zabawką, nie była manekinem w szych obleczonym, lecz odpowiadały istotnéj potrzebie życia i nauki.

Już z powodu pierwszego zjazdu powiedziano gdzieś było: „ważne to i tém ważniejsze, że wcale nie polityczne zebranie. Boć zapewne każdy przyzna, że co się tyczy intencyj, to na zabawę nie zjeżdża nikt do Krakowa z Poznania, Lwowa, Warszawy, Paryża i Bukaresztu...“

Zjazdy podobne uczonych jednego kraju, poczynając od roku 1822, odbywają się w wielu stronach Europy. Korzyści z zapoznania się pracowników, z żywéj wymiany myśli, z łatwiejszego porozumienia się w kwestyach wspólnych przedsięwzięć, dla których przytém zjazdy stanowią niemały bodziec,—korzyści z tego wszystkiego są zbyt jasne, aby je trzeba było wykazywać.

Pierwszy nasz zjazd odbył się w 1869 r. w Krakowie. Drugi nie mogąc dla przeszkód politycznych przyjść do skutku w Poznaniu, nastąpił we Lwowie w 1875-m, trzeci w Krakowie w 1881, czwarty wreszcie w Poznaniu w 1884 roku.

Ponieważ raz już wspomniałem o „Wszechświecie“, polecę więc uwadze czytelników drukujący się tam artykuł profesora Henryka Hoyera p. t. „O metodzie badania naukowego.“ W obec błędnego tułania się u nas zdań i pojęć po różnych manowcach przestarzałych lub modnych przesądów, artykuł ten, uważnie odczytywany przez ogół, przynieść może korzyść nie małą. Nowe poglądy wciąż dosyć ruchliwą falą napływają do naszego intellektualnego zakątka, bodaj czy umiemy je grupować, oceniać, zestawiać. Gdyby uwagi p. Hoyera posłużyły za temat do rozmyślań, do roztrząsań i rozmów, to niewątpliwie wyrobiłyby ducha krytycznego i pomogły do poważniejszego ugruntowania sądów w niejednym umyśle.

Na korzyść kolonii letnich dla biednych słabowitych dzieci wydany został mały poemacik p. Maryi Konopnickiéj p. n. „W piwnicznéj izbie“. Nabycie téj małéj książeczki dostępne jest nawet dla średniéj zamożności ludzi; powinno by więc nabywców znaleźć się sporo. Odczytanie zaś ładnego utworu poetki przypomni i o koloniach letnich i o pożytku z nich płynącym i skłoni może niejednego do złożenia na ten cel ofiary. Sprzedaż główna w księgarni Teodora Paprockiego i Spółki. *N. N.*

Centralny dom dla obłąkanych w Tworkach jakkolwiek dopiéro w dniu 17 lipca r. b. rozpoczęty od założenia kamienia węgielnego, ma już dość długą przeszłość; jeszcze bowiem w r. 1860, gdy z rozrostem miasta tak gmachy po-bonifraterskie jak i istniejący od r. 1835 przy szpitalu Dzieciątka-Jezus oddział dla obłąkanych kobiét stały się niedostatecznemi, Rada Główna Opiekuńcza

Zakładów Dobroczynnych w Królestwie Polskiém wyrobiła u rządu coroczną zapomogę na budowę nowego domu w kwocie 15,000 rub. z sumy 29,730 rs. co rok budżetem Królestwa Pols. na szpitale wyznaczanéj, co trwało do r. 1871.

Wskutek zabiegów Rady, osobliwie téż r. t. Łaszczyńskiego, owoczesnego gubernatora cyw. warsz. a zarazem i prezesa Rady Głównéj, rząd wyséłał za granicę specyalistów dla zbadania zakładów tego rodzaju, mianowicie d-ra Pląskowskiego, późniéj d-ra Rotego; wreszcie członka Rady Głównéj, budown. Tournel'a. Wybierano rozmaite miejscowości w pobliżu Warszawy, jak Wawrzyszew lub Opalin za rogatką Powązkowską (1862), zaniechano jednak téj myśli wkrótce z powodu zbytniéj blizkości obozów artyleryi, któréj huk podczas ćwiczeń pozbawiałby chorych koniecznego spokoju. Myślano potém o zbudowanlu szpitala w okolicach Grochowa, Brudna lub Wawru, i w r. 1868 hr. Berg, ówczesny namiestnik, uznał za najstosowniejsze zbudować Dom Centralny na prawym brzegu Wisły za Pragą. W tym celu polecił prezesowi Rady Głównéj generałowi Rożnowowi przejrzéć wszystkie poprzednie projekty, wybrać miejscowość i przedstawić nowe plany budowli i zapatrywanie Rady Głównéj. Komisya złożona z pp. gubernatora Rożnowa, rz. r. st. Bekkera, b. głównego inspektora lekarskiego w Królestwie, i kilku innych urzędników i obywateli rozpatrzywszy się w okolicy Pragi, wybrała miejscowość leżącą o $1\frac{1}{2}$ wiorsty od rogatki Moskiewskiéj na gruntach folwarku Kamionka, obszerną około 50 morgów (28 dziesiatyn); do tego obszaru wydział inżynieryi wojskowéj dołączył dwie morgi ziemi okalającéj pomnik bitwy Grochowskiéj 1831 r., z obowiązkiem doglądu i pieczy nad pomnikiem. Wybór Kamionka, powiększonego w swéj rozległości kawałkiem gruntu, na którym stoi pomnik na pamiątkę zbudowania traktu bitego (szossy) Brzesko-Litewskiego, co wszystko razem czyni 54 morg. 198 prętów, hr. Berg zatwierdził i folwark ten tak przez miejscowych budowniczych i inżynierów, jak i przez specyalistów przybyłych z ramienia ministeryum spraw wewnętrznych, uznany został za zupełnie odwiedni przeznaczeniu. D-r Rote i budowniczy Tournel obok obszernego sprawozdania z pobytu i badań za granicą odpowiednich zakładów, sporządzili plan budowy, zastosowany do Kamionka. Dla oceny tego planu i kosztorysu wyznaczono komisyę na wniosek zarządzającego sprawami Komitetu urządzającego, która wypracowała szczegółowo kosztorys i swoje przedłożenia i te przesłała dla oceny komisyi psychiatrycznéj przy ministeryum spraw wewn., gdzie cały eleborat uległ gruntownym zmianom. Po zwróceniu go, d-r Rote i p. Bekker z budowniczym Tournelem,

w myśl uwag poczynionych w ministeryum, przystąpili do nowéj przeróbki planów szpitala, zamierzonego na 400 łóżek z ogólnym na całą budowę kosztem około 900,000 rubli. Następnie komitet budowy, złożony z gubernatora Rożnowa, wice-gubernatora Danilowa, rz. r. st. Bekkera, pułk. inżyn. Palicyna, prezesa rady szczeg. opiek. szpitala św. Jana Bożego, Słomińskiego, d-ra Rotego i budowniczego Tournela, miał sobie polecone zająć się wygotowaniem ostatecznych planów i dopełnień niektórych robót przygotowawczych, na które wyasygnowano 10,017 rubli. Wygotowanie planu i wykonanie go poruczono budowniczemu Tournelowi; d-r Rote miał być naczelnym lekarzem.

Fundusze na budowę Domu centralnego, ze źródeł na wstępie wskazanych, składane w Banku Pol., w końcu roku 1869 utworzyły 145,202 rub. 35 kop., a nadto niezależnie od pomocy rządowéj, liczono na zapomogę z „Kapitału użyteczności publicznéj“ Towarzystwa Kred. Ziemsk., oraz na wartość posiadłości po-bonifraterskiéj, która by mogła być sprzedaną po przeniesieniu z niéj chorych do nowego zakładu. Do r. 1870, w którym Radę Główną zastąpiono przez Radę miejską, oprócz wybrania i nabycia za 8000 rubli miejscowości, dokonano także następnych robót ziemnych przygotowawczych: cały folwarczek obwiedziono rowem i wałem, zbudowano dwie studnie, wystawiono szopę na skład materyału budowlanego i odnowiono domek strażnika przy pomniku Grochowskiéj potrzeby, — nadto jako początek parku przy Domu centralnym uzyskano z lasów skarbowych bezpłatnie 4,000 młodych drzewek. Wszystkie te kosztowne zachody stały się jednak bezcelowe, rząd bowiem ostatecznie uznał za niemożliwe zbudowanie tak wielkiego zakładu w pobliżu fortów warszawskich i to na linii tak strategicznéj jak koryto Wisły. Postanowiono więc przenieść się na lewy brzeg Wisły. Na upatrywaniu miejsca zeszło lat 10, aż w końcu roku 1879 p. Kryński, właściciel majątku Tworki pod Pruszkowem, wystąpił do Rady miejskiéj z propozycyą odstąpiepia pod budowę szpitala odpowiedniego obszaru 105 morgów. W dniu 16 kwietnia 1880 r. komisya z ramienia Rady miejskiéj, złożona z d-ra Waltera, inspektora szpitali cywilnych w Warszawie i d-ra Rotego, zwiedziła proponowaną miejscowość. Ta, ze względu na grunt przeważnie piasczysty, dosyć wyniosły, zatém suchy, przerznięty małą rzeczką, przytém mająca kilka morgów boru sosnowego, okazała się stosowną na zakład podobny, który byłby oddalony o 2 mile od Warszawy, a o $1\frac{1}{2}$ wiorsty od stacyi kolei Warszawsko-Wiedeńskiéj Pruszkowa (Gaz. Warsz. z d. 28/IV 1880).

Odtąd ubiegło dwa lata w ciszy, dopiéro w r. 1882, w pierwszéj połowie lutego, po kilkomiesięcznych pertraktacyach ukończono układy z p. Kryńskim przybiciem ceny sprzedażnéj w sumie 25,000 rubli. Zaraz téż miano przystąpić do budowy szpitala (Gazeta Warsz. 1882, N. 37), według planu psychiatry d-ra Balińskiego, który w r. 1881 wezwany z Petersburga dla obejrzenia miejscowości, uznał ją za stosowną. Za wzór tego gmachu w stylu rosyjskim postanowiono dać dom obłąkanych w Kazaniu. Zrobiono więc odpowiednie plany, za które ich twórcy, p. Sztromowi, akademikowi petersburskiemu, zapłacono 1% od sumy kosztorysowéj, która nie miała przewyższać 760,000 rs. Było to w r. 1882. Rok 1883 nie posunął ani na krok sprawy budowy szpitala. Dopiéro w roku 1884 „Gazeta Warsz.“ w N. 290 podała z wiarogodnego źródła wiadomość, iż z uwagi na to, że Tworki leżą niedaleko od jednego z fortów, jakiemi Warszawa jest otoczoną, ministeryum wojny oparło się budowie wielkiego gmachu szpitalnego i zgadza się jedynie na urządzenie szpitala systemu barakowego, drewnianego, tak, aby w danéj chwili, na wezwanie, wszystkie budynki, stanowiące posiadłość szpitalną, można było w ciągu kilku dni rozebrać i z ziemią zrównać. Od téj chwili upłynęło 3 lata, a choć w r. 1887, śladem lat dawnych, utworzono komitet budowlany z p. Wiłujewem, kuratorem szpitala D-ka Jezus na czele, choć miejsce długoletniego i zasłużonego współpracownika psychiatry d-ra Rotego zajął przy oddziale obłąkanych kobiét u D-ka Jezus d-r Włodzimierz Hardin z Samary (który w r. 1885 ukończył studya lekarskie i otrzymał doktorat w Petersburgu), z pensyą 3,000 rs. rocznie, a mianowany jednocześnie naczelnym lekarzem przyszłego szpitala w Tworkach, którego budowy, jako członek komitetu, doglądać będzie, — mimo to wszystko choć już nawet plan i kosztorys zatwierdzono na sumę 769,043 rs. 17 kop. i do budowy traktu bitego od stacyi do przyszłego zakładu przystąpiono, ministeryum wojny dopiéro w grudniu r. z. ostatecznie na budowę zezwoliło.

Według wiadomości, podanych w dziennikach zeszłorocznych (Gaz. Warsz. N. 109 i Kurjer Codz. N. 211), szpital ma miéć tylko 400 łóżek, t. j. tyle, ile ich jest u Jana Bożego i w Oddziale obłąkanych u D-ka Jezus, z pominięciem 50 łóżek dla obłąkanych przy szpitalu Starozakonnych. Jeśli to ma być D o m C e n t r a l n y, na który jeszcze w r. 1869, gdy Warszawa miała tylko 269,000 ludności wyznaczono 400 łóżek, to dziś po 18 latach, przy warunkach bytu tak strasznie na niekorzyść zmienionych i chorobom umysłowym sprzyjających, a nadto przy ludności w mieście czterysta kilkadziesiąt głów wynoszącéj, zatém większéj o prawie 200,000,—

o znoszeniu szpitala Jana Bożego lub Oddziału obłąkanych kobiét u D-ka Jezus nie powinno by być mowy. Dom ten bowiem wystarczy zaledwie dla mężczyzn. Zabudowania zaś po-bonifraterskie, po stosownéj odnowie, mogłyby być albo filią, albo metropolią dla Oddziału obłąkanych kobiét u Dzieciątka Jezus.

Wydatki na budowę mają być pokryte: 1) ze specyalnego funduszu od r. 1864 na budowę tę odkładanego rs. 250,900, który już obecnie wyczerpano; 2) z kapitału użyteczności publicznéj w kwocie 500,000 rs. (uchwała Rady Państwa z d. 1/IV 1883), na rachunek których temi dniami tutejszy kantor Banku Państwa otrzymał upoważnienie do wypłat 200,000 rubli komitetowi w miarę potrzeby; 3) z wpływu szacunku, przewidywanego ze sprzedaży Kamionka, obliczanego na 40,000 rs. i 4) z gotówki w kwocie 49,719 rubli, wykazanéj w sprawozdaniu Rady miejskiéj dobrocz. za r. 1886.

Budowę gmachu powierzono p. Hillerowi, majstrowi ciesielskiemu, który od lat 12 pozostaje stałym przedsiębiorcą budowlanym przy szpitalu Dzieciątka Jezus. Ukończenie szosy pozwoliło na rozpoczęcie zwózki materyałów. Przy budowie zajętych kilkuset robotników i na pomieszczenie ich, wynajęto wielki budynek murowany po fabryce żelaznéj, znajdujący się po drugiéj stronie plantu kolejowego.

Miejscowość, na któréj wznoszą szpital, posiada grunt zupełnie suchy, piaszczysty, lasek sosnowy i rzeczkę niewysychającą. Budynki zakładu rozłożone zostaną na skraju lasu, po obu jego stronach, część więc zadrzewienia stanowić będzie rodzaj parku. Drugą część lasku przeznaczono również na miejsca spacerowe dla chorych. Szpital składać się będzie aż z 15-tu budynków murowanych, wliczając w to i domy dla administracyi.

Zakład rozdzielony będzie na dwa oddziały: męski i żeński, ogółem zaś na początek pomieści 400 chorych. Kuchnie i pralnie mieścić się mają w oddzielnych budynkach, z uwzględnieniem wszelkich warunków sanitarno-hygienicznych. Wodociągi i kanalizacya dopełniają całości. Ważna kwestya oświetlenia szpitala zadecydowaną została na korzyść gazu, skutkiem czego szpital posiadać będzie własną gazownię.

Oprócz sal dla chorych zwyczajnych, przy szpitalu znajdować się ma przytułek dla chorych nieuleczalnych. Ci nieszczęśliwi oddzieleni zostaną od głównego zakładu i posiadać będą na swoje potrzeby ogródek i pola do uprawy. Jedném słowem, według zakreślonych planów, ma to być szpital pierwszorzędny. Robotami na miejscu kieruje budowniczy p. Oswald. Budowa trwać będzie półtrzecia roku i na początku r. 1891 nowa instytucya oddaną ma być na użytek publiczny.

Założenie kamienia węgielnego odbyło się w obec szczupłego grona przybyłych.

W końcu nie od rzeczy będzie podać głos pisma najbardziéj kompetentnego, to jest „Medycyny“, która w numerze 28-m z dnia 14-go lipca pisze: „Po długich, bo parę lat trwających przygotowaniach, przystąpiono nareszcie do budowy domu dla obłąkanych w Tworkach. Obiecują budynek wykończyć i do użytku oddać w r. 1890. Przybędzie nam pomieszczenie na 400 obłąkanych, ale to nie zaradzi złemu, jeżeli z otwarciem nowego zakładu dzisiaj istniejące w Warszawie będą zamknięte. Mamy do namysłu 2 lata i nie wątpimy, iż sfery decydujące obmyślą środki potrzebne do utrzymania oprócz budującego się Zakładu w Tworkach, jeszcze jednego w Warszawie, gdyż potrzeby w tym względzie z powiększeniem się ludności w gwałtowny sposób wzrastają.“

W. A. S.

Wspomnienie o Stanisławie Waryńskim.

Gazety doniosły o niedawnéj śmierci Stanisława Waryńskiego w Genewie. Niewielka tylko garstka rodaków, rozrzuconych po wszem świecie, znała go bliżéj, i tym boleśnie ściśnie się serce na wieść smutną. Był on jak wędrowiec, który na swéj drodze spotyka przeszkody same; krwawiąc dłonie i piersi, roniąc siły, usuwał je jedną po drugiéj; nareszcie, kiedy wydostał się na utorowany gościniec i mógł już oglądać cel wysiłków swoich, rozwarła się mogiła i pochłonęła go przedwcześnie. Koleje jego życia może nie są wyjątkowe — setki młodzieży naszéj doznaje podobnego losu — tém bardziéj zasługują one na napisanie.

Stanisław Waryński urodził się na Ukrainie w samym końcu 1857 lub w początkach 1858 roku. Ukończył szkołę realną w Białéj Cerkwi (nie w Humaniu jak mylnie podano). Ponieważ patent otrzymany nie dawał mu prawa wstąpienia do uniwersytetu rosyjskiego, więc wyjechał w roku 1876 wraz z przyjacielem swoim i towarzyszem młodości Edmundem Brzezińskim (obecnie lekarzem w Bulgaryi) za-granicę. Bawił początkowo kilka miesięcy w Wiedniu, potém przeniósł się do Lipska i tam rozpoczął studya, przerwane długą, obłożną chorobą. Ponieważ Lipsk jest miastem, gdzie się środkowuje handel księgarski, więc brat Stanisława żądał od niego

załatwiania różnych interesów księgarskich; w owym czasie było to najzupełniéj dozwolone, legalne i Waryński dopełniał wszystkiego otwarcie. Ale nastały w roku 1878 przepisy wyjątkowe i wbrew najelementarniejszéj, powszechnie uznanéj zasadzie, iż żadne prawo wstecz nie obowiązuje, student medycyny pociągnięty został do odpowiedzialności za wysyłanie książek. Siedział 5 tygodni w areszcie i kazano mu wyjechać z granic cesarstwa Niemieckiego.

Udał się do Genewy. Na razie myśleć nie można było o nawiązaniu przerwanych studyów, przedewszystkiém należało się starać o kawałek chleba powszedniego. Zaczął pracować w drukarni (jeżeli mnie pamięć nie zawodzi w nieistniejącéj obecnie polskiéj drukarni Bolesława Trusowa). Kilka miesięcy przebyte w Genewie były najczarniejszemi chwilami życia Waryńskiego, nie lubił o nich opowiadać, nie wiem więc co mu dolegało, ale wielokrotnie słyszałem z ust jego gorzkie narzekania. Wyrwał się więc i około 19 Marca 1879 roku stanął w Krakowie.

Przybył z kilkoma guldenami, zaczął od przymierania głodem, mając przed sobą perspektywę, że potrwa to długo, i jeżeli się kiedy skończy, to może aż po otrzymaniu dyplomu. Żywił nadzieję, iż rodzice przyślą mu jaki zasiłek, wiedział, że wielkim być nie może, ale chodziło mu o najlichszą choćby egzystencyą. Pomimo ciężkiego początku, Kraków podobał mu się i podziałał nań orzeźwiająco. Nie mógł zaraz wstąpić do uniwersytetu, bo do początku semestru letniego brakowało jeszcze kilku tygodni, ale cieszył się myślą, że wkrótce wróci do książek, do audytoryum i do laboratoryów.

Nie chcąc po raz drugi ściągnąć na siebie cienia chociażby podejrzenia ze strony władz, z nadzwyczajnym pośpiechem zameldował się i zaniósł paszport swój osobiście do biura policyi. To go zgubiło. Pan komisarz Kostrzewski wiedział już, iż jest na świecie jakiś Waryński (Ludwik) socyalista (w téj chwili był już aresztowany pod nazwiskiem Pawłowskiego), więc ze sprytem i gorliwością, która cechuje policyę austryacką jak najskwapliwiéj aresztował Stanisława w dniu 23 Marca. Policya austryacka była wtedy, a pewnie i dziś jest najniedołężniejszą instytucyą pod słońcem. W sposób barbarzyński i oburzający przekracza ona nieustannie obowiązki swoje, a tego, co do niéj należy istotnie, wykonać należycie nie potrafi.

W ten sposób Waryński Krakowem cieszyć się mógł nie całe dwa tygodnie. Zaczęło się długie i w początkach bardzo ciężkie więzienie. Nie miał przez dwa miesiące czystéj bielizny, przez sześć — książek. Siedział w celkach pełnych zaduchu, robactwa, w towarzystwie kilkunastu naraz zbrodniarzy. Doznał parę razy przykrych upokorzeń. Pan prezes Kawecki, do którego udał się z prośbą

o pozwolenie sprowadzenia czystéj bielizny, kazał go za drzwi wyrzucić. Pomimo to pragnął gorąco pozostać w Krakowie i pocieszał się nadzieją, że może mu na to pozwolą.

Po jedenastu blizko miesiącach więzienia śledczego rozpoczęła się rozprawa sądowa w dniu 16 Lutego 1880 roku. Na Stanisławie ciążył tylko jeden zarzut: był bratem Ludwika, a Ludwik skazany został później na... *pięć dni* aresztu za przybranie fałszywego nazwiska! Pan prokurator Brazon oskarżenie swoje wygłosił poważnie, tak poważnie, że czcigodny p. Czyszczan, prezydujący, wówczas radca sądu wyższego w Krakowie, dziś wysoki dygnitarz w Wiedniu człowiek najwyższéj szlachetności i wrażliwego serca, prawy i odważny, musiał zwrócić uwagę (wbrew bezstronnéj roli swojéj), iż podobne oskarżenie jest śmieszne poprostu. Tłomaczenie się Waryńskiego Stanisława było krótkie:

— Nigdy w życiu nie przekroczyłem prawa, niezrobiłem ani jednego kroku nielegalnego. Celem moich usiłowań wszelkich, celem 12-dniowego pobytu mego w Krakowie były studya medyczne.

— Ileż czasu pan siedziałeś za te dwanaście dni? — zapytał jeden z przysięgłych.

— Rok.

Szmer oburzenia przebiegł po ławach przysięgłych i echem zgrozy odbił się między publicznością.

Stanisław zdobył sobie bardzo gorącą sympatyę wśród wszystkich świadków rozprawy. Kiedy się dowiedziano, iż pragnął by zostać w uniwersytecie Jagiellońskim, wielu obywateli zgłosiło się z własnéj pobudki z gotowością poręczenia, sam p. Czyszczan jeździł do dyrektora policyi p. Englisza, aby nie stawiano przeszkód Waryńskiemu do pozostania w Galicyi. Nic nie pomogło. Jednego dnia dwunastu obywateli przysięgłych jednogłośnie orzekło, iż ś. p. Stanisław nie winien nic, na drugi dzień p. Englisz zawyrokował, iż jako szkodliwy agitator powinien opuścić na zawsze wszystkie kraje, w wiedeńskiéj radzie państwa reprezentowane.

Jeśliby osoby, tak wysoko postawione, jak p. prokurator i p. dyrektor, były zdolne czasami przypuścić, że do opatrznościowéj ich działalności mogą się wkraść jakieś omyłki—tu dobrze byłoby może, gdyby zastanowiły się, co zyskała Galicya, co zyskał Kraków na wydaleniu brutalném Waryńskiego. Kilkoma latami życia, jakie mu zostały, dowiódł on, iż istotnie chodziło mu o naukę i wyłącznie o naukę; odznaczył się i pomimo krótkiego czasu zasłynął wśród obcych. Taki nabytek nie byłby do pogardzenia dla uniwersytetu krakowskiego. Waryńskiemu wyrządzili bez potrzeby krzywdę, skazując na ciężką tułaczkę, uniwersytet narazili na stratę. Warto byłoby, aby

pisma galicyjskie wobec świeżéj mogiły zwróciły uwagę na tę zbawienną działalność p. Englisza; wypadek z Waryńskim nie był wcale wyjątkiem, lecz szeroko stosowaną regułą. Pomimo kilkoletniego pobytu w Szwajcaryi, gdzie kroków jego nikt nie krępował, ani kontrolował, gdzie odbywały się zjazdy, obchody, kongresy, wydawane były pisma i broszury, nigdzie śladu nie ma, aby Stanisław Waryński myślał o czémkolwiek bądź innćm niż o studyach medycznych. Był poprostu ofiarą ślepéj, przesadzonéj a pozornéj gorliwości.

Z Waryńskim razem siedziało 36 oskarżonych, z których znaczna większość została w Listopadzie wypuszczoną, pozostało 13. W téj liczbie było kilku studentów, co późniéj wrócili do szkoły. On jeden, jak tylko nadeszła możliwość, zaraz w murach więziennych wziął się do pracy. Pożyczył od kolegi atlas anatomiczny i z wielką wytrwałością, która go cechowała zawsze, przerysowywał po całych dniach.

Wydalanych z Krakowa odsyłano z kozy do kozy, dopóki przez Wiedeń, Insbruck, Landek, Blüdentz i Bregenz nie przybyli do Szwajcarskiéj granicy. Stanisław musiał wracać do Genewy. Tym razem pomimo zupełnych pustek w kieszeni i pomimo rozpoczętego semestru zapisał się od razu na listę studentów. Nie tylko nie stawiono mu przeszkód, ale uwzględniwszy okoliczności, uwolniono go zaraz od opłaty za lekcye.

Trzeba było przebyć okres ciężki, jak podróż przez piaszczystą pustynię. Proces krakowski naraził ojca na utratę posady, ostatnia nadzieja pomocy zewnętrznéj prysnęła. Nie było wprawdzie chłodu, bo wiosna i lato tego roku było w Genewie bardzo skwarne, ale głód dokuczał nieraz, a dokuczał by więcéj, gdyby nie ludzka uczynność, gościnność, dobroć i zaufanie Szwajcarów: kto tylko z nimi się zetknął, niewątpliwie cnot tych doświadczył i zachował w sercu tkliwą wdzięczność.

W tym czasie zjawił się w Genewie niejaki p. Konstanty Tukałło. Był to stary człowiek, skołatany życiem, zmordowany, schorzały. Waryński jakoś go gdzieś spotkał i zdjęty współczuciem, opiekować się zaczął rodakiem. Załatwiał mu interesy, robił sprawunki, ochraniał mienie, pielęgnował i nareszcie odszukał starego przyjaciela p. Stanisława Tchorzewskiego. Pomiędzy starcem i wstępującym świat młodzieńcem zawiązała się nić sympatyczna przyjaźni. Tukałłę interesowały przeszłe losy i przyszłe zamiary studenta. Waryński widział, iż zacny a zamożny litwin chce mu ułatwić drogę życia, zapewniając byt aż do skończenia medycyny. Pewnego poranku Stanisław dowiedział się, iż Tukałło umarł. Starzec, obudziwszy się, chciał wziąć z ziemi obuwie, pochylił się i serce mu

pękło. Tchorzewski upewniał, iż właśnie tego dnia miał Tukałło złożyć w banku czy u notaryusza odpowiednią sumę. Nagły więc zgon był jakby nowym pchnięciem losu, które łódź Waryńskiego odtąciło od przystani.

Oglądał się, szukał, próbował—długo nic znaleść niepodobna było; zdawało się, że wszystkie wysiłki jego, cała wytrwałość i chęci rozbiją się o przeciwności, aż z początkiem wakacyi znalazł kawałek chleba. Kopiowanie atlasu nauczyło go nieco rysunków i cieniowania tuszem; poruczono mu malowanie albumu dla komiwojażera w fabryce kosmetyków pp. Fouet i Clement.

Praca to trudniejsza niż początkowo przypuszczać można, siedzieć trzeba było dzień cały wśród ciężkich wyziewów, początkowo wonnych, a wkrótkim czasie dokuczliwie duszących. Od ściągania farb z pędzelka ustami i od wyziewów w gardle osiadała gorycz, przykry ból głowy nie opuszczał nigdy. Codziennie przez 3½ miesiąca można było widzieć Stanisława poza szybą wystawową jak pochylony malował flaszki, flakony, pudełka, naklejał etykiety itd. Przychodził do fabryki o godzinie 8-éj rano, od 12—2 miał czas wolny na obiad, dzienną pracę kończył o 6. P.p. perfumiarze byli bardzo porządni ludzie, szczególniéj p. Fouet, Waryński zarabiał u nich dziennie 3½, 4 a nawet 5 franków, nie tylko miał za co żyć, ale oszczędzał nieco na czas studyów. Kilku kolegów próbowało pracować wraz z nim, jeden wytrwał dwa tygodnie, drugi miesiąc... on jeden nie przerwał roboty, aż do rozpoczęcia lekcyi w uniwersytecie.

Pomimo przeciwieństw i ciężkiéj pracy, zachowywał wciąż zupełny spokój ducha i doskonały humór, który przypominał wesołość zdrowego dziecka. Krakowa żałował zawsze i mówił o nim z pewnym odcieniem tkliwości. Lubił wspominać o maleńkim pokoiku na Smoleńsku, w oknie którego zupełnie jak w ramkach widać było kopiec Kościuszki. Z wdzięcznością opowiadał o pani Orłowskiéj, właścicielce domu, zacnéj staruszce, u któréj mieszkał tak krótko, a która pomimo to nie zapominała o nim przez cały czas więzienia: przynosiła bezinteresownie zupełnie masło, sér i kawę z wyborną śmietanką. Wspominał nawet o Zuzi, hożéj krakowiance, służącéj, która w dni uroczyste w niebieskim kabaciku wyglądała jak ideał dziewczyny polskiéj. Nawet z murów więziennych miał jedno rzewne wspomnienie. Brat jego był chory w szpitalu na tyfus brzuszny, bardzo mała pozostawała już nadzieja życia. Stanisławowi nie wolno było go widywać, a wieści przedostawały się późno i ubocznemi dróżkami. Raz przychodzi stary dozorca, pijaczysko, i wyciągając rękę powiada:

— Niech pan uściśnie moją dłoń, ona ciepła jeszcze ciepłem brata pańskiego.

Postawiwszy się na miejscu więźnia zdenerwowanego, zgnębionego, strapionego, łatwo zrozumie się uczucie, z jakiém ten dowód serca przyjął Stanisław; nie zapomniał téż tego nigdy i zawsze opowiadał nawet tym, o których wiedział, że już wielokrotnie słyszeli tę historyą.

Jeszcze przez pierwszy rok pobytu Waryńskiego w Genewie można było znać go tygodniami i nie wiedzićć, że ten człowiek, taki poważny w czynach w przedsięwzięciach, umié poważnie mówić. Zwyczajny ton jego mowy był żartobliwy.

— Nie bój się nic!—powtarzał ulubiony frazes, spotkawszy którego z bliższych znajomych z zasępioną miną.

Jeżeli chciał komuś opowiedzićć jaki wypadek, naprzykład o spotkaniu nadzwyczajném, zawsze zaczynał rozmowę w tej formie.

— Zapytaj mnie: kogo ja spotkałem.

Jak przychodził po pracy na obiad, biegł zaraz do kuchni, gdzie stara pani Génou gotowała obiad dla całéj kolonii jego przyjaciół, i zaczynał sprzeciwiać się jéj jak rozswawolone dziecko. Staruszka bardzo lubiła i jego samego i jego figle, udawała, że się gniewa, groziła zawiązaniem ściérki na szyję i zapędzeniem do szorowania rądli.

Dopiero jak się go zagabnęło o jaką sprawę poważną, nagle przybierał inny wyraz twarzy, nawet ton głosu się zmieniał: zwykle niski basowy stawał się nieco piskliwym. Z odpowiedzi jego widać było odrazu, że patrzy seryo na świat, na ludzi i na obowiązki swoje.

W tym czasie skarżył się już często na chorobę nérek. Jeżdżąc z Tukałłą, trafił w jakiejś wiosce nad jeziorem genewskiém na źródło, które nadzwyczajnie dobroczynnie działało na jego zdrowie; ubolewał, że się tam na kuracyę udać nie może.

Kłopoty Waryńskiego o byt skończyły się wraz z upływem pierwszych wakacyi. Pomimo braku pewnych kwalifikacyi egzaminowych, prof. Laskowski zawezwał go na asystenta do teatru anatomicznego. Za to otrzymywał skromne 100 fr. miesięcznie, ale zyskał możność gruntownego nauczenia się anatomii. Przytém robił preparaty do muzeów, jeździł z doktorem L. na czynności niektóre, nareszcie późniéj miał sporo lekcyi anatomii. Dochody z biegiem czasu rosły, wziął też zaraz na wychowanie maleńkiego bratanka—niemowlę.

W końcu r. 1880 wynajął pokoik u pp. Chevalier. Wrodzona mu łatwość zawiązywania stosunków i pożycia sprawiła, iż wkrótce

zaprzyjaźnił się z całym domem; odwiedzający go znajomi zauważyli łatwo, że szczególnie serdeczna zażyłość łączy go z córką gospodarstwa, z panną Julią. Panienka pod jego wpływem wróciła do przerwanéj nauki, zdawała egzamin w szkole wyższéj dla kobiet, uczęszczała na wykłady uniwersyteckie. Niebawem panna Chevalier wystąpiła urzędownie w charakterze narzeczonéj, i po skończeniu przez Stanisława uniwersytetu połączył ich węzeł małżeński. Ktoś napisał, iż p. Waryńska jest wnuczką znakomitego Chevalier, ekonomisty senatora Francyi. Skąd ta wiadomość zaczerpniętą została—nie wiem. Wątpię jednak o jéj prawdziwości. Stanisław nigdy o tém nie wspominał, ojciec zaś pani Julii trudnił się wierceniem dziur w kamieniach zegarkowych; zarabiał 10 fr. dziennie.

Przy pr. Laskowskim Waryński pracował lat 2, potém przyjął obowiązek w pracowni Schyffa, znakomitego profesora fizyologii. Było to zajęcie bardzo pożyteczne, ale niezmiernie nużące. Sędziwy uczony, aczkolwiek ojciec rodziny, i znany z żywego niegdyś udziału w sprawach politycznych, dziś oddany jest wyłącznie doświadczeniom fizyologicznym. Zjawia się o 6-éj rano w pracowni, często obiad mu tam przynoszą, wychodzi późnym wieczorem a nawet potrafi i do północka przesiedzieć. Wakacyi nie zna albo wcale, albo pozwala sobie tego zbytku na dwa dni: wtedy jedzie do Włoch i wraca chory, bo zapomina o jedzeniu. Corocznie 300 psów nie licząc innych zwierząt, przechodzi przez jego stół wiwisekcyjny. Od laborantów wymaga ciągłéj niemal obecności, wzywa ich nieraz w niedzielę. Poprzedni asystent po 2-u latach dostał wycieńczenia jakiegoś, wpadł w apatyą. Nie odstraszyło to Waryńskiego.

Preparaty Stanisława zwróciły już były wtedy uwagę wielu profesorów. Przytém zdawał jednocześnie egzaminy państwowe i uniwersyteckie. Profesor Fol słynny biolog, przedsiębiorąc szereg doświadczeń nad sztucznem wywoływaniem monstrualności u zalążków w jajkach, wezwał Waryńskiego na współpracownika. Doświadczenia te i sprawozdanie z nich uczyniły imię naszego rodaka znaném w świecie naukowym. „Ateneum" poświęciło im w swoim czasie artykuł, mogę się więc powstrzymać od wchodzenia w szczegóły. Nie ulegało już wątpliwości, że przed Stanisławem otwiera się szeroka droga do zasług naukowych, do sławy, a więc i do katedr. W uniwersytecie genewskim otaczało go uznanie powszechne. Profesorowie traktowali go jak przyszłego kolegę.

Z końcem roku szkolnego $188^2/_3$ Waryński rzucił asystenturę i przez ostatni rok lub $1\frac{1}{2}$, jakie mu pozostawało do ukończenia studyów akademickich, postanowił radzić sobie lekcyami, których miał zawsze dosyć. Potrzebował wiele czasu do pracy w klinikach

Otrzymał przytém stypendyum od hr. Platera z zapisu Krystyna Ostrowskiego.

Były to ostatnie chwile, w których go widywałem, zmienił się bardzo. Fizycznie wyglądał świetnie, zmężniał, rozrósł się, niby Herkules, nic nie znamionowało, iż wewnątrz rozwija się wciąż groźna choroba. Usposobienie żartobliwe zniknęło zupełnie, był bardzo poważny, zmęczony jak gdyby. Przychodził z narzeczoną na zebrania towarzystwa młodzieży polskiéj, ale milczał zwykle. Przypominałem mu nieraz dawne czasy, powtarzałem jego ulubione niegdyś wyrażenia.

— Pamiętasz—mówił wtedy i uśmiechał się; ale był to promień odbity jak gdyby i chłodny.

Podobno proponowano mu katedrę w Strasburgu, ale o tém wiem tylko z gazet; przyjął posadę w świeżo otworzonéj szkole dentystycznéj w Genewie.

Dawniéj jeszcze słyszałem od osób, przyjeżdzających z Genewy, iż zamierzał osiąść w Warszawie. Trzeba było jednak usunąć wiele przeszkód. Podczas różnych perypetyi zaginął mu paszport, a przytém był już przetrzymany i nieodnawiany. Musiałby zdawać egzamin tutejszy, a nie miał wymaganéj matury.

Wiem także, że myślał i marzył zawsze o niegościnnym Krakowie.

Niech mu będzie lekką przynajmniéj ta obca ziemia, w któréj go złożono na wieczny odpoczynek.

Ludwik Straszewicz.



NEKROLOGIA.

† **Stanisław Janicki,** zmarły 10 lipca r. b., był synem profesora b. uniwersytetu aleksandryjskiego w Warszawie. Tu się urodził w roku 1836 i po ukończeniu szkół w kraju kształcił się na inżyniera za granicą. Pracował przy wielu znaczniejszych budowlach, a między innemi przy pierwszym moście żelaznym na Wiśle pod Warszawą i przy przekopaniu kanału Suezkiego. Z tego czasu drukował szereg interesujących listów w „Tygodniku ilustrowanym.“ Pomieszczał téż artykuły w „Gazecie Polskiéj“ i w „Inżynieryi i budownictwie.“ Życiem swém umiał sobie zjednać powszechny szacunek.

† **Władysław Wierzbiński**, ur. 13 stycznia r 1831 w Sciborzu na Kujawach, mąż ducha energicznego, długoletni poseł na sejm berliński, publicysta - współpracownik „Dziennika Poznańskiego“, zakończył życie 12 lipca w Poznaniu.

† **Józef Sporny**, urodzony w Warszawie 1817 roku, inżynier, autor kilku prac w przedmiotach dotyczących techniki, jak „Asfalt i bitumy“, wydana w r. 1874, „Zbiór wiadomości z mechaniki stosowanéj, podług Morina“, „Tektura i jéj zastosowanie w budownictwie“ i in.; wielce czynny w sferze życia praktycznego człowiek, którego jubileusz 50-cioletniéj działalności w końcu roku zeszłego obchodziliśmy, — umarł 31-go lipca w Otwocku, pochowany w Karczewie.

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w Czerwcu i Lipcu 1888 r.

---

1. **Mikołaj z Błonia** kanonista polski z pierwszej połowy XV w. Napisał *Bolesław Ulanowski*. Krak. 1888. 8-o str. 60.
2. *Kazimierz Kleczkowski* Docent szk. politechn. we Lwow. **Piękno** u domowego ogniska. Warsz. 1888, małe 8-o. str. IV i 132 (z rysunkami w tekście).
3. **Listy o konserwatyzmie**. Przez *A. G*. Warsz. 1888, 8-o, str. 27.
4. *Ch. Seignobos*. **Historya cywilizacyi**, z 200 drzeworytami w tekście. Przełożył z najnowszego wydania francuzkiego *Adolf Dygasiński*. Warsz. nakł. księgarni T. Paprockiego i S-ki, 1888, zeszyt 5-ty (ostatni) od str. 641—816 i XVI.
5. *Piotr Loti*. **Rybak islandzki**. Z upoważnienia autora przełożyła *Wila Zyndram Kościałkowska* (Biblioteczka „Życia“. Wybór powieści obcych) Warsz. u T. Paprockiego i S-ki, 1888, str. 203.
6. **Przemysł włościański**. Teorya kwestyi, jej stan i widoki u nas. Studyum ekonomiczne napisał *Adam Zakrzewski*. Warsz. nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki, 1888, 8-o, str. 92.
7. **Opisanie ulów bezdenków ramkowych** przez *A. Skorupskiego*. Wydanie drugie, poprawione, z dodaniem łatwego sposobu przeprowadzenia pszczół z prostych bezdenków do ramkowych. Warsz. w księg. T. Paprockiego i S-ki, 1888, str. 14 (cena kop. 15).
8. **Ogród przy dworze wiejskim**. Przez *Edmunda Jankowskiego*. Dwa tomy. Około 300-stu figur w tekście i 4 tablice litografowane. Warsz. nakł. autora, 1888, 8-o, tom I, str. II+248+3 karty nlb.; tom II, str. 460.
9. **Catalogus codicum manu scriptorum** musei principum Czartoryski Cracoviensis. Edidit *Dr. Josephus Korzeniowski*. Cracoviae, 1888, 4-to, fasciculus secudus (od str. 97 do 178).
10. **O pokucie publicznej w Polsce**. Przedstawił *Bolesław Ulanowski*. Krak. 1888, 8-o str. 112.
11. **„Examen testium** super vita et moribus beguinarum per inquisitorem hereticae pravitatis in Sweydnitz anno 1332 factum“. Podał i objaśnił *Bolesław Ulanowski*. 1888, 4-to, str. 23.
12. **Akta grodzkie i ziemskie** z czasów Rzeczypospolitej Polskiej z Archiwum tak zwanego bernardyńskiego we Lwowie, w skutek fundacyi śp. Aleksandra hr. Stadnickiego wydane staraniem galicyjskiego wydziału krajowego (wyd. *Xawery Liske*). Tom XII. Lwów, 1887, 4-to, str. XIV i 551.
13. **Leon Cienkowski**. Wspomnienie pośmiertne przez *Augusta Wrześniowskiego*. (Dodatek do Nr. 20 „Wszechświata“ r. 1888). Warsz. 1888, 8-o, str 52 (z portretem).
14. **Historya literatury polskiej** na tle dziejów narodu skreślona przez *Maryana Dubieckiego*. Warsz. nakł. M. Orgelbranda, 1888, 8-o, zeszyt VI (od str. 401—457, +V+16); Zeszyt VII (od str. 17 do 96.)

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1888 jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie (tylko w Warszawie) **Rs. 3.**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Іюля 1888 г.